



ALEKSANDER JANOWSKI

POGADANKI KRAJOZNAWCZE

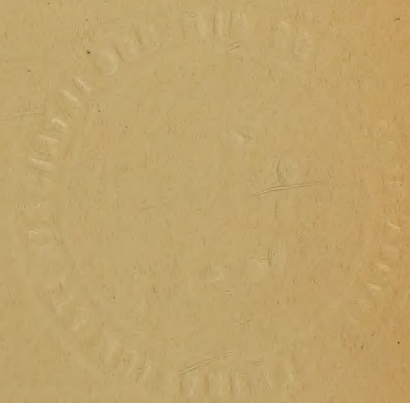
PODRECZNIK DO POCZĄTKOWEJ
NAUKI KRAJOZNAWSTWA

WYDANIE TRZECIE

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

III, 1, 7, 34

3 - 5



KOCHANEJ DZIATWIE POLSKIEJ.

PRZEDMOWA.

„Pogadanki krajoznawcze” przeznaczone są do pracy w niższych klasach szkół średnich, oraz średnich oddziałach szkół początkowych. Mogą też być używane w wychowaniu przedszkolnem i domowem.

Mają one na celu obudzenie i rozwinięcie w sercu i umyśle dziecka uczuć miłości do Ziemi Rodzinnej i dostarczenie mu sumy najelementarniejszych o niej wiadomości.

Jako przeznaczone do użytku dziatwy „Pogadanki” rozwijają się bardziej na podkładzie uczucia, niż nauki, i to winien mieć nauczyciel na uwadze w pracy.

Książka zawiera 30 pogadanek do czytania w ciągu 30 tygodni szkolnych. Jeżeli zaś na krajoznawstwo przeznaczone są dwie godziny tygodniowo, to drugą godzinę należy zużyć na powtarzanie, rozwijanie, a jeżeli można, to i ilustrowanie odczytanej poprzednio pogadanki.

Na lekcji powinna być zawsze rozwieszona mapa Europy Środkowej O. Sosnowskiego, a jeden wykład winien być poświęcony zaznajomieniu się dzieci z tą mapą. Będą one łatwiej przyjmowały wiadomości. Kontury ziemi naszej będą się utrzymywały w ich pamięci, a w wyższych klasach mapa ta będzie już im znana, co ułatwi znacznie naukę krajoznawstwa.

Na końcu pogadanek znajduje się wykaz książek i prac, które winien do każdej pogadanki przeczytać sobie nauczyciel, aby mieć materiał do rozwinięcia tematu.

Pytania po każdej pogadance to jedynie podsunięcie myśli do głębszego ujęcia tematu, do poruszenia pewnych punktów zastanowienia się w umyśle dziecka i do możliwie samodzielnego rozwiązywania pytań.

Głębokie i skomplikowane uczucie przywiązania do Ziemi Rodzinnej drzemie w duszy dziecka, jako instynktowna jej potrzeba. Należy tylko umiejętnie trącić strunę, a zadźwięczy ona głębią wrodzonej miłości Ojczyzny.

ALEKSANDER JANOWSKI

POGADANKI KRAJOZNAWCZE

PODRĘCZNIK DO POCZĄTKOWEJ NAUKI
KRAJOZNAWSTWA

WYDANIE TRZECIE
Z 20 RYCINAMI



Poleczone do ksiągnic nauczycielskich przez Sekcję Szkolnictwa Elementarnego. Poleczone do bibliotek szkolnych przez Radę Szkolną Okręgu Miejskiego w Krakowie.

1921

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

POZNAŃ ————— ŁÓDŹ ————— LUBLIN
WILNO, KSIĘGARNIA STOW. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO.

TEGOZ AUTORA

POPZREDNIO WYDANE:

Chełmszczyzna. 1918.

Duch Warszawy. Pogadanki krajoznawcze o Warszawie. Z 19 rycinami. 1917.

Dziesięć wycieczek po kraju. Wydanie 2-gie. 1918.

Gopło. Odczyt krajoznawczy. 1908.

Jędrrek-Mędrrek w Honolulu.

Kochaj Kościuszkę. Wydanie 2-gie.

Kto ty jesteś?

Nad polskim morzem.

Nasz plac. Opowiadanie dla dzieci, z licznymi rysunkami. 1914.
Karton. Wydanie 2-gie.

Nasza Ojczyzna.

Ostatnia Jagiellonka.

Pierwiastek narodowy w nauczaniu geografji. 1914.

Podole. Odczyt krajoznawczy. 1908.

Pogadanki krajoznawcze. Podręcznik do początkowej nauki krajoznawstwa. 20 ilustr. Karton. Wyd. 3-cie. 1921.

Pogadanki z przezroczami: 1) Ziemia Rodzinna, 2) Z biegiem Wisły, 3) Wycieczka w Tatry, 4) Nasze bogactwa kopalne, 5) Wycieczka do Krakowa, 6) Nad brzegiem Bałtyku, 7) Stara Warszawa.

Położenie geograficzne Warszawy, z 2 mapami. 1916.

Potęga Polski.

Poznaj swój kraj. Zbiór książeczek krajoznawczych dla ludu.
I. Ziemia Rodzinna. Z rycinami i mapą ziem polskich 1913. Karton.

Samolotem nad Polską. 1921.

Wycieczki po kraju. I. Kielce.—Chęciny.—Karczówka.—Góry Świętokrzyskie — Bodzentyn. — Wąchock. — Iłża — Radom. Wyd. 3-cie. 1908.

— II. Opatów.—Ujazd.—Klimontów.—Ossolin.—Sandomierz. Wyd. 2-gie. 1907.

III. Puławy.—Kazimierz.—Janowiec.—Nałęczów. Wydanie 2-gie. 1907.

— IV. Warszawa.—Kalisz. Na szlaku nowej kolei. 1903.
Warszawa 1920.

1. Nasza ziemia.

W naszym sadzie zakwitła jabłoń. Parę dni temu jeszcze czarne były jej gałązki, a dziś okryte są one śnieżno różowym puchem kwiecia, i żaden monarcha świata nie ma szaty tak pięknej, jak pięknym jest kwiecisty płaszcz naszej jabłoni.

Stoi pod jabłonią drewniany ul. Drzemały przez zimę przytulone do siebie pszczoły. Czasem powlokła się która do słodkiego miodu, napiła się, obtarła grzecznie pyszczek włochatemi łapkami i znów poszła drzeć.

Ale wiosenne słońce nie lubi snu: samo wstaje coraz wcześniej i budzi śpiochów, więc też, nim drzewa zakwitły, ogarnęło ciepłem drewniany ul, by go zbudzić. Zabrzęczały pszczoły, przetarły zaspane ślepki i poszły do Królowej-Matki zapytać się, czy to już mogą wyfrunąć?

„Oj, dzieci kochane, czas już, czas na was, lećcie zbierać słodki miód, napełniajcie komórki woskowych plastrów. Piastowe my pszczoły, Piastowy my rój! Do roboty, do roboty”!

Więc z rozgwarem wyfrunął pszczelny lud, wzbił się, jak obłok, dokoła jabłoni, i żaden monarcha nie ma w swym marmurowym pałacu tak cudnego chóru, jak ten pszczelny chór, krążący koło jabłoni raz dokoła, raz dokoła.

Wyszła z chałupy Jagusia, gąski zaganiać. Bosemi nóżkami szła po szarej ziemi, a oczy miała jak fiołki, co dźwigały z trawy ciekawe główki. A kosę miała piękną: długą jak palec i grubą jak palec, a wstęga u niej krakowska w róże i chabry. Z wiaterkiem wstęga powiewa, a Jagusia śpiewa:

Hula gąski na gałązki,
Hula na wodę, na wodę...
Wszystkie gąski popłynęły,
A ja nie mogę, nie mogę!

Przeszła Jagusia przez sad na łączkę nad rzeczka, popędzając swoje gęgające stadko.

Szła na czele gęsia mama z należytą powagą, a była to gęś okazała: dziób czerwony, łapy też, szyja i grzbiet białe, a skrzydła szare, słowem, piękna gęś siodłata. Szły za nią gąsięta zielonawo-żółte, gwarząc delikatnie między sobą, a na końcu kroczył dumny i zarozumiały gąsior, co od czasu do czasu syczał srogo na Jagusię, jakby mówiąc: „Tylko ty bądź grzeczna, nie dokuczaj moim piskletom, bo inaczej rozszarpie cię w kawały”, przyczem tak groźnie wstrząsnął skrzydłami, aż dwie żaby, co były blisko ścieżki, skoczyły w przerażeniu ku rzeczuloe.

Po obu brzegach rzeczulki złociły się rozkwitłe kaczeńce, jak duże krople roztopionego złota, a środkiem wiała się wesoła struga pod stare olchy, dalej gdzieś aż za pole Wojciechowej, ku starej chacie tej wdowy.

Czterech chłopaków i cztery dziewczuszki żyją i pracują w Wojciechowej chacie.

Poważny sosnowy bór stał zadumany nad rzeczulką. Rozmyślał pewnie, co porabia Wojciechowa rodzina.

Stary Wojciech leży już w mogile na cmentarzyku niedaleko od kościołka, którego wieżyczka strzela wysoko nad płaską równiną Jagusinej wioski.

Na Anioł Pański biją dzwony małego kościołka. Wyszedł Jegomość, siwiuteńki jak gołąb i sypie hojną dłonią białe kulczki grochu na stadko szarych gołębi, sypie na skrzydła i głowy gęsty grad perłowy.

Zobaczył proboszcz słomę rozwleczoną na drodze, więc krzyczy na Jędrka:

— Czy ty nie widzisz, urwisie, jak tu naśmieccone? Nigdy w niezem nie ma porządku! Ja ci tu zaraz sprawię!

— Laboga! ady lecę duchem—woła Jędrak, ledwie powłócząc nogami, bo wiedział dobrze, że Jegomość zawsze się odgraża, że „mu sprawi”, ale zawsze się na tych srogich groźbach kończyło.

Od kościoła szła szeroka droga do miasta. Jagusia nigdy tam jeszcze nie była, ale Wojciechowej Franek był tam już trzy razy, więc opowiadał Jagusi, jakie to tam cuda w mieście.

Jakie ulice, place, jakie domy, pod niebo wysoko się pnące, jakie kościoły, po sto razy większe od naszego (podróżnicy zawsze lubią przesadzać).

A jakie sklepy, a co w nich różności, a jakie szkoły wielkie: idą rano chłopcy, panienki, maluśkie baki, mniejsze od Jagusi i takie już zupełnie duże państwo. A po południu wraca to wszystko. Boże! tyle godzin w szkole! Bez łąki, bez lasu, bez rzeczułki!

Ale mówił jemu Tadzik ze dworu, że tam w szkole wcale nie nudno, że takie okropnie ciekawe opowiadają rzeczy, a na pauzę to już można sobie używać, bo wszyscy się gonia, biją, grają w piłkę, czasem jedno drugiemu rozbije nos, lub rozedrze ubranie, słowem, jest okropnie wesoło.

Różne i bardzo dziwne mówił ten Tadzik rzeczy. Kazał Frankowi naprzykład nauczyć się na pamięć i uczyć inne dzieci we wsi tak:

„Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy:
Polski my naród, Polski lud,
Królewski szczep Piastowy”.

Franek niebardzo rozumiał, dlaczego ma się tego uczyć, ale wiersz bardzo mu się podobał, zwłaszcza, że Tadzik mu tłumaczył:

— Lubisz się kąpać w naszej rzece?

— Juści, że lubię.

— A widzisz, to jest polska rzeka. A smakuja ci czerwone jabłka z sadu?

— To się wie.

— A widzisz, te jabłka to są polskie jabłka. A jagody w lesie, a brukiew w polu — to wszystko polskie i dlatego takie wszystko dobre.

Franek rozmyślał, że juści to wszystko jest polskie i dobre, ale przecież ta pomarańcza, co ją kiedyś dostał od Tadzika, to przecież nie była polska, a jednak też była doskonałą.

Pytał się Jagusi, co tu o tem myśleć, ale Jagusine gęsi akurat umyśliły zrobić małą wycieczkę na drugą stronę rzeczułki na pole młodego żyta, więc mała pasterka musiała

przeskoczyć, aby swą gromadkę zawrócić. Franek jej chciał pomóc, dodał odwagi: raz, dwa, trzy! i bęc oboje w rzeczulkę!

Franek zauważył, że woda w rzeczulce, chociaż polska, jest jednak jeszcze zimna, ale zagadka pomarańczowa została nierozwiązaną.

Gęsi zawrócono do wody, a dzieciaki schowały się za krzak wikliny, aby się na słońcu osuszyć. Krzak zasłaniał je zupełnie, to też nie widział ich Tadzik ze dworu, idący brzegiem rzeczulki, która robiła tu śliczny zakręt.

Tadzik usiadł nad wodą i mówił do niej, i do lasu, i do pola, i do drzew. Taki on już był zawsze.

— Dokoła mnie pola szare, zieloną runią kryte zbóż. Przyjdzie lud mój z kosami, zbierze bujny plon, wypiecze matka chrupiący chleb, nakarmi dzieci. Nie będzie głodnego człeka na tej ziemi. Hej, ty Ziemio Polska, tak bogata, że wyżywić mogłabyś pół świata! Ziemio, ty trzymasz życie ludu tysiąc lat. Całuję twą szarą skibę, Ziemio Polska, ja, syn Polskiego Ludu. Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród!

Zamyślił się Tadzik, patrząc na rozległą płaszczyznę mazowiecką. Kołował nad nią duży bocian, bywalec, wędrownik, zimę spędził gdzieś na południu, w ciepłych krajach, a teraz na wiosnę zataczał kręgi nad swem gniazdem, co za Łukaszkową chałupą na wysokiej było topoli. Tadzik patrzył na rzeczulkę i mówił:

„Nad tą rzeką, nad tą moją
Poświęcane chaty stoją,
A w nich zbożność i prostota
I pogoda mieszka złota”.

Dzieci zaczęły się wysuwać z za krzaka wikliny, by podejść do Tadzika, lecz on nie słyszał nic, tak był zamyślony, wpatrzony w Ziemię rodzinną.

A tu chmura zaszła na słońce, świat posmutniał, poszarzał, zbiedniał, wyglądał, jak stara sukmanka wiejskiego chłopca.

Tadzik nic nie słyszał, patrzył na świat oczyma swej kochającej młodej duszy, a jego czerwone, czyste, słodkie wargi drżały, jak śpiewem serdecznym:

„Kocham Cię, Ziemio!
Za twą nędzę,
Za ciężkiej doli zgrzebną przedzę,

Za łzy, co płyną wciąż po tobie,
Za to, żeś smutna i w żałobie!
Żeś cała jednym wielkim płaczem!
Za to, co w sobie masz tułaczem,
Za byłe wiosny, zgasłe blaski,
Za szare skiby, płowe piaski,
Za kęs twardego w pocie chleba,
Kocham Cię, Ziemio! bardziej nieba!"

— No, spytaj się o tę pomarańczę—mówiła Jagusia do Franka.

— A juści, przecie on płacze, o, widzisz łzy? Będę go tam turbował?

Szept dzieci rozbudził Tadzika. „A, to wy, baki, jak się macie? Patrzcież, jak tu jest pięknie: polska rzeczulka wije się przez polską łąkę, szumi polski las, praojcowy bór. Dokoła zieleń polskich zbóż, kwitną jabłonie polskich sadów. Po chatach mieszka polski lud i mowa polska brzmi dokoła. Podajcie mi ręce i powtarzajcie ze mną rotę przysięgi:

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy,
Nie damy, by nas gnębił wróg,
Tak nam dopomóż Bóg!

Dzieci uroczyście powtarzały słowa roty, a gdy ją kończyły, zadzwierały właśnie dzwony sygnaturki kościelnej, jakby na znak, że Bóg przyjął dziecięcą przysięgę.

P Y T A N I A.

Jak się nazywa twoja ziemia rodzinna? Co widzisz na tej ziemi? Jaki lud mieszka na tej ziemi? Czy kochasz swoją ziemię rodzinną? Niech każde z was powie, dlaczego kocha swój kraj. Czy nasz kraj jest górzysty, czy płaski? Czemu się głównie zajmuje lud polski? Jak wygląda wioska polska?

Kto z was był na wsi i gdzie? Czy lubicie wieś i dlaczego?

2. Czytanie mapy.

Oto na ścianie wisi mapa, a mapa — to napół książka, a napół obraz. Trzeba umieć na nią patrzeć i trzeba umieć ją czytać. Cóż tam jest napisane w górnym rogu?

„Europa Środkowa pod względem fizycznym”.

Mogłoby też być tam napisane „Ziemie Polskie”, bo one właśnie leżą w samym środku Europy i stanowią jej najgłówniejszą część.

Ale co to znaczy „pod względem fizycznym”? Naturalnie, że Ziemie Polskie są bardzo dawne. Teraz mieszka na nich dużo ludzi, ale lat temu sto mieszkało mniej, a pięćset lat temu—jeszcze mniej, tysiąc lat temu—jeszcze mniej, i tak stopniowo cofając się wstecz, dojdziemy do takiego momentu, że na tych ziemiach nie było wcale ludzi, ani wsi, ani miast. Nie było dróg, ani kanałów, nie było kopalń, ani fabryk, była tylko sama ziemia taka, jak ją natura zostawiła, bez wpływu człowieka.

Taka sama ziemia bez człowieka, przedstawiona na mapie, nazywa się ziemią pod względem fizycznym.

Jeżeli tu jest zaznaczone trochę miast i parę kanałów, to dlatego, że bardzo trudno byłoby nam wskazywać różne punkty i okolice bez kilku chociaż miejsc do orjentowania się. Ot, na przykład, tu jest zaznaczone nasze miasto Warszawa, tu Kraków, a tu Gdańsk.

Szukając staranniej, odnajdziemy też Poznań, Wrocław, Częstochowę, Lwów, Kijów, Wilno, Rygę i parę innych jeszcze miast, rozrzuconych po naszej mapie.

Mapa—to obraz, a obraz maluje się farbami. Jakież farby użyte są do naszej mapy? Trzy są tu zasadnicze kolory: niebieski, zielony i brązowy.

Niebieskim kolorem oznaczone są tutaj wody, a więc: morza, jeziora, rzeki i błota. Ten wielki obszar wód—to morze Bałtyckie, a to w przeciwnym rogu—to morze Czarne. A pomiędzy niemi leży Polska od morza do morza.

Ale oto w tym lewym dolnym rożku też widać niebieską plamę: to już trzecie morze naszej mapy, to Adrjatyk.

Na błękit Czarnego morza wysuwa się półwysep Krymski. Po drugiej stronie wąskiego przesmyku, łączącego go z lądem, widać też niebieskie wody: to już morze Azowskie. Słowem, na naszej mapie widać aż cztery morza.

Niebieską farbą są też oznaczone jeziora. Szukajmy gdzie ich jest najwięcej. Oto dookoła Bałtyku widać gęsto usiane jeziora i dlatego obszar ten nazywa się „pojezierzem”.

Jest też dużo jezior na Kujawach, a z nich największe jest Gopło, gdzie obrano Piasta na króla. Są też piękne jeziora w Tatrach, a najpiękniejsze z nich — to Morskie Oko.

Ciemno niebieską barwą są też tu oznaczone rzeki: Jedne z nich płyną do Bałtyckiego, a inne do Czarnego morza.

Pocziwa nasza mapa zaraz je wskazuje: oto dążą ku Bałtykowi Odra, Wisła, Niemen i Dźwina, a oś ku Czarnemu morzu Dniepr, Boh i Dniestr.

Wreszcie niebieskie kreski oznaczają bagna, moczary, trzęsawiska, błota. Spytajcie mapy: „proszę mapy, gdzie tu jest najwięcej błot?”, a ona wam odrazu pokazuje ogromne bagna, zwane błota Pińskie, albo Polesie. Zajmują te błota obszar trójkątny pomiędzy Kijowem, Mohylowem i Brześciem Litewskim.

Do każdej z głównych rzek wpadają jej dopływy większe i mniejsze, zupełnie drobne rzeczulki i strumienie. Cały obszar ziem, z których wody dążą do jednej rzeki, nazywa się „dorzeczem”. Mamy więc tutaj dorzecze Wisły, tu dorzecze Niemna, tu dorzecze Dniestru i t. d.

Dorzecze jedno od drugiego oddzielone jest na naszej mapie czerwoną linią. Taka linja to jest dział wodny, bo ona dzieli wody na prawo i na lewo: „ty płyn do Wisły, a ty płyn do Niemna”, mówi ziemia, a za nią mapa, i posłuszna woda musi płynąć, jak jej każe.

Czerwone linje działów wodnych idą przeważnie po miejscach wyższych, po górach, pagórkach, grzbietach wzgórz.

Trzebaby się spytać teraz mapy: „a gdzie tu są góry?”

Uprzejma, mądra mapa da na to zaraz odpowiedź: „tam są najwyższe szczyty górskie, gdzie najczarniejsza farba”. Szukajmy tedy. Oto najczarniej jest tu, bo to są najwyższe nasze góry Tatry. Widać tu białe duże kropki. One oznaczają góry tak wysokie, że przez cały rok leżą na nich wieczne śniegi.

Im kolor górski, ten ciemno brązowy, prawie czarny, będzie się rozjaśniał, to znaczy, że schodzimy niżej. Odrazu jednak rzuca się w oczy duża ciemna smuga na południu: to Karpaty, duży łańcuch gór, długi, szeroki i wysoki. To znów niższe trochę Sudety, a tu dużo wyższe Alpy.

Ale w łańcuchu Karpat, pomalowanym ciemno, widać jedno miejsce jaśniejsze, bo niższe. Przez to miejsce najłatwiej

jest przejść z północy na południe, z Polski do Węgier. Takie przejście nazywa się „przełęcz”, a że tu jest miasto Dukla, więc i ta przełęcz to „przełęcz” Dukielska.

Chodźcie zobaczyć, ile metrów ma ona wysokości. Tu napisane 502 metry. Więc taki kolor brązowy oznacza wyżynę 500 metrów wzniesioną nad Bałtykiem, a ten jaśniejszy kolor to wzniesienia 400 metrowe, te — 300 metrowe, te — 200 metrowe, a te — 150 metrowe. To wszystko jeszcze są wyżyny.

Jeżeli jednak grunt jest wzniesiony nad poziomem Bałtyku mniej, niż 150 metrów, będzie się to już nazywało niziną i oznaczone jest na mapie kolorem zielonym.

Tych zielonych kolorów jest tutaj trzy. Jasno zielone to miejsca jeszcze trochę wysokie, ciemniejsze — to już niższe, a najciemniejsze — to już najniższe.

Jak gdybyśmy schodzili po schodach: 150, 100 i 50 metrów nad Bałtykiem.

Gdy grzeczna mapa wydała nam już swe sekrety, to widzę teraz jasno i wyraźnie, że góry, wyżyny, wzniesienia znajdują się na południu naszych ziem, a im bardziej na północ, tem też jest niżej; stacza się grunt ku morzu, a nad morzem jest najniżej.

Jeżeli z Warszawy będziecie szli na południe, to trzeba iść ciągle pod górę aż do Karpat, a jeżeli ruszycie ku północy, to będziecie szli ciągle z góry, coraz niżej, aż staniecie nad morską tonią.

Jeżeliby ziemia nasza była gładką jak tablica, to duża piłka czy kula, wypuszczona z Karpat, potoczyłaby się aż do Bałtyku. A Wisła w takim wypadku płynęłaby jak kanał prosty i równy z południa na północ.

Ale powierzchnia ziemi nie jest równa, jak tablica: są na niej góry i doliny, są wyżyny i niziny. Dlatego też i rzeki muszą zmieniać swój kierunek, kreśląc linje kręte, a Wisła, płynąc ku morzu, wyraźnie kreśli literę S.

Uważnie patrząc, zobaczymy, że i w pobliżu Bałtyku zaznaczone są pewne wzniesienia, wyżyny nadbałtyckie, wprawdzie dużo niższe, niż wyżyny południowe, ale zawsze i to są wyżyny.

To też nasza ziemia najlepiej dałaby się podzielić na trzy pasy, idące z zachodu na wschód: te wszystkie wzniesienia na południu noszą ogólną nazwę: *pas wyżyn południowych*.

Przez środek ciągnie się wielka rynnna, jak bródza, lub zapadlina, a nazywa się ona: *kraina wielkich dolin*.

Wreszcie na północy znów macie wyżyny, które noszą nazwę: *wyżyny pojezierza*.

Oto, co wam powiedziała mapa. Wskazuje też ona w niektórych miejscach czerwone kreski wpoprzek rzek. Są to prze-grody skalne, po których woda wre i pieni się. Takie prze-grody zwiemy progami, lub z rusińska „porohami”. Nie szuka-jecie takich porohów na Wiśle, ani na Niemnie lub Odrze, bo ich tam nie znajdziecie. Ale na Dniestrze pod Jampolem oto są. Na Dźwinie też są, a największe są na Dnieprze za Ekaterynosławiem, a jest ich tam kilkanaście.

Jeszcze tu widać niebieskie kreski z ząbkami. Są to ka-nały, łączące ze sobą rzeki. Tu pod Augustowem widać taki znak, to kanał Augustowski. Tu pod Bydgoszczą też jest—to kanał Bydgoski. Za Brześciem Litewskim też jest — to kanał Królewski.

Upłynęła godzina. Obca przedtem mapa przemówiła te-raz, ożyła, pokazuje wszystko: wody, góry, niziny, działły wo-dne, porohy, kanały, śnieżne szczyty, tafle jezior, wybrzeża mórz. Dobra mapo, dziękujemy ci za twą uprzejmość, powie-działaś nam bardzo dużo o naszej kochanej ziemi.

P Y T A N I A.

Na jakiej wysokości nad morzem stoi Warszawa, Kraków, Gdańsk? Gdzie tu najniższe obszary? Gdzie śnieżne szczyty? Pokażcie bieg każdej z rzek. Pokaż dział wodny pomiędzy Odrą a Wisłą, Wisłą a Niemnem, Niemnem a Dźwiną. Pokaż porohy Dnieprowe. Gdzie tu największe błota? Narysuj ich granice. Czy widać błota w pobliżu Warszawy? Pokaż kanał: Augustow-ski, Bydgoski i Królewski. Gdzie możnaby jeszcze przekopać kanały? Pokaż stopniowe wznoszenia się ziemi od Prypeci do Dniestru. Pokaż morza Azowskie i Adrjatyckie. Pokaż Sudety i Alpy. Którędy przejdiesz przez Karpaty? Na jakie pasy dzielimy Ziemie Polskie? Narysuj je.

3. W i s ł a.

Mieszkała Zosia na Ogrodowej. Lubiła bardzo swój dom, ulicę, lubiła duże psisko Nidę, lubiła też ogromnie całą Warszawę, ale już największą dla niej radością było, gdy mamutka brała ją nad Wisłę.

Szły sobie we trzy: mamutka, Zosia i Nida, po ślicznym wiadukcie w Alejach do mostu Ks. Józefa Poniatowskiego i Zosia napatrzeć się nie mogła tej szarej fali, co płynie i płynie bez przerwy dzień i noc. Nadchodzi gdzieś z daleka i w dalek znów ucieka ciągle, ciągle, dzień i noc.

— Jak mamutka była malutka to też Wisła płynęła?

— Płynęła, dziecińko.

— A jak babcia była malutka, to też?

— Też, kochanie, sto, tysiąc, parę tysięcy lat temu tak samo płynęła Wisła tędy.

— No, no!—Dziwiła się Zosia i mówiła do Nidy:—Niech psisko pamięta, parę tysięcy lat pani Wisła płynie, płynie bez odpoczynku, rozumiesz?

Nida poruszyła ogonem na znak zdumienia, ale okiem ściagała wronę, lecącą nad rzeką.

— Chciałabym być ptakiem, albo obłoczkiem, aby ciągle fruwać nad Wisłą, bo ją bardzo kocham.

Pojechała Zosia na lato do cioci Jadźki, co mieszkała na wsi. Stał duży dwór w sadzie, który kończył się nad rzeką.

— Jaka tutaj Wisła mała!—dziwiła się Zosia.

— Bąku drogi, to nie jest Wisła, to jest Pilica.

— Ale przecież też płynie?

— Płynie, płynie, w Wiśle ginie. Gdybyś usiadła tutaj w łódkę i powierzyła się wodzie, to poceciwa, śliczna Pilica zaniósłaby cię do naszej ukochanej Wisły, bo ona do niej dąży.

— Nida, popłyniemy razem! Dobrze?—Ale Nida ziewała, chcąc się wypaść po bieganiu, i dlatego Zosina wyprawa nie przyszła do skutku.

Siedziała Zosia z mamutką tuż nad Pilicą i prosiła, żeby opowiedzieć wszystko o Wiśle, ale wszyściutko, to ona już

to samo wszystko powtórzy Nidzie. Może Nida zachęci się do podróży.

Mamutka zaczęła słodkim swoim głosem mówić o Wiśle, o wielkich miastach, co nad jej tonią stoją, o mnóstwie rzek, co do Wisły dążą te z prawej, te z lewej strony. Jak srebrny dzwoneczek brzmiał jej słodki, miły głos.

— Kobiety!—wołała zajęta w ogrodzie ciotka Jadźka—kobiety! a nie siedźcie tak na samym brzegu, bo się ziemia obrywa i wpadniecie do wody!

Ale kobiety: mamutka, Zosia i Nida, nie uważały na wołanie ciotki Jadźki. Nida spała, Zosia słuchała, a mamutka opowiadała.

A mamutka opowiada cudnie, tak jakby kto śpiewał. Zocha słuchała, słuchała z uwagą wielką. Z tej nadmiernej uwagi ziewnęła Zośka raz i drugi, pomieszały się jej rzeki z miastami, prawa strona z lewą, ziewnęła raz jeszcze i... usnęła.

I stało się to, co ciotka Jadźka przepowiedziała: oberwała się ziemia i Zośka stoczyła się do rzeki. Nie wiedziała nawet, co się stało z mamusią, nic, nic, zsunęła się tylko do wody i stała się jasną, przezroczystą, wodną kropelką, śpieszącą z tysiącami takich samych kropelek przed siebie.

Z początku podróż ta bardzo Zosię zakłopotala, ale inne kropelki podbiegły do niej i mówiły: ja jestem Pilica, ta też jest Pilica, ta też jest Pilica, tamta także, my wszystkie to kropelki pilickie, a ty ktoś jest?

— Ja jestem Zosia z Ogrodowej ulicy.

— Popłyniesz z nami do Wisły?

— Popłynę.

Wkrótce też panny pilickie dotarły do królowej, bo tak nazywały Wisłę, i złączyły się z jej falą z lewej strony, jakby pod lewą ręką Wisły, pod lewą stroną jej płaszcza.

Zosia знаła te strony, więc pokazywała kropelkom wysokie baszty zamku w Czersku, potem kościoły Góry Kalwarji. aż kropelki zaczęły się tłoczyć i dopytywać Zosi, co to widać takiego: tyle wież, takie gmachy, mosty; wspaniałość wielka, aż się w oczach ćmi?

— To jest nasza stolica, Warszawa—z dumą mówiła Zosia.

— Warszawa, Warszawa! — trącały się łokciami kropelki i jedna przez drugą zaczęły się pchać i biec, by zobaczyć to dziwo.

Zosia opowiedziała im o królewskim Zamku i o starej Katedrze, o kościele Panny Marji, chciała im powiedzieć o kolumnie króla Zygmunta:

„Jest u nas kolumna w Warszawie,
Na której usiadają podróżne żórawie,
Spotkawszy jej liściane czoło wśród obłoka”.

Ale to tam niema czasu na długie gawędy, wkrótce już płynęły pod Bielanami, widziały Młociny, a dalej, już po drugiej stronie, Jabłonnę.

Kropelek różnych było coraz więcej, w tym tłumie poginęły gdzieś pilickie przyjaciółki i Zosia czuła się obco, gdy podpłynęły do niej dwie dziarskie kropelki:

— Jestem Dunajec, a to mój przyjaciel San — przedstawiali się nowi znajomi — ja jestem rodem z Tatr, a on z Karpat. Obaj z prawej strony przyszedliśmy do Wisły. A czy panienska już zna samą królowę?

— Nie, ja przypłynęłam z Pilickimi.

— A to my przedstawimy panienkę królowej, jak godność?

— Zosia z Ogrodowej ulicy.

— Najjaśniejsza pani, królowo miłościwa, oto panna Zosia pragnie złożyć swój hołd i pokłonić się Waszej Królewskiej Mości.

— Witam Cię, Zosiu, na moim dworze, proszę, bądź mi przyjaciółką, daleką już odbyłam drogę. Mój dwór się cały ukochany toczy przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy. Kulebką moją jest ciche źródółko na Baraniej górze. Czarną Wisłką nazywano mnie tam. Po drugiej stronie naszej góry płasza siostra moja, Białka. Połączyłyśmy swe wody i dążymy do Bałtyku, dużego morza. Opłynęłyśmy królewski zamek Wawel w Krakowie, a z prawej i z lewej strony dużo rzek, strumieni, potoków, rzeczulek łączyło się z nami. Nawet nie spamiętałabyś, mała Zosiu, ich nazw, więc tylko najwybitniejszych moich dworzan i damy przedstawię ci, tylko proszę cię: pamiętaj dobrze, który z nich przyszedł z prawej, a który z lewej strony,

bo gdybyś się pomyliła co do tego, to oni się bardzo o to obrażają.

— Dobrze, królowo, zapamiętam sobie.

— Oto pan Dunajec po mej prawej ręce, góral tatrzański a wkrótce po jego przybyciu podeszła do nas z lewej strony ta dama—Nida...

— Nida?

— Tak, Nida, coś cię to dziwi?

— Bo ja znam jedną Nidę, ale ona ma cztery łapy i zimny nos.

— To musi być zapewne pies, a ta tutaj pani Nida to obywatelka z Kieleckiego. Za starym grodem Sandomierzem czekał na nas po prawej stronie znany ci już pan San, wspaniały, dumny karpacki bohater. Ziemie jego idą od gór do nizin. Płynęliśmy pod Kazimierzem. Zosiu droga, co tam jabłek, śliwek, owoców. Chciałam się tam zatrzymać, ale, choć królowa, muszę spełniać swój obowiązek i dążyć stale do morza.

Tu Zosia usłyszała dziwne chrzkanie, zapytała więc królowej, co to jest takiego.

— Ach, to nasz lubelski przyjaciel, nazywa się brzydko, wyobraź sobie, Zosiu: Wieprz! Ale to bardzo zacny pan, po naszej prawicy idący. Natomiast z lewej strony oto znana ci Pilica...

— Ach, tak, to Pilica.

— Najpotężniejsi wasale moi czekają mnie u prawego brzegu pod Modlinem, bo zacna para: pani Narew z północy i pan Bug z południa. Spotkali się, wyobraź sobie, pod Serockiem i razem przybywają do mego orszaku.

Jakoż pod Modlinem w ciemne szaty odziani, trzymając swe wody u prawego brzegu, czekali Bug z Narwią, powitali Wisłę i ruszyli razem.

Z lewej strony nadbiegła książęcka Bzura, a za Płockiem i Włocławkiem prawobrzeżna Drwęca. Minęli Toruń, podeszła do nich z lewej strony Brda i tak dowędrowano pod Gniew.

Tutaj nastąpiło w zgodnym dotąd orszaku pewne zamieszanie: wszyscy biegali, mijali się, popychali. Zosia nie wiedziała, co to znaczy, odprowadziła więc na bok kropelkę Brdy, która z tamtych stron pochodziła, by zapytać o przyczynę tego zamieszania.

— O, mała Zosiu z Ogrodowej ulicy! Toż tutaj musimy się podzielić, bo dwie przed nami drogi: na prawo to Nogat, a na lewo Leniwka. Musi więc każdy zdecydować się, którądy do morza popłynie.

— Ja nie chcę być Leniwką, wolę być Nogatem—płakała Zosia.

— Widzisz, kto popłynie Nogatem, zobaczy posępne zamczysko krzyżackie w Malborgu, a kto się wybierze Leniwką, ten pojedzie do Gdańska.

— No, to ja już wolę do Gdańska.

Pożegnał się tedy zgodny dotychczas orszak, część popłynęła Nogatem, a Zosia napatrzeć się nie mogła dziwom nad Leniwką. Gdańsk! Co to za mury, jakie wieże, co za gmachy! Bogate miasto, korona Wisły.

Zatopiła się Zosia w rozmyślaniu o swej podróży: dziwiło ją, że orszak Wisły taki jest duży po prawej, a mały po lewej stronie, boć to po prawej stał Dunajec, San, Wieprz z lubelskiego, Bug, Narew, Drwęca, a tymczasem z lewej tylko cztery damy dostojne: Nida, Pilica, Bzura i Brda, oraz trochę mniej ważnych służebnic.

Zastanowiła się Zosia, dlaczego to tak jest, gdy wtem dotkliwy uczuła ból: potężny bałwan morski uderzył w falę wiślaną. Krzyknęły, rozbiegły się przerażone kropelki. Gorzko-słona woda morska otoczyła je, a wspienione fale wzbijały się ku górze, to znów rzucały bez miłosierdzia w głębiny.

Zosia cierpiała bardzo. Chciała szukać towarzyszków, wołać pomocy, ratunku, ale ryk morza głużył jej wołania, siły słabły i tak utonąła w Bałtyku biedna Zosia z Ogrodowej ulicy.

P Y T A N I A.

Skąd bierze początek Wisła? Z wielu zaczyna się strumieni? W jakim dąży kierunku? Z której strony ma więcej dopływów? Wylicz większe dopływy prawe, pokaż je. Wylicz większe dopływy lewe, pokaż je. Gdzie zaczyna się delta Wisły? Jak się nazywa prawe ramię Wisły? Jak lewe? Jaki port stoi przy ujściu Leniwki? Czy Wisła zamarza? Czy są powodzie i kiedy? Czy są na rzece piaski? Jakie statki widzujemy na Wiśle? Wylicz i pokaż większe miasta nad Wisłą. Narysuj Wisłę. Narysuj deltę wiślaną.

4. Bałtyk.

Szalony wicher szarpał toniami morza. Piętrzyły się fale, a ich grzbiety pokrywała srebrzysta piana. Widok to był groźny, ale bardzo piękny, a wicher, szalejący na wolnem przestworze, śpiewał pieśń zwycięską:

O, morze! sine morze! kto nad cię piękniejszy?
Z wszystkich Stwórcy objawień kto większy nad ciebie?

Słyszała kropelka Zosia urywki tej pieśni, ale nie wszystko, bo ją porywały fale ku górze tak wysoko, jak kamienica na Ogrodowej, to znów rzucały ją głęboko, głęboko na piasek dna morskiego.

Dziwne płaskie ryby leżały tam na piasku, ryby, jakich na Ogrodową nigdy nie przynoszono. Leżały one na dnie, jak gdyby szare szmatki niekształtne, zlekka przysypane piaskiem.

Nie miała czasu Zosia przyjrzeć się im należycie, bo znów porwał ją bałwan i poniósł wysoko, wysoko w górę i wtedy ujrzała gdzieś w dali białe żagle łodzi rybackich, dążących ku zieleniejącemu brzegowi, który był daleko, daleko, za pasem żółtych piaszków, pokrytych zielonym borem.

O żółty nasz brzegu! Biała nasza Wisło!
Bywajcie nam zdrowe!... Na morze! na morze!

Spojrzała kropelka Zosia na lewo i... struchlała. Co to jest? Niby dom, niby gmach, a rusza się i płynie. Z czterech czarnych kominów wali szary dym, spieniona woda, jak długi biały pas ciągnie się za nim.

Szeregi białych okien błyszczących widać w szarej ścianie. Z frontu ostry dziób, krawędź wysoka przecina fale, a na owym froncie wielkimi, białymi literami napisane jest:

„W A R S Z A W A”.

Przeciera Zosia oczy łapkami, sama sobie nie wierzy. Ależ tak, nie inaczej, to jest Warszawa. Boże! jakże się zmieniła! Ani Zamku, ani Saskiego ogrodu, ani Łazienek nie wi-

dać. Ogrodowej ulicy ani śladu. Biedna, kochana, droga Warszawa, co się z tobą stało?

Zosia zapłakała rzewnie i coś ją tak pociągnęło do ukochanego miasta, że pędziła ku niemu z rączkami wyciągniętymi i oczyma pełnymi łez.

Za wszelką cenę chciała dostać się do Warszawy. Siadła więc na duży bałwan, co pędził w tamtą stronę, i jechała na nim z ogromną szybkością.

Warszawa rosła w jej oczach. Widać było nawet ludzi, chodzących po wierzchu. Zosi zdawało się nawet, że to jej starszy przyjaciel, Tadzik z Leszna, stoi tam na górze, więc z radością krzyknęła:

— Tadzik! Tadzik!

Ale zły bałwan zgiewany widać był na Warszawę i chciał ją przewrócić, bo rozpędził się i całą siłą uderzył w szary bok.

Dumna Warszawa ani drgnęła, a bałwan rozprysnął się na drobne kropelki. Najgorzej wyszła biedna Zosia, gdyż zły bałwan tak silnie uderzył nią o bok Warszawy, że straciła ona (Zosia, nie Warszawa) przytomność i nie już nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Porwały ją tymczasem fale, coraz dalej unosząc od Warszawy. Widziała Zosia purpurową łunę zachodu przed sobą, ku tej łunie pędziły ją wichry, zapadła potem czarna, posępna noc, splakana Zosia zasnęła, nie widziała i nie słyszała nic, co działo się koło niej.

Zapewne długi czas już upłynął, gdy ktoś trącił ją w ramię, wołając:

— Zosiu z Ogrodowej, obudź się!

Patrzy Zosia zdumiona, a koło niej znajomy pan Dunajec z Tatr.

— Ach, jakże się cieszę, że cię widzę, kochany góralu, tak mi tu smutno i samotnie.

— I ja jestem bardzo rad, że widzę znajomą, trzymajmy się razem, będzie nam rażniej.

— Z ochotą, panie Dunajcze.

Wzięły się kropelki za ręce, wypłynęły na wierzch fali, aż tu słońce czarowne, burza morska przeszła, przed nimi wysoki biały kredowy brzeg, na nim lasy bukowe, cieniste, zielone.

Dunajec aż zadrżał: „góry! góry!”

Od ładu leciutki wietrzyk powiewa i śpiewa:

„Rugja to, Rugja, wyspa starodawna, prastara Słowian siedziba sławna. W starej świątyni posąg Światowida i biały koń bożyszcza pasał się na zielonem błoni w Arkonie. Dziś jeno została ziemia, morze i niebo. Obcy ludzie przyszli, zabrali białego konia, obalili posąg, rozproszyli się starzy Słowianie”.

Umilkł na chwilę wietrzyk, a kropelki wpatrzone były w czarowne pobraże wyspy.

Po chwili wietrzyk zaczął znów swój śpiew: „Za Rugją Duńczyk mieszka pracowity, pasie krowy tłuste, masło, sery wyrabia. Po drugiej stronie Szwedzi zasiedli, zacny, pracowity naród. Daleko, daleko na północ sięgają. A na północy, przez morską zatokę leży kraj tysiąca jezior, Finlandją się zwie. Każdy kraj wody swoje śle temu morzu w dani”.

Ucichł, a Zosia z Dunajcem zobaczyli, że kropelki dookoła nich są najrozmaitsze, były tam: Polki, Litwinki, Rosjanki, Niemki, Dunki, Szwedki, Finlandki, bo to wszystko nad Bałtykiem żyje i do morza spływa.

Dunajec chciał koniecznie te wszystkie kraje obejrzeć, zwłaszcza, że wiatr opowiadał o wielkich portach, gdzie tysiące okrętów z całego świata przypływa, o latarniach morskich, co mrugają w nocy światłem na żeglarzy, o wielkich wyspach, co jak ogrody zielone leżą na tafli morza, otoczone falami.

Wszystko to niewątpliwie były ciekawe rzeczy, ale Zosia nie chciała widzieć ani tych portów, ani wysp, bo ona chciała koniecznie wracać na Ogrodową.

Dunajec był zły, nawet w duchu brzydko zaklął, ale przecież chłopczyk nie może zostawić na morzu samotnej dziewczynki, więc rad nierad powędrował z Zosią.

A Zosia pięknie prosiła wietrzyka:—Panie Wietrzyku, popędź nas, proszę, ku Wiśle i Ogrodowej ulicy.

— Z miłą chęcią uczynię to, gdyż właśnie biegnę zbierać mgły morskie i robić z nich chmury: więc po drodze popędzę was w stronę Gdańska.

Zosia z Dunajcem popłynęli tedy ku Gdańskowi. Już wiadać było na płaszczyźnie wysokie wieże gdańskie, gdy spotkali na morzu kilka łodzi rybackich i usłyszeli rozmowę:

— My, Kaszubi, rybacy doskonali, morze nas żywi i morze kochamy.

— O, tato—wołał mały chłopiec w łodzi—niech tata patrzy, jaka duża flondra.

I wyciągnął z sieci właśnie taką płaską rybę, jakie Zosia widziała na dnie.

— Śpieszmy się, kumie, z robotą—mówił jeden kaszubski rybak do drugiego—dziś Warszawa odpływa do Anglii, trzeba ryb dostarczyć dla załogi.

— A tak—odpowiedział drugi—wielki to okręt, ludzi na nim dużo, więc i żywności potrzebują dużo.

Tymczasem Dunajec trącił Zosię: — Patrzno, patrzno, co się tam dzieje na piasku?

Rzeczywiście, ani się spostrzegli, jak dobry wietrzyk popędził ich pod samo wybrzeże. A było ono ze złocistego piasku i wielki tłum ludzi krążył tu w tę i w tamtą stronę.

Mnóstwo dzieci bawiło się nad morzem: kopały doły na wodę morską, inne puszczały okręciki o białych żaglach.

Jakiś mały bąk cały ubabrał się w piasku, że mu ledwie oczki było widać, gwar, wesołość były wielkie, dziatwa uszczęśliwiona.

— Dzisiaj jest sobota—powiedział do Zosi Dunajec.

— Skąd wiesz?

— No, widzisz przecie tę wielką tablicę i napisane na niej ogromnemi literami:

„S O B O T Y”.

— Eh, to tak się nazywa ta kąpielowa miejscowość. Dużo moich koleżanek przyjeżdża tu na lato do kąpeli morskich. Nawet... jeżeli się nie mylę... ależ tak... to przecież Haneczka z Sosnowej, to Stasiulek ze swoją mamą, co po angielsku mówi, patrzcież, patrzcież, to Tadzik, Tadzik, doprawdy to on, uczy małą dziewczynkę kaszubską, pływamy, Dunajeze, do niego, pływamy!

I z dużą falą puścili się ku brzegowi. Pędziła fala tuż, tuż ku Tadzikowi. Zosia aż drżała z radości, że zobaczy swego przyjaciela, ale Tadzio nie poznał Kropelki; przed falą uciekł dalej na brzeg, a biedna Zosia upadła na gorący złoty piasek

wybrzeża. Padł koło niej wierny towarzysz Dunajec, co nie chciał Zosi w nieszczęściu opuszczać.

Westchnęła Zosia głęboko ze zmartwienia, westchnął też jej towarzysz. Wrzało dokoła życie i gwar, a oni byli tacy samotni! Ulitował się nad nimi ciepły promień słońca. Delikatnie objął parkę małych, biednych przyjaciół, podniósł z piasku wybrzeża; westchnęli raz jeszcze oboje i zamienili się w leciutką mgiełkę. Wiatr, co miał pozbierać mgiełki, zabrał też ich oboje: Dunajca i Zosię z Ogrodowej ulicy.

P Y T A N I A.

Które morze jest od nas najbliższe? Jakie rzeki wpadają do Bałtyku? Jaki jest jego brzeg? Jaka wyspa jest na Bałtyku? Co zbierają na wybrzeżu Bałtyckiem? Jakie ludy mieszkają nad jego brzegiem? Jaka jest znana miejscowość kąpielowa nad Bałtykiem? Jakie porty stoją przy ujściu rzek bałtyckich? Kto z was był w Gdańsku? Opowiedz nam o nim. Kto to są rybacy koło Gdańska? Jaką rybę łowią? Co spławiają do Gdańska po Wiśle? Czy widzieliście tratwy? Kto umie: „Hej, flisacza dziatwo?” Narysuj brzeg Bałtyku od Pucka do Połagi.

5. Karpaty i Tatry.

Stała się Zosia małym obłoczkiem. Wiatr ją unosił nad pola i łąki; nad lasy, jeziora, nad wioski, słomianą strzechą kryte, i nad złociste krzyże na wieżach kościelnych.

Towarzyszył jej obłoczek Dunajec, a oboje napatrzeć się nie mogli tak pięknej krainie, gdzie było pełno

Pól, malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Leciały obłoczki wysoko, wysoko, skowronki pod nimi śpiewały wesoło, dźwięk dzwonów dochodził i brzmiały piosenki radosne, wesołe.

Po polach krzątał się lud: starzy, poważni, siwi wieśniacy i chłopaki zbytnie, zanoszące się od śmiechu dziewczęta i gderliwe staruszki, co już zapomniały, że same kiedyś wesoło się śmiały.

A do obłoczków dolatywały z ziemi i pieśni, i nawoływania, i krzyki, i śarty, a wszystko po polsku i tylko po polsku, bo to była Polska Ziemia i Polski Lud na niej pracował. Polski lud siedział tu od wieków, a sięgał Bałtyku w jedną, a Karpat w drugą stronę.

O tem wszystkim Zosia dawno wiedziała od mamutki i od Tadzika, ale Dunajec, że to był zbytny górski chłopak i wolał skakać po skałach, niż słuchać, czego Pani uczyła, więc bardzo się dziwił wszystkiemu.

Lecą dzień, lecą drugi, lecą trzeci... ciągle Polska i Polska. Toż to dopiero kraj ogromny.

Widzi Zosia, że lecą nad Warszawą.

— Patrz —mówi do Dunajca—patrz, jakie to wielkie, wspinałe miasto! Widzisz, tu most Kierbedzia, tu Zjazd, tu Staromiejski Rynek! Patrz, ile dzieci bawi się w ogrodzie, o, karmią białe łabędzie i duże karpie w stawie.

Dunajec otwierał z podziwu usta i tak się zagapił, że mało nogą o Syrenę na Ratuszowej wieży nie zawadził.

Lecą dzień, lecą drugi, lecą trzeci... ciągle Polska i Polska. Toż to dopiero kraj ogromny!

Dunajec grymaśny był chłopak, mówi do Zosi:

— Eh, płasko i płasko, jak na stole. Cóż to za kraj, gdzie niema gór?

— Przepraszam cię, Dunajeze, mylisz się bardzo, w każdym domu jest u nas góra do wieszania bielizny.

— Ot, dużo powiedziałaś! Nie takiej ja pragnę góry, nie za taką tęsknię, chciałbym już być tam, gdzie:

Pod śniegu srebrnym puchem
Tatr łańcuch teraz śpi,
Słońce na srebrne śniegi
Złociste rzuca skry.

Śmiertelnym swym oddechem
Rośliny zwarzył mróz,
I martwym się wydaje
Granitów nagich gruz.

— Bój się Boga, Dunajeze, toż tam musi być strasznie?

— Eh, Zosiu, Zosiu z Ogrodowej ulicy, tam to dopiero życie: szczyty, przełęcze, upłazy, wodogrzmoty, regle, hale, tur-

nie, krzesanice, granie, percie, tam to świat cudny, bliżej Boga, dalej ludzi.

Zosia myślała, że Dunajec bredzi, ale on się właśnie ożywił i pokazywał jej wysokie wzgórze, na którym stał wielki klasztor z bardzo wysoką wieżą.

— Patrz, Zosiu, to już góra: Jasna Góra, Częstochowa! Patrz, jakie tłumy ludu: idą kompanje z całej Polskiej Ziemi, idzie cały Polski Lud do tej Panny Świętej, co Jasnej broni Częstochowy.

Okrążyli oboje Jasnogórską wieżę, słuchając dźwięku dzwonów i pobożnych pieśni, chcieli zostać tu dłużej, ale surowy wiatr popędził ich dalej:

Jak pasterz owce, tak on spędzał mgiełki w obłoczki, obłoczki w chmureczki, chmureczki w chmury i wyszykował chmurę porządną, szarą, deszczową.

— Jagusia, zagoń gąski do domu, bo będzie deszcz!—wołała matka na małą pasterkę, a sama podeszła do kwitnącej jabłoni zobaczyć, czy już drzewko dobrze okwitło.

Obłoczki słyszały to wszystko i widziały, ale zatrzymać się nie mogły, bo wiatr się gniewał, pędził, jak gdyby mu się niezmiernie śpieszyło do jakiegoś miejsca umówionego.

Zosia była nawet obrażona o takie niegrzeczne traktowanie panienki, ale Dunajec sam jakoś, naglił, jakby go paliła gorączka:

— Prędzej, prędzej, Zosiu, wiesz, my chyba dolecimy do gór? Jakoż Dunajec się nie mylił. Rozradowany krzyknął do Zosi:

— Patrz, patrz, Kraków! O, Wawel, a tam kopiec Kościuszki! Tu Marjackie wieże, tam daleko Bielany! Boże! już czuję w powietrzu góry moje ukochane, góry moje święte!

Jakoż rzeczywiście pędzili do gór. Ziemia się układała w fałdy, biegły między niemi doliny, a w dolinach srebrzyły się lśniące potoki, pędzące bystro, wartko.

Przelecieli za Wisłę. Dunajec zupełnie zwarjował: leciał, wracał, szumiał, podskakiwał, chwycił Zosię, ciągnął. Zosia jako panienka pięknie wychowana, była obrażoną o takie zbytki, nawet mu powiedziała: „gniewam się”. Ale bo to taki narwaniec co uważa? Chwycił Zosię wpół, wykręcił w powietrzu, uniósł

w górę, zakołował, aż się inne obłoczki śmiały na cały głos, a Zosia zrobiła minę zagniewaną na serjo.

Ale Dunajec wrzeszczał na cały głos:

— Moje tu kraje górskie, mój karpacki grzbiet! Witam cię, mała warszawianko, Zosiu z Ogrodowej ulicy, patrz na moje dziedziny! Oto karpackie wały, jeszcze to grzbiety łagodne, zbocza łagodne, rzeki łagodne. Karpaty to są progi, wygodne progi do moich zaczarowanych Tatr. Po tych progach zaprowadzę cię do dumnych grani, gdzie wieczne leżą śniegi. Ujrysz zielone hale, gdzie juhasy pasą stada owiec. Góry moje.

Jam was oglądał w chwale słońca.

W błyskawic grozie, w sennej ciszy.

Zawsze jednako piękne jesteście, cudne Polskie Góry, i jednako kocham was, góry moje ukochane, góry moje święte!

Zosia zrozumiała, że Dunajec bardzo swoje górzyste kraje kocha, więc prosiła go, żeby jej coś o nich opowiedział.

— Co tu opowiadać? Ty tylko patrz i dziwuj się. Te ostre szczyty gór, skąd wypłynął w błękity potężny orzeł, to są turnie. Śniegi tam leżą, mchy tylko rosną. Pod nimi zielone śmieją się hale, łąki soczyste, ujęte w ramy kosówki. Czy widzisz, jakie stada owiec pasą się na halach? Niżej lasy ciemne: świerki, jodły, buki, a wśród tych lasów czasem mruczy „on”, niedźwiedź potężny, postrach ludzi. Górale te lasy nazywają regle, a pod reglami mają swe dziedziny, czyli pola uprawne. Widzisz tę wioskę wśród gór? To jest „Zakopane”.

— Zakopane? to jest Zakopane? Dużo opowiadała mi mamutka o tej ślicznej wiosce, a Tadzik pokazywał mi fotografie. Najśliczniejsze to było Morskie Oko. Gdzie ono jest?

— Morskie Oko jest dalej, wzbijemy się na Zawrat, za Dolinę Pięciu Stawów, a tu patrz: Kościeliska dolina, bliżej Strążyska.

Leciał do góry śpiew ostry juhasa z Kondratowej hali:

Oj góral ci jo, góral,
Da od samiutkich Tater,
Oj, ukapał mnie deszczyk,
Oj, ukołysał wiater!

Unieśli się nad ozdobione rzeźbą chaty góralskie, nad Kuźnice, ku Gąsienicowej hali, spoczęli chwilę nad Gąsienico-

wym stawem, przeszybowali nad Pięciu Stawami i poniósł wiatr nasze obłoczki nad upłazami, gdzie pasą się zgrabne kozice, lekkie taneczniczki, aż stanęli nad szeroką taflą wód, ujętą w ramy dzikich szczytów.

Dunajec spowaźniał i przycichł.

— Uważaj, Zosiu, na to zwierciadło wód. To Morskie Oko! Przeglądają się w niem wysokie Rysy, za którymi już leży węgierska kraina. Ten samotny szczyt to Mnich, a po drugiej stronie rosną limby, nad niemi zaś leży drugie jezioro: Czarny Staw nad Morskiem Okiem.

Zosi biło serduszko, gdy patrzyła na ten świat dziwny, niezwykle, tak odmienny od tego, co widziała koło Warszawy lub nad Pilicą.

Wiódł Staszek Rój, dzielny przewodnik tatrzański, grupę turystów przez Rysy na węgierską stronę, zdało się Zosi, że idzie z nimi panna Halina, jej nauczycielka, że jest tam też i ciocia Jadzia, która bardzo lubiła Zakopane, bo któżby zresztą tego cudnego zakątka nie lubił?

Zosia była wprost oszołomiona tym niezwykle wido-kiem. Wiatr pędził chmury, rzucając cienie na taflę jeziora, na surowe, posępne, groźne skały. Czasem jednak rozrywała się zasłona chmur i snop złocistego światła padał na góry i jeziora, na smukłe limby i kręte kosówki, w białe futrzane płaszczyki ubrane szarotki omdlewały z upału, a duża kania prze-frunęła ze swym krzykiem, w którym góral wyraźnie słyszy wołanie:

— Dźdźu! Dźdźu!

Zosi czy z upału, czy ze zmęczenia coraz jest ciężiej utrzymać się w powietrzu, ale boi się upaść, bo albo roztrzaska się o góry, albo utonie w fali Morskiego Oka, ale tak jej jakoś sennie, wreszcie czuje, że ciężka chłodna kropla wody spadła jej na oczko jedna, a potem zaraz na sam nos druga.

Czuje też Zosia, że ją ktoś trąca w ramię i słyszy miły, słodki głos, jak dzwonek, jak piosenka:

— Wstawaj, drogi śpiochu, bo deszcz pada!

Otworzyła Zosia jedno oko... patrzy, a nad nią mamutka. Otworzyła drugie... widzi... Nida kręci ogonem bardzo uszczę-

śliwiona. Otworzyła ucho i słyszy, że ciotka Jadźka woła: „a zaganiaj gęsi, bo deszcz!”

Dziwne, dziwne! Dwór, Pilica, ogród.

—A gdzie, matusiu, Dunajec?

— Wpadł do Wisły, kochanie, wszak ci mówiłam, aleś usnęła, więc cię nie budziłam.

— Ach, więc ta wędrówka po Bałtyku i Karpatach to mi się tylko śniła — myśli sobie Zosia.

Ale wstydziła się opowiadać tego, tylko nachyliła się do ucha Nidy, podniosła je i szepnęła: — Widziałam dziś twoją siostrę, Nidę, rzekę. — Nida na tę wiadomość machnęła ogonem, że ją to niby bardzo cieszy.

P Y T A N I A.

Gdzie są najwyższe nasze góry? Na jakie dzielimy je części? Co to są Karpaty, a co Tatry? Jak wygląda i jak się dzieli roślinny świat Tatr? Czy są tam doliny, jeziora, wodospady? Wylicz kilka jezior i dolin. Kto z was był w Zakopanem? Którędy jechaliście? Czy byłeś w reglach i na hali? Opowiedz o limbie i kosówce. Jakie zwierzęta i ptaki żyją w Tatrach? Kto mieszka po drugiej stronie Tatr? Czy widział kto Słowaka? Co on tu porabia? Narysuj, jak sobie wyobrażasz góry, a jak równiny. Narysuj podział góry na pasy roślinne. Kto słyszał o śpiącym rycerzu Giewontu?

6. G o p ł o.

Ziemicą Piasta, szeroko rozlane,
Witam cię, witam, Gopło kujawiane!

Śpiewała wycieczka krajoznawcza, stanąwszy nad lustrzaną taflą starego jeziora. Zmęczeni się chłopcy rzetelnie parodniowym marszem, bo to przyплыnęli z Warszawy na parostatku koło Bielan, Jabłonny, Modlina, Zakroczymia, Czerwińska, Płocka, Dobrzynia nad Wisłą do Włocławka, a stamtąd szli piechotą na Brześć Kujawski, koło jeziora Głuszyńskiego do Broniszewa nad Gopłem.

Trud to był duży wędrować, ale też i rozkosz prawdziwa popatrzeć na tafłę tego dziwnego jeziora, nad którego brzegami powstało państwo Polskie, gdzie wznosiła swój posepny

słup Mysia Wieża, gdzie stała niegdyś chatka ubogiego kołodzieja Piasta i jego małżonki, pracowitej i gospodarnej Rzepichy.

Stali więc chłopcy w zadumie i jakby w jakimś pobożnym nastroju. U stóp ich szemrała fala, szeleszcząc trzcinaми i poruszając drobne kamyczki nadbrzeżnego żwiru.

Dobłą już chwilę stali chłopcy w milczeniu, patrząc na lekko sfałdowaną powierzchnię jeziora, gdy Jędrus Kulwieć, pospolicie zwany „Foka”, wyciągając rękę w kierunku jeziora, zaczął mówić:

„Ach, patrz! na słońca promyku
Wytryska z wody Goplana:
Jak powiewny liść ajeru,
Lekko wiatrem kołysana;
Jak łabędź, kiedy rozwinie
Uśnieszony żagiel steru,
Kołysze się — waha — płynie”.

— Gdzie, gdzie jest Goplana, królowa jeziora? Foka, czy ty rzeczywiście ją widzisz?—wołali chłopcy, ale Foka, nie zważając na ich wołanie, prawili dalej:

„I patrz, patrz, lekka i gibka
Skoczyła z wody, jak rybka,
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopą po fal przezroczu
Brylantowe iskry skrzesza”.

— Ech, Foka, Foka—wołali chłopcy—duża gęś płynie po jeziorze, a on nam prawi o królowej jeziora, już to te poetyczne głowy to niebardzo liczą się z prawdą.

I śmieli się chłopcy z Foki, że jakieś cuda śnią mu się w głowie.

Ale Foka przecież i czytał wiele i rozumiał rzeczy dobrze. Był kiedyś w Muzeum na odczycie o Gople i pamiętał, że mówiono tam o wielkości Gopła, o tem, jak dawniej pokrywał je las masztów i białych żagli, że wypływały zeń aż trzy rzeki: Bachorza ku Wiśle, Goplenica ku Warcie, na południe, a Noteć też ku Warcie, ale na północy, a potem ku zachodowi.

Mówił prelegent na odczycie, jak tutaj, na urodzajnej glebie kujawskiej, gęsto skupiali się starzy Polanie, polując w puszczy, łowiąc ryby w jeziorze, zbierając słodkie miody w lipowych gajach.

Jak napadnięto tu na knezia Popiela, co potruł swoich stryjów, jak obierano Piasta na tron, dając mu berło władzy, które potem przez 500 lat dzierżyli jego potomkowie.

Dużo rzeczy Fosa wiedział, a czytał też prześliczny dramat Słowackiego pod tytułem „Balladyna”, gdzie cała rzecz dzieje się nad Gopłem, a więc znał się z całym światem poetycznym nadjeziornym, a że miał poetyczną duszę, więc jeszcze masę dodawał do tego swoich pomysłów, i dla niego żyło to jezioro, krążyły wesołe duchy: Skierka i Chochlik, płaśała po falach pani jeziora, Goplana, zda się gdzieś w nadbrzeżnym lesie stała chatka pustelnika i domek ubogiej wdowy, matki Aliny i Balladyny.

Foka może nawet widział w myślach złocistą karocę grafa Kirkora, którą popsuł zbytny Chochlik, może też śmiał się w duchu z parobka Grabca, zamienionego przez Goplanę w czerwienego króla. Cały ten świat poetyczny dla Fosi żył, chociaż inni chłopcy śmieli się z niego i żartowali.

Odszedł też Foka od nich na bok, zatopił się w myślach i nie słyszał, jak rozmawiali tamci ze starym rybakiem, dopytując się, czy są tu ryby i czy duże?

— Ho! moi panicze, dawniej ryby tu były ogromne, furami można je było zabierać, ale teraz jest mniej. Wprawdzie rząd zapuszcza tu rok rocznie zarybki, tak że ryb przybywa, ale to już nie to, co było dawniej.

— A czy raki tu są?

— Było ich tu dawniej mnóstwo, ale pewnego roku przysła na nie jakaś dziwna choroba, że wszystkie posnęły na śmierć. Woda Noteci poniosła je z biegiem, a pod Mątłwami zbiła się z tych raczych trupów cała ławica, którą musieli szuflami z rzeki wyciągać, bo zatrzymywały powietrze i tamowały żeglugę.

Tu podszedł do rybaka Foka z zapytaniem, gdzie mianowicie mieszkała tu staruszka wdowa z córkami Balladyną i Aliną, co

„Ta ma pod rzesą węgle — ta fijołki —
Ta, jako złote na zorzy aniołki,
A ta zaś jako noc biała nad rankiem...”

Rybak pomyślał, popatrzył na Fosię uważnie i odparł:

— Tu mieszka aby jedna wdowa, stara Agata, co ma tylko jedną córkę, Wikcię kulawą i chłopca Wojtusia, który obrywa jabłka w cudzych sadach.

Chłopcy wybuchnęli zgodnym śmiechem, a poetyczny Foka poszedł dalej, gdzie gęsty gaj wierzbowy zarastał pobrzeże; zapewne myślał, że tam znajdzie czarodziejskie nadgoplańskie cuda.

Tymczasem u brzegu zatrzymał się duży galar, naładowany burakami cukrowemi, a żeglarze wysiedli na ląd, odpocząć trochę po żmudnej pracy. Witali się oni z rybakami i gawędzili wesoło.

Wśród chłopców zaczęła się sprzeczka, dokąd galar płynie: jedni mówili, że do Gdańska, inni, że do Szczecina; przez dobrą chwilę słychać było tylko krzyk: Gdańsk, Szczecin, Gdańsk, Szczecin.

Aż rybak z żeglarzem podeszli do chłopców i zapytali o powód sprzeczki, a była to już ważna chwila, bo już się utworzyły dwie partje: gdańska i szczecińska i nad brzegami Gopła już, już miała rozegrać się bitwa pomiędzy gdańszczanami i szczeciniakami.

Na szczęście żeglarz powiedział do nich:

— Mają rację ci, co myślą o Szczecinie.

— Wiwat, wiwat, nasza racja! — krzyczeli szczeciniacy.

Gdańszczanom miny zrzedły, ale jeszcze wygrażali pięściami w stronę przeciwników. Żeglarz zaś mówił dalej:

— Tak, ja płynę do Szczecina, ale mój szwagier, którego żagiel widać ot tam, na lewo, ten płynie do Gdańska.

— Nasza racja! — wołali zadowoleni gdańszczanie.

— Wszyscy macie rację — śmiał się stary rybak, a żeglarz mówił chłopcom:

— Przez całe jezioro przepływa rzeka Noteć, co płynie ku Warcie i Odrze pod Szczecin, więc wy macie rację. Ale koło miasta Nakła jest przekopany kanał do miasta Bydgoszczy nad Brdą, która wpada do Wisły. Do Nakła więc obydwaj ze

szwagrem popłyniemy razem, ale potem ja popłynę na lewo Notecią do Warty i Odry, a on wpłynie na kanał do Brdy i Wisły i wyląduje pod Gdańskiem.!

Obie partje były strapione, bo żadna nie wygrała sprawy, chłopcy zamilkli, aż tu od wierzbowego gaju rozległy się rozpaczliwe wrzaski:

— Na pomoc! na pomoc!

Pobiegli wszyscy gromadą i znaleźli Fosię prawie po pas w błocie nadbrzeżnem. Chłopak, szukając cudów, nie patrzył dokąd idzie i wpakował się w bagno.

Nie było to nic groźnego, ale Fosia zapewniał, że go tu zawiódł złośliwy Chochlik, który zresztą często takie figle broi, bo nawet i parobek Grabca pakował w błoto, przecież Słowacki wyraźnie napisał utyskiwanie Grabca na Chochlika:

„Moje czarne psisko,
Nie wierzę tobie... bo mnie błądasz — sadzasz w błocie
I wykręcasz ogonem... Nie... mój czarny kocie,
Chciałem ciebie pogłaskać, a ogień wytrysnął”.

Próżno chłopcy przekładali, że nie było tu widać ani czarnego psa, ani czarnego kota, Fosia upierał się, że to jednak musiał być Chochlik.

Poszli później nasi turyści na noc do Kruszwicy. Nie duża to była miejscina, a przecież kiedyś była ona pierwszą stolicą Polski. Fosia pamiętał z odczytu, że poziom Gopła się obniżył, że wyschły dwie rzeki: Goplenica i Bachorza, więc już podróże nie były tak łatwe, jak dawniej, zaczął się już rozwiąć Poznań, Kraków, Płock, Sandomierz, a biedna Kruszwica, która niegdyś wystawiała na wojnę 7 pułków z samych tylko kruświczian, zmalała tak, że sto pięćdziesiąt lat temu miała zaledwie 72 mieszkańców. Biedna królowa nadgoplańska, pierwsza stolica Polski!

W małym hoteliku w Kruszwicy wypadł naszym chłopcom nocleg, a że byli zmęczeni podróżą, więc zasnęli wkrótce, nie słuchając nawet tego, co im prawił przewodnik, że Kruszwica liczy teraz 3000 ludności, że jest tu jedna z największych cukrowni na Kujawach.

Jeden tylko Fosia nie spał, choć też przewodnika nie słuchał. Dobrze już było ciemno, gdy Fosia wykradł się z ho-

teliku i powędrował nad jezioro, gdzie rysowała się poważna sylwetka Mysiej wieży.

Cisza już była dokoła, tylko w jeziorze rechotały żaby, ale dla Fosi cały ten zakątek kipiał odwiecznem życiem, bo w jego młodej wyobraźni odżył i dwór Popiela i chatka Piasta i całe te dzieje tak bardzo odmienne od dzisiejszego życia.

Zasiadł Fosi na ławce małego parku, otaczającego ruiny dawnego zamku, przymknął oczy i oddał się rozmyśleniom o dawnych czasach. §

Otworzyły się ze zgrzytem drzwi zamkowej wieży, jakby ktoś wyjrzał zaniepokojony, potem krzyknął i zatrzaskał drzwi za sobą. Dokoła zamku słychać było zgiełk, szczekanie oreży, kłatwy i na zamkowe tyny rzuciła się gromada, jednako szaro ubranych wojowników. „Myszy, myszy!” nawoływali się w ciemności. Z zamku broniono się dzielnie. Wybiegł Popiel na szczyt wieży, zwołując swoją drużynę na pomoc, ale piekielny krzyk oblegających Myszy głuszył wszystko. Wtem padł Popiel z rozkrzyżowanemi rękami, a wichura straszliwa uniosła i zameczysko i oblegających.

Za przesmykiem jeziora stała chatka kołodzieja Piasta. Liczne grono gości starych, dostojnych Polan, otoczyło stoły, na których Rzepicha zastawiała misy i dzbany. Fosi skromnie stał u progu, przyglądając się niezwykłemu zebraniu. W tłumie trącił go ktoś w ramię, ale on na to nie uważał.

Aż nagle sam Piast, przyszły pan i władca całej Polski, podszedł do Fosi, mówiąc życzliwie:

— Noc jest wilgotna, mgły idą z jeziora, zaziębisz się, Fosiu.

— Ojciec narodu, królu umiłowany, ważniejszety masz sprawy, niż mną, biednym chłopcem, się zajmować.

— Fosiu, pójdź, połóż się spokojnie, jutro długa czeka nas droga.

— Idę, królu — posłusznie rzekł Fosi i otworzył oczy...

Przed nim stał przewodnik wycieczki, pogodny i uśmiechnięty...

— Zaniepokoiłem się, że cię niema, chłopcze, i poszedłem cię szukać, a tyś mi królewski tytuł nadał. Eh ty poeto, poeto, ot jak spędzasz pierwszą noc nad Gopłem.

Nad jakim jeziorem zaczęła się historia Polski? Jaka rzeka przepływa przez Gopło? Jakie miasto było pierwszą naszą stolicą? Pokaż Gopło i Kruszwicę. Jakie dawniej rzeki płynęły z Gopła? Dokąd mogą płynąć statki z Gopła? Pokaż kanał Bydgoski. Narysuj Gopło. Czy dużo ryb, raków i wodnego ptactwa posiada Gopło? Jaki dramat polski rozgrywa się nad Gopłem? Jak sobie wyobrażasz Goplanę, Skierkę, Chochlika i Grabca? Dlaczego Kruszwica przestała być stolicą? Należy budzić miłość prahistorji.

7. W ę g i e l.

Przyszedł wujek do Haneczki i mówi wesoło:

— Oczki masz, jak czarne węgle, moja chrzestna córo.

— Wcale nie, bo ja mam oczy, jak tarki — i zaśpiewała

Hanka:

„Czarne oczki, jak tarczki,
Czerwona spódniczka”.

Ale Haneczka była bardzo myślącą osobą, więc zajrzała kiedyś do lustra, by zobaczyć, czy jej oczki podobne są do węgla, czy nie.

Eh, chyba nie. Widziała przecież nieraz węgiel w koszyku to w kuchni, to w pokoju, słyszała często narzekanie babci:

— Oho, Florcia poszła po węgiel, będzie godzinę siedziała.

Słyszała też, gdy mamusia z westchnieniem mówiła do babci:

— Wie mama, że węgiel znów podrożał?

— Co ty mówisz? Biedni ludziska! Jak mi ich żal!

Co prawda, babci zawsze wszystkich było żal.

Jakkolwiek mamusia tego nie lubiła, a babcia gniewała się nawet, Haneczka zaglądała czasami do kuchni, do Florci. Była właśnie tam, gdy dzwonek w przedpokoju gwałtownie zadzwonił.

Wybiegły obie z Florcią otwierać drzwi, a w drzwiach stanął bardzo wysoki barczysty człowiek i rzekł ponurym głosem:

— Węgłe przywiozłem—przyczem tak okropnie błysnął zębami i wywrócił oczy, że Haneczka struchlała. Florcia jednak śmiała się do węglarza wesoło, choć powtarzała:

— Rany Boskie! Rany Boskie!

Węglarz był cały czarny, jak noc, albo jak Murzynek, co go przywiózł Hance wujek z dalekiej podróży. Tylko, że murzynek był bardzo miły i grzeczny, nie błyskał zębami i był w zgodzie z lalkami i panią Króliczkową, co miała długie, długie uszy pluszowe. Murzynek sypiał nawet razem z trzema lalkami: Micia, Kicia i Wicia, a węglarza za nic Haneczka nie położyłaby z nimi do łóżeczka, taki był okropnie czarny i straszny!

— Węglarz przyjechał, taki czarny, czarny—mówiła Haneczka do babci.

— Mój Boże, biedny człowiek, jak mi go żal!

— Babci to jest zawsze wszystkich żal.

— A tak, dziecinko, bo on bardzo ciężko pracuje i jest biedny. Ciężka, okropna to praca przy węglu, nim go dostaniemy do pieca. Florcia się nadźwiga, węglarz też, a tylu, tylu innych w krwawym pocie namęczy się, żeby tobie było ciepło, żebyś miała obiad ugotowany.

— Niech babciuchna opowie mi co jeszcze o tym węglu.

— Za mała jeszcze jesteś, kochanie, jak podrośniesz, to ci to wszystko opowiem.

W pojęciu babci Haneczka ciągle była jeszcze „za mała”, a ona w swej małej łepetynie z czarnymi oczkami kombinowała sobie dużo, więc i w sprawie węglowej już trochę miała pojęć: że węgiel jest potrzebny do palenia w kuchni do obiadu i w pokojach też, że jest czarny i wala palce, że Florcia godzinę siedzi, gdy po węgiel pójdzie, że węglarz ciężko pracuje, że i inni w krwawym pocie męczą się przy węglu.

Węgiel więc w pojęciu Haneczki był czymś potrzebnem, ale nieprzyjemnem, rozumiała, że ludziom z nim dobrze, ale ci, co robią koło niego, są smutni, chociaż nie można było tego powiedzieć o Florci, która po godzinnej wyprawie węglowej wracała śmiejącą się, rozbawiona i śpiewała:

„Od Dąbrowy, ode Przemszy
Ten jest dobry, a ten lepszy”,

mając zapewne na myśli, że bywa czasem jeden węgiel lepszy, a inny gorszy.

Haneczka lubiła zawsze dowiedzieć się coś nowego, ale z tym węglem było bardzo ciężko.

Lecz pewnego popołudnia tatuś poszedł do księgarni, mama do kantoru, a babci tak było wszystkich żal, że usnęła. Haneczka nie miała co robić. Króliczkowa z Murzynkiem poszli po orzechy do kokosowego gaju za otomaną, Kicia, Micia i Wicia pogniewały się ze sobą, bo Króliczkowa narobiła na nie plotek przed Niedźwiadkiem, co nawet Kogut słyszał.

Haneczka była znudzona i powędrowała do Floreii, by porozumieć się w węglowej sprawie. Floreia też nudziła się bardzo i oglądała fotografie swoich znajomych, a było tego ze dwudziestu.

— Skąd Floreia przyniosła ten węgiel?

— Z pod ziemi.

— Z pod ziemi? — zdziwiła się Hanka, ale zaraz zrozumiała, dlaczego Floreia potrzebuje godzinę czasu, by przynieść koszyk węgla.

— A co tam jest pod ziemią?

— A piwnica.

— Piwnica! — Rozezarowała się Hanka; z piwnicy przynosi się przecież i kartofle, i jabłka, i słoiki z konfiturami.

— A kto położył węgiel do piwnicy?

— A węglarz.

— Ten duży, czarny?

— Ten sam.

— A skąd on wziął ten węgiel?

— A z kolei.

— Zdaleka?

— Och, z bardzo daleka, z Dąbrowy, gdzie mieszka moja mama i bracia.

— Ale w Dąbrowie to gdzie on leży, ten węgiel?

— Pod ziemią.

— W piwnicy?

— Rany Boskie! — roześmiała się Floreia — ładna piwnica! To się nazywa kopalnia. U nas, koło Dąbrowy, kopalnie i kopalnie, w każdej kopią węgiel głęboko, głęboko. Tak głęboko, że nasze trzy kamienice można wpuścić w ziemię i nie byłoby ich widać.

— To jak tam ludzie wchodzą?

— Widzi Hania tam jest duży budynek, a w nim bardzo głęboka studnia, jak to była studnia w Łowczy u starszej pani. To wszystko się nazywa szyb. Szybowa studnia jest okropnie głęboka. Przychodzą rano górnicy do szybu, a każdy ma oskard żelazny, aby odrąbywać węgiel. Mają też lampki, bo tam jest zupełnie ciemno pod ziemią, siadają górnicy do windy, a winda zjeżdża szybko w dół i zwozi górników.

— A czy winda się nie urwie?

— Bywa tak czasem, ale to straszny wypadek, bo się ludzie pozabijają. Mojej cioci syn, Walerek, to się zabił i trzech górników z nim. Ale to się rzadko zdarza. Zjechali górnicy na dół. Ciemno tam, posępnie, tylko błyskają lampeczki, jakby duchy jakie chodziły, a to tu, to tam słychać huk.

— A dlaczego huk?

— Przecież węgiel jest twardy, więc nawet oskardem trudno go odłupać. Wierci górnik świdrem dziurę w węglu, zakłada tam nabój z dynamitu, zapala siarkowany sznurek i ucieka. Gdy się sznurek spali, to dynamit wybucha i odwała dużo, dużo węgla. Robota to niebezpieczna, bo czasem górnik nie zdąży uciec i węgiel go porani, przytłucze, lub zabije. Mojej wujenki brat, Seweryn, zginął, przywalony węglem.

— To okropne, a czy Florcia była tam kiedy?

— Naturalnie, że byłam, bo jak górnik naodłupuje węgla, to inni robotnicy, chłopaki, czy dziewczęta, wrzucają ten węgiel do wózków, wózki pchają do windy, a winda wyciąga do góry, sypie do wagonów. Potem parowóz gwizdnie, ciągnie pociąg do Warszawy, a z wagonu węglarz zabiera węgiel na wóz i przywozi do nas.

— Florcia była czarna, jak węglarz?

— Oho, jeszcze czarniejsza! Ale w niedzielę i święto tom wyglądała ślicznie i czyściutko, ho, ho, ładnie się chodziło! A najbardziej na świętą Barbarę, bo to jest u nas w zagłębiu największe święto i odpust ogromny.

— To Florcia nie jest z Dąbrowy, tylko z zagłębia?

— Zagłębie to się nazywa wszędzie tam, gdzie są kopalnie, więc Dąbrowa, Sosnowiec, Czeladź, Niwka to wszystko jest w zagłębiu, a to zagłębie to idzie aż za Kraków, za Cieszyn,

za Bytom, to cały kawał kraju, gdzie w ziemi leży węgiel i są kopalnie.

— Wszędzie tam Florcia była?

— Ho, ho...—zaczęła Florcia, a wtem we drzwiach pokazała się babunia.

— Dlaczego Hania chodzi do kuchni, kiedy mamusia na to nie pozwala?

— Ja nie byłam w kuchni, tylko w zagłębiu.

— No, to proszę teraz iść do pokoju.

Hania opowiedziała babci o ciężkiej doli górników, co pod ziemią nie widzą słońca, a babcia powiedziała jej:

— Moja dziecinko, to jeszcze nie wszystko, czasem trafia się pożar kopalni, czasem wybuchają gazy, czasem woda zaleje wszystko i wtedy biedni górnicy z życiem nawet uciec nie mogą. Żal mi ich serdecznie.

— No, to poco tak ich męczyć? To niech nie kopią.

— Tak ci się to zdaje, a przecież lubisz, żeby było napalone w pokoju, a ani mleko, ani ziemniaki bez węgla nie byłyby ugotowane, a wody na kąpiel, ani do prania nie możnaby zagrzeać. Żadna fabryka nie mogłaby istnieć, nie chodziłyby koleje, nie pływały parowe statki, zamarłoby życie dzisiejsze bez węgla. A pomyśl, jak ciężko byłoby żyć biednym ludziom w suterynie, gdzie jest wilgotno i zimno, a dzieci drżą z chłodu.

— Biedne dzieci z suteryny, jak mi ich żal serdecznie, wie babcia, ja pójdę do naszej kopalni, ukopię węgla i zaniosę tym biednym dzieciom.

— A gdzież to jest nasza kopalnia węgla?

— A w piwnicy. Pójdę z Florcią, nakopimy węgla, damy dzieciom, żeby im było ciepło.

— Jeżeli mamusia pozwoli ci na to, będzie to bardzo ładnie, cieszę się, że masz dobre serce.

W przedpokoju rozległ się dzwonek. To mamusia wracała z kantoru. Hanka podbiegła do niej, całując rączki i prosząc o pozwolenie pójścia do „kopalni”. Mamusia chętnie zgodziła się, wysłała Hanke z Florcią po koszyczek węgla, aby zaniósł do pani Franciszkowej w suterynie.

Wróciła Hanka uszczęśliwiona, bo w suterynie ogromnie się ucieszono z węgla.

— Wie mama, że tam jest siedmioro dzieci? Ja opowiedziałam im o kopalni, o szybie, o górnikach, pani się bardzo cieszyła z węgla, ale te dzieci, to się bardziej ucieszyły z konfitur...

— Z jakich konfitur?

— No, bo ja zaniósłam im też słoik konfitur.

— A czy ja ci pozwoliłam na to?

— No nie, ale, że my mamy też kopalnię konfitur, więc ja myślałam, że i słoik też można.

Mamusia pogroziła jej palcem, ale uśmiechała się, jak to ona umiała się uśmiechać, a babcia widać dostała kataru, bo bardzo silnie wycierała nos.

Gdy przyszedł tatuś i opowiedziano mu węglowe sprawy, tatuś, że to umiał pisać piękne wierszyki, więc napisał Hance tak:

Czarny węgielek złotym ogniem świeci,

Grzeją się, cieszą przy tym ogniu dzieci.

Niech Hanuś dobrze czynić zawsze ma ochotę:

Hanuś ma oczki z węgla, a serduszko złote.

P Y T A N I A.

Jak powstały pokłady węgla kamiennego? Gdzie u nas znajdują się kopalnie? Co to jest szyb? Narysuj, jak sobie wyobrażasz szyb. W jaki sposób górnik odłupuje węgiel? Jakie mogą być wypadki w kopalniach? Co to jest odkrywka? Jakie miasta są w Zagłębiu? Czy bez węgla mogłyby się obyć koleje, parowce i fabryki? Jakie jest święto w Zagłębiu? W jakim kierunku leży Dąbrowa od Warszawy, Krakowa, Lwowa i Wrocławia? Jaką koleją jedzie węgiel z Dąbrowy do Warszawy? Popatrz, czy nie możnaby go sprowadzać wodą? Położyć nacisk na bardzo ciężką i przykrą pracę górnika.

Budzić poszanowanie dla jego mozołu.

8. N a f t a.

Siedziała Zośka Broniszówna w Kłosowie pod lipą i martwiła się. Przed chwilą dostała od mamy tęgą burę za wylanie nafty z bańki. Uważała Zośka, że nie było to jej winą, bo wprowadziła wywróciła tę bańkę, ale też i ta nafta, żeby się tak zaraz wylać! Stanowczo w tej sprawie dużo więcej winna jest nafta, niż Zośka.

A prawdę mówiąc, to nawet niewiadomo, poco jest taka niedobra nafta? Chyba po to, żeby lampy filowały, jak to było w Kłosowie na imieniny Reginki, co wszystkie panie miały czarno w noskach, a we wszystkich pokojach latały czarne płateczki. Ot, korzyść z nafty!

Bo to niby przy lampie można się wieczorem uczyć. Co prawda, gdy się cały dzień biega i jest tyle zajęcia, że nie można nawet zajrzeć do lekcyj, więc trzebaby to robić wieczorem. Ale cóż, kiedy w nafcie coś jest takiego, że zaraz oczy się kleją i Zośka zawsze nosem bęc w kajet, albo w książkę.

Stanowczo nafta jest niepotrzebna, szkodliwa, niegodziwa, brzydka i zła: zaraz się też musi wylać. O wiele lepszy jest gaz u cioci Mani w Siedleach, albo elektryczność u cioci Stefy w Warszawie. Czy kto widział, żeby się elektryczność wylała z bańki? Albo żeby elektryczność filowała?

— Nie kocham zupełnie nafty, niech sobie idzie!—zakończyła Zośka rozumowania, nie wiedząc wcale, że nafta nie pójdzie sobie, a właśnie Zośka do niej pojedzie. Bo na drugi tydzień mówi pani Broniszowa do Zośki:

— No, Zocha, w niedzielę wyjeżdżamy do Reginy.

— Do Reginy!?!—Zośka oniemiała z radości. Choć to Regina jest siostrą, ale taką poważną siostrą, jest doktorem od czegoś tam, nawet kiedyś przyszła Walentowa z chorem dzieckiem do niej, a Łukaszowa prosiła, żeby Regina obejrzała jej prosiaka, bo mu coś dolega. Ale Regina nie jest doktorem od lekarstwa, tylko od jakichś innych rzeczy. Regina też ma już męża, Albina. Taki duży, duży, też jest doktor uczony! Zośka za takiego dużego pana nigdy nie wyszłaby za mąż, bo wogóle postanowiła wcale się nie żenić, poco ten kłopot? Regina z Albinem mieszkają aż za Lwowem w Borysławiu, co jest okropnie daleko, pewno aż za Siedlcami.

Jakoż w niedzielę Janek z Michałem odwiedzili mamę i siostrzyczkę do Dęblina na kolej i ruszyły obie panie do Borysławia.

Zośka oglądała śliczne okolice lubelskie, zachwycala się wioskami wśród zielonych pól, ale w wagonie musiała tu gdzieś być zapewne nafta, bo Zośka usnęła przykładnie.

Coś jak przez mgłę przypomniła sobie jakieś przesiadania, jakieś badania, lecz na dobre rozbudziła się w dużem mieście niby to u ciotki Stefy, to znaczy w Warszawie, ale nie, to nie była Warszawa, to był Lwów. Nawet nie wychodziły nasze podróże na miasto, tylko znów się przesiadły do innego pociągu, gdzie na wagonach były tabliczki: „Do Drohobycza, do Borysławia”.

Pociąg sapał i męczył się, bo droga była pod górę, ciągle wyżej i wyżej. Mama mówiła, że to podgórze karpackie, niby Podkarpacie. Było tam prześlicznie. Przejechali po moście rzekę.

— Czy to Wisła, mamusiu?

— Nie, to Dniestr, córeczko.

Przejechali rzekę, Boże! Już Zośka była za Dniestrem. Kto wie, czy tu gdzieś nie będzie już koniec świata?

Stały panie w Borysławiu. Długi Albin chwycił Zośkę w górę i ucałował serdecznie. Regina całowała obie mamusine ręce, przyczem obie płakały (naturalnie nie ręce, lecz Regina z mamusią). Pojechali wszyscy do Albinowego domu, gdzie było nawet bardzo ładnie, ale tak w całej okolicy czuć było naftę, że strach.

— Słuchaj, Albin, tu chyba ktoś rozlał naftę?

— Zgadłaś, dzieweczko, rozlała jej tu przyroda nieprzebraną ilość, a my ją tu ciągniemy z pod ziemi.

— Z pod ziemi? Naftę? Albin pewno żartuje.

— Zaraz po obiedzie pokażę ci, jak się to robi.

Zosia nie mogła usiedzieć przy obiedzie, tak była zaciekawiona i roztąrgniona. Z tego roztąrgnienia to wcale prawie nie jadła rosółu, a leguminy dobierała pięć razy, wszystko przez roztąrgnienie.

Po obiedzie mamusia z Reginą zostały same, żeby się martwić, t. j. mamusia opowiadała Reginie zmartwienia z Kłossowa, a Regina, aby się odwzajemnić—zmartwienia z Borysławia. Wiedziała dobrze Zośka, że to jest na parę godzin tego miłego zajęcia, więc uczepiła się u Albinowej ręki i powędrowali do kopalni nafty.

Stała tam wysoka na parę pięter wieża drewniana, obok niej wielki, okrągły zbiornik, parę budynków na biura i ma-

szyny, wszystko jakieś szare, zasmarowane, brudne i okropnie pachnące naftą. Już to pięknie to tam nie było, nie. Nie zdziwiła się też Zośka, gdy ubrany w skórzane ubranie robotnik powiedział do niej:

— To i panienka przyjechała do tego galicyjskiego piekła?

Przeszli z Albinem do kancelarii, aż on pokazuje Zośce w dużej szklanej rurze płyn jakiś gęsty jak miód, ale kolor ma ciemno-bronzowy, a zapach naftowy.

— Widzisz, dziewucho, to jest nafta.

— Ach, Albin żartuje, przecież nafta to jest przezroczysta, jak woda, i nie tak gęsta.

— Masz rację zupełną, źle ci powiedziałem: to jeszcze nie jest nafta, to jest dopiero ropa naftowa.

— Chyba, że tak.

— Widzisz tę naszą wieżę i tyle innych dokoła? Nazywają się to wieże wiertnicze, bo są w nich olbrzymie stalowe świdry. Taki świder wierci otwór w skale coraz bardziej i bardziej w głąb ziemi, czasem na paręset metrów, czasem na tysiąc metrów i więcej. Tysiąc metrów! dziewucho, to wiorsta drogi w głąb ziemi. Poczciwy świder; jego to zasługa, że robi otwór aż do ropy naftowej. Bo widzisz, tam w głębi ziemi płyną potoki ropy, są tam całe stawy, jeziora tego czarnego płynu, który widzisz w tej rurze. I ta oto ropa była na głębokości przeszło wiorsty pod ziemią.

Zośka spojrzała na ropę z podziwem i szacunkiem. Wiorstę głęboko siedzieć pod ziemią, toż to nie byle co. Musiał Zośkę wykład Albina zainteresować, bo zapytała, jak zwykle:

— No, i co?

— Gdy w mojej wieży zaczęły pracować świdry i kruszyć skałę, gdy z mozołem i trudem zagłębiał się świder w głąb ziemi, pełno tu było niepokoju i troski, czy aby trafi on na potok ropy, bo przecież mógłby i nie trafić, mógłby przejść obok i na nic cała taka długa i taka kosztowna robota. Miesiąc i drugi już pracuje świder, a tu nic i nic. Zacząłem się niepokoić nie na żarty. Aż tu pewnego popołudnia wpada ten sam robotnik, co z tobą rozmawiał, i woła: „Panie dyrektorze! jest, jest!” Wybiegam z kancelarii, aż tu, dziewucho, wali fontanna ropy wysoko ponad wieżę naszą, dokoła spada istny

deszcz naftowy, ludzie skaczą z radości, ale ropa rozlewa się po ziemi, marnuje, ginie, więc to strata duża. „Rury do zbiornika! Natychmiast rury!” krzyknąłem. Rzucili się robotnicy, przykręcili rury i skierowali ropę do zbiornika.

Zabrał Albin Zosię, aby pokazać jej zbiornik okrągły, blaszany, co się w nim mieściło tysiąc wagonów ropy. Bardzo to było wszystko ciekawe, więc Zośka wyjechała zaraz ze swoim:

— No, i co?

— Widzisz tam w dole stację, gdzieście dziś wysiadały? Obok niej jest stacja naftowa, gdzie ciągną się rury z kranami. Z mego zbiornika, który jest na górze, spływa ropa na stację, stojącą dużo niżej. Tam ją nalewają do wagonów, zwanych cysternami, i te rozwożą ją po całym świecie do rafinerji.

— Co to jest „rafinerji?”

— Czy ty wiesz, że to już cztery godziny łazimy tu po kopalni? Wracajmy do domu, a jutro będziemy rafinować ropę bo chociaż tu jest nad bramą napisane: „Kopalnia nafty”, toż przecież widziałas, że tu nafty wcale niema, tylko ropa”.

Wrócił Albin z Zosią do domu, gdzie mamusia była dopiero w połowie kłopotów kłosowskich, a Regina nie jeszcze nie zdążyła powiedzieć.

Na drugi dzień zabrał Albin Zoşkę do Drohobycza, do rafinerji. Stał tam pociąg Albinowych cystern, i pompowano z nich ropę do wielkiego kotła, który nagrzewano. Ropa zagrzana zaczęła parować, a tę parę odprowadzały rury do chłodnika, na którym wielkimi literami było napisane: „Benzyna”. Albin powiedział, że z ropy otrzymujemy najpierw benzynę, a gdy już jest benzyna, to pozostałą w kotle ropę trzeba podgrzać jeszcze silniej, a wtedy parować będzie nafta.

Jakoż po drugiej stronie kotła był znów połączony z nim rurami drugi chłodnik, na którym było napisane „Nafta”. Tak więc z ropy tutaj w rafinerji wydostali już benzynę i naftę, a w kotle został jeszcze gęsty, prawie czarny szlam.

— Z tego będzie smar do smarowania osi u wagonów, można też z tego robić gaz do oświetlania, można też wyrabiać parafinę na świece do choinki, ot, tyle różnych rzeczy z ropy.

Blisko sześć godzin bawili w rafinerji, a gdy wrócili, to mamusia właśnie kończyła zmartwienia kłosowskie, a Regina już miała zaczynać borysławskie, lecz Albin z Zośką byli w doskonałych humorach i głodni.

Albin wołał na Reginę: — Dajże nam, żonuś, borysławski obiad: zupę z ropy, parafinę z benzynowym sosem, a galaretkę naftową.

Wieczorem Albin poszedł pracować do swego gabinetu, bo był strasznie uczony, a Zośka poszła spać, bo była strasznie śpiącą, ale słyszała jeszcze trochę, jak Regina mówiła do mamy:

— Muszę teraz mamusi opowiedzieć, jakie miałam zmartwienie...

Nie wiedziała Zośka, jak długo spała, gdy zbudził ją krzyk i bieganina. Otwiera oczy i widzi przez okno olbrzymią łunę, co pół nieba okrywa krwawą płachtą. Okropne kłęby czarnego dymu wałęsają się wysoko i kotłują się straszliwie.

Kobiety były przerażone, ale w tej chwili wszedł Albin, ubrany do wyjścia, bo grały trąbki sygnałowe pożarne.

— Nie trwóście się, pożar jest daleko, pali się szyb Kanadyjskiej Kompanji; u nas to rzecz powszednia taki pożar.

— Trzeba zalać wodą—radziła przezornie Zośka.

— Trzeba, żeby takie małe karaluchy spały spokojnie—odparł Albin. — Pożaru naftowego wodą nie zaleje, trzeba go zasypać piaskiem i my to wkrótce zrobimy. Bądźcie zdrowe.

I poszedł, a Regina tłumaczyła mamie:

— Tutaj wszystko drewniane, schlapane wszystko ropą, więc najmniejsza nieostrożność z ogniem, to już wielkie pożary wywołuje. Albin mówi, że wkrótce ugaszą to, ale czy da mamusia wiarę, że amerykański szyb palił się okrągłe sześć tygodni, coś okropnego było, co za straszny pożar.

Wzruszona do głębi Zośka już zasypiała na nowo, ale jeszcze usłyszała uwagę mamusi:

— Rzeczywiście, że to słusznie nosi nazwę galicyjskiego piekła.

P Y T A N I A.

Czy są kopalnie nafty? Gdzie kopią ropę naftową? W jaki sposób ją kopią? Opisz wieżę wiertniczą i zbiornik. Co otrzymujemy przy destylacji? Do czego

służy benzyna? Jakie bywają wypadki w kopalniach ropy? Czy szyby są głębokie? W jaki sposób robią szyb naftowy? Porównaj szyb węglowy a naftowy. Co wypycha ropę, że wytryska? Co można robić z resztek ropy? Jak się nazywają wagony do ropy? Jak gasić pożar od nafty? Dlaczego czasami benzyna zapala się i wybucha? Pokaż tereny naftowe od Nowego Sącza do źródeł Prutu. Kto zarabia najwięcej na kopalniach? Dlaczego nie Polacy? Podkreślić konieczność ujęcia gospodarki w kraju przez naród.

9. S ó l.

Parę tygodni bawiła pani Broniszowa z Zośką u Reginy w Borysławiu, ale musiała już wyruszać dalej, bo przychodził list za listem od Żelka, żeby mamusia i jego odwiedziła w Krakowie.

Żelek, starszy brat Zośki, był studentem Wszechnicy Jagiellońskiej i wzywał niecierpliwie matkę, bo stęsknił się za nią bardzo.

Regina z Albinem chcieli zatrzymać swoich gości dłużej, lecz pani Broniszowa bardzo pragnęła też odwiedzić najstarszego swego syna, którego nie widziała już dwa lata.

W ładny majowy ranek opuszczała Zośka naftowe piekło borysławskie, dążąc do Lwowa, skąd przez Przemyśl i Tarnów pojechały z matką do Krakowa.

Na dworcu w Krakowie czekał Żel na ukochaną mamusię z dużym bukietem bzu, a dla Zośki znalazło się też w braterskiej kieszeni pudełeczko czekoladek.

Radość Żelka i mamusi była niezmierną, Zocha jednak miała tego dnia duże zmartwienie: zobaczyła, że z jej małej, zgrabnej torebki podróżnej, co ją dostała od stryjka Jana z Paryża, kapie ciemno-brunatny płyn o zapachu nafty.

Otworzyła Zośka torebkę, aż tam pełno ropy naftowej; chusteczki, grzebyczek, sznurek, notesik, czekoladki, nożyczki, jabłko, lewa rękawiczka (prawa już dawno się gdzieś zgubiła), wszystko to było zlane ropą, czarne, brzydko pachnące, wstrętne.

— Coś ty, bębnie, zrobiła?—pytała zagniewana mamusia.

— To nie ja, to ropa taka jest niegodziwa, że wzięła się i wylała z buteleczki.

— Pocóżes to brała do torebeczki?

— Ale, chciałam to pokazać Jagusi, więc prosiłam, i mnie Albin dał.

— Już co ja mam z tą dziewczyną utrapienia, to strach! — biadała pani Broniszowa.

— Cóż ja jestem winna, że ropa taka jest obrzydliwa? Ale ja zaraz to uporządkuję.

Zaczęła Zośka wycierać torebkę gazetą, chusteczką, lewą rękawiczką, zasmarowała sobie fartuszek, rękawy, nos, czoło; cały pokój wyglądał jak borysławskie piekło, mama była zagniewana i powiedziała, że nie tylko do żadnej kopalni Zośki już nie weźmie, ale nawet do cukierni pójdzie sama z Żelkiem, a Zośka niech się grzebie w swojej ropie naftowej.

To, co mama powiedziała, napewno spełniłoby się, bo pani Broniszowa była dzielną i stanowczą, ale Żelek, śmiejąc się na cały głos z Zośki, zaczął całować matkę po rękach i mówić:

— Ależ matusiu! Toż ja przecie was tu wołałem, żebyśmy razem zwiedzili Wieliczkę, bo jutro będzie zjazd do kopalni.

— Moje dziecko — mówiła mama — z chęcią będę ci towarzyszyła, ale to utrapienie zostanie w domu, bo znów mi narobi kłopotu.

Ale „Utrapienie” z czarną łatką na nosie i plamami ropy na policzkach miało tak komicznie zmartwioną minę, że mamusia aż odwróciła się do okna, aby się nie roześmiać, a Żel pokładał się od śmiechu.

— Moja matusiu, już ja będę Zochy pilnował, niech matusia jej przebaczy i weźmie z sobą. Ma Regina swoje kopalnie pod Lwowem, mam ja swoje pod Krakowem. Byłoby to przykro dla mnie, gdyby Zośka nie była w kopalniach „Wieliczki”.

Mama na ten ostatni raz przebaczyła Zośce i pozwoliła jej jechać do kopalni.

— Żelu — pytała panienka z Kłosowa — to tam kopia Wieliczkę?

— Eh, bąku, miasto nazywa się Wieliczka, ale kopia tam sól.

— Sól? Jak w solniczce?

— Tak, taką, jak w solniczce, ale to ci kopalnia, no! Gdybyś tam zabłądziła pod ziemią, to parę tygodni mogłabyś błąkać się po kurytarzach i komorach.

— Pod ziemią? U Reginy nie wchodzi się pod ziemię, ropa sama wychodzi.

— Bo ropa to płyn, a sól to kamień, skała. Ona nie wyjdzie sama, trzeba po nią iść pod ziemię.

Zośka nie mogła zasnąć: chodziła po ziemi, bywała i nad ziemią, bo lubiła wdrapywać się na najwyższe drzewa w Kłossowie, ale pod ziemią to jeszcze nigdy nie była. Gdy zasypiała Zośka w Krakowie, to zdawało jej się, że zapada głęboko pod ziemię i błąka się tygodniami po długich i ciemnych kurytarzach cała zasolona, jak to widziała przy przechowywaniu mięsa z zabitego wieprza, i martwiła się Zośka, co się takiemu „Utrapieniu” zdarzało nie nazbyt często.

Rano pani Broniszowa z dziećmi była już na dworcu, skąd wyruszał pociąg z turystami do Wieliczki.

Zośka z podziwem słuchała, że w grupie uczestników wycieczki rozmawiano po francusku, po angielsku, po niemiecku, po włosku, a Żelo powiedział jej, że te kopalnie są takie sławne na całym świecie, iż z całego świata zjeżdżają się ludzie, aby je oglądać.

Po godzinie drogi stanął pociąg w Wieliczce, a Zośka była rozezarowana: żadnych kurytarzy, żadnych kryształowych ścian, ani podziemnych jezior, o jakich mówił Żelek, wcale tu nie było, ot, taka sobie stacja, jak Leopoldów lub Ryki.

Ale z tej pospolitej stacji poszli turyści do szybu kopalni i tu weszli do windy. Była to duża klatka na 20 osób. Zaledwie tylko zamknięto drzwi windy, gdy zaczęła ona przerażająco szybko spadać w dół.

Zośka wrzasnęła przerażona i ścisnęła mocno rękę mamy. Ręka ta lekko drżała; wszystkie osoby w windzie były zaniepokojone, a jedna pani chwyciła nawet Żelka ze strachu za szyję, chociaż go przecież wcale nie знаła.

Trwało to wszystko krótką chwilę, a im zdawało się, że to wieki były. Zosia, wychodząc z windy, znów wrzasnęła: stało tam dwóch ludzi w skórzanych ubraniach, kaptury mieli na głowach, a małe lampki w rękach. Jeden z nich stanął na

czyle gromadki wędrowców, drugi zaś na końcu. Pierwszy prowadził ich przez gęstą sieć kurytarzy podziemnych, drugi pilnował, aby się kto nie został, bo przepadłby w podziemiach kopalni.

Cudna to była wędrowka przez te podziemne drogi, kute w błyszczącej skale: szło się to ku górze, to ku dołowi, a tu sufit lśni się, jak lód, ściany jak kryształy, jak w jakimś czarowanym pałacu. Zdawało się, że tu mieszka zaśniona księżniczka w szklanej trumnie i dworzanie jej śpiewają ciche pieśni i grają słodko do jej pięknego snu.

Nawet zupełnie wyraźnie słyszała Zośka muzykę, coś jakby organy w kościele w Rykach, jakoż były to rzeczywiście organy, bo po długiej wędrowce doszli nasi turyści do kaplicy podziemnej.

Boże! cóż to za kaplica! ściany z soli, sufit z soli, podłoga z soli. figury kute z soli. W kryształach solnych błyszcza światła licznych świec, organ gra poważną melodję, a zebrani śpiewają z jakąś pobożną tęsknotą modlitwę:

„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, Wolność racz nam wrócić, Panie!”

Mamusia płacze, Żel ma pełne oczy łez, z szacunkiem stoi grupa cudzoziemców, a organ huczy, tu pod ziemią, a nasi modlą się i płaczą, jak ci pierwsi chrześcijanie w katakumbach, o czem Zośka czytała w książce, co dostała na gwiazdkę.

Ruszyli potem dalej przez komory i kurytarze, czasami purpurowy ogień bengalski oświecał komory, a wtedy kopalnia jakby gorzała ogniem; od belek i rusztowań kładły się długie czarne cienie, przez które Zośka przechodziła z obawą.

Czasem zapalano światła zielone lub niebieskie, jak księżycowe, wtedy komory zdawały się być nie z ziemi lecz z księżyca. Czarodziejskie ściany zielonawych kryształów wyglądały, jak drogocenne kamienie, i Zośce nie chciało się wierzyć, że to ma być sól.

Zatrzymała się tedy maleńką, maleńką chwileczkę i nieznacznie liznęła ścianę. Sól, niewątpliwie sól. No, no, tyle soli, tyle pięter pod ziemią i samiutka sól? Zobaczył stary górnik tę Zośczyną próbę i dał jej ładny kryształ soli na pa-

miatkę. Zośka teraz ma jeszcze ten kryształ w Kłosowie. Kto nie wierzy, niech tam pojedzie i zobaczy.

Znów usłyszała Zośka muzykę, ale teraz huczną, gwarłą, wesołą. Wyszli wędrowcy do ogromnej sali balowej, całej z soli. Orkiestra dziarsko grała mazura, a państwo wędrownicy hulali sobie wesoło. No, żeby pod ziemią, głęboko, tańczyć, to też coś dziwnego.

Żel wywijał z tą panią, co ją ratował w windzie, a mamusia śmiała się pogodnie.

Z tej sali balowej poszli turyści nad brzeg podziemnego jeziora, na którym płynęła duża tratwa z orkiestrą. Jezioro było oświetlone z jednej strony czerwonym, a z drugiej zielonym ogniem. Fale wód mieniły się to purpurą, to szmaragdem, a prom oddalał się z muzyką, malał, cichła melodia. Zośka nie wiedziała, czy śni, czy też jest tu naprawdę, bo to było wszystko tak, jak to się czyta w bajkach o królewiczach, wrózkach i zaklętych księżniczkach.

Ale to nie była bajka, bo nad jeziorem stanął jakiś pan i objaśniał:

— Kopalnie wielickie istnieją już paręset lat. Kopiąc w ziemi, najpierw spotykamy sól zieloną, co jest do jedzenia niedobra, tylko idzie na przetwory chemiczne. Pod nią jest sól szara, co się daje ją do owczarni i obór dla bydła, a dopiero niżej sól kuchenna, której najlepszy gatunek nosi nazwę soli orłowej, bo dawnymi czasy ta najlepsza sól pakowana była w beczki z Białymi Orłami i szła na królewski dwór. Oprócz kopalni wielickich, takie same mamy kopalnie w Bochni, a znajdujemy też sól i w innych punktach Podkarpacia.

Poczem ten pan zaczął okropnie mądrze mówić, czego Zośka niebardzo rozumiała, chciała się spytać trochę Żelka, ale on musiał pomagać tej pani, bo zgubiła wachlarz i chusteczkę, więc poszli tego szukać.

Tymczasem pan skończył nareszcie swoje kazanie i wszyscy poszli do windy.

— Czy taka winda się nie urwie, mamusiu?

— Bywają czasami i takie wypadki; czy się tak boisz?

— Tak, bo gdyby się winda urwała, mogłabym zgubić ten kryształ soli, com go dostała od górnika.

— Rzeczywiście, to byłoby nieszczęście!—śmiała się mamusia z Zosi.

Winda szybko wwindowała się na górę, wyszli wszyscy turyści nasi, oraz cudzoziemcy: Francuzi, Anglicy, Niemcy, i kupowali sobie drobne pamiątki, wyrobione z soli: ramki, przyciski, lusterka, orły i t. p.

Kupiła i Zośka trzy pamiątki: dla Jagusi, Franka i Wojciechowej, a tak była zachwycona swoją wycieczką, że zaraz napisała do Jagusi list: „Kochana Jagusiu! Tu koło Krakowa jest sól w ziemi. Bardzo jest ona głęboko zielona, szara i orłowa, co ją królowie jedli. Powiedz Frankowi, żeby dobrze pasł moją krówkę, to dostanie soli z kopalni wielickiej. Czy te jajka, co były w gniazdku tego ptaszka w jaśminie, wiesz, za huśtawką, już się wzięły i wylęgły? Jeżeli tak, to się kłaniaj ode mnie tym małym ptaszkom. Tam jest kaplica cała solona, i jezioro też, co płynie prom z muzyką. Jedną pani się okropnie bała jechać windą i ja też, a stary górnik dał mnie kryształ, co ci pokażę. Ale ropy nie zobaczysz, bo wzięła i się wylała do torby i mamusia się na nią gniewała, czego ci życzę ja, Zosia. Niech Wojciechowa daje dużo grochu temu biednemu gołąbkowi, co ma krzywy dziobek i tańczyli też tam mazura, czy inszego walca, czego ci życzę ja, Zosia”.

P Y T A N I A .

Gdzie są polskie kopalnie soli? Czy Wieliczka jest dawną kopalnią? W jaki sposób górnicy odbijają sól? Jakie gatunki soli kopią w Wieliczce? Opisz wycieczkę do kopalni soli. Kto zna podania o kopalniach wielickich? Opowiedz o świętej Kindze. Do czego służy sól zielona, a do czego szara? Skąd mogły się wziąć te pokłady soli? Skąd wzięło się jezioro podziemne? Zaprojektuj wycieczkę do Wieliczki i wskaż, którądy jechać, przez jakie miasta z Warszawy, a przez jakie ze Lwowa. Która podróż będzie bardziej malownicza? Dla kogo płyną dochody z kopalń wielickich? Dlaczego nie dla narodu? Czy to słuszne?

10. Solanka.

Pani Broniszowej dokuczał bardzo reumatyzm i artretyzm, a doktor Kawelski, przybywszy z Siedlec do Kłosowa, zalecił kurację w Ciechocinku.

Zabrała więc pani Broniszowa niezbędne rzeczy i swoje „Utrapienie”, Zośkę, i pojechała do Warszawy, skąd wyruszo-
no do Ciechocinka.

„Utrapienie” siedziało w oknie, przyglądając się tym rów-
ninom mazowieckim, gładkim jak stół, zgoła odmiennym od
tych widoków, jakie widziała Zośka na Podkarpaciu, wędrując
ze Lwowa „od nafty” do Krakowa „do soli”.

Co chwila piskliwy głos „Utrapienia” pytał:

— Mamo, co to jest?

— To Grodzisk.

I znów za chwilę:

— Mamo, co to jest?

— To Żyrardów.

— No, i co?

— Jakto co? Żyrardów, wielka fabryka płócien. Nasze
obrusy, ręczniki, prześcieradła, to wszystko z Żyrardowa. Bie-
liznę masz na sobie żyrardowską także. Twoja chusteczka do
nosa tu się urodziła. Pojechała przez Warszawę do Siedlec
i tam ci ją kupiłam na gwiazdkę.

— Och, to moja chusteczka jest wielka podróżniczka, te-
raz będę ją bardziej szanowała.

I chciała Zośka dać jakiś dowód szacunku chusteczce,
lecz próżno przeszukiwała kieszenie: chusteczka-podróżniczka
gdzieś wywędrowała na nową zapewne wycieczkę.

— Wzięła i się zgubiła — orzekła Zośka.

W Skierniewicach napiły się panie wybornej kawy, a po-
tem znowu brzmiało:

— Mamo, co to jest?

— To Łowicz... to Kutno i t. d.

Było gorąco, mamusia trochę się zdrzemnęła, na jakąś
stację powiedziała „to Siedlce”, choć Zośka wyczytała wyraźnie
„Włocławek” i wiedziała, że Siedlce są zupełnie gdzie indziej,
ale nie chciała budzić mamusi, która widać coś marzyła
o Siedleach.

Zośce tyle naopowiadano o Ciechocinku, że spodziewała
się tam cudów, ale zdrzemnęła się też i zbudzono ją już w nocy.

— Ciechocinek! — wołali konduktorzy, a pasażerowie
chwyтали walizki, koszyki, budzili dzieci, dzieci krzyczały, pa-

nie wołały, posługacze brzydko kleli, słowem, jarmark w Rykach to jest prawdziwy salon spokojny w porównaniu do tego, co tu było.

Wyszły panie z dworca do willi „Słoneczna”, gdzie już było zamówione mieszkanie. Ciemno, posępnie, „Utrapienie” wisiało u matczynej ręki rozczarowane, zniechęcone, zawiedzione.

— Taki Ciechocinek? Eh, też!

Coprawda, Zośka tylko jednym okiem to widziała, bo drugie, jak się zamknęło za Włocławkiem, to jeszcze i teraz nie chciało się otworzyć. Położyła mamusia Zośkę spać, ale ta zdążyła jeszcze jęknąć:

— Mamo, wracajmy do Kłosowa!

Na drugi dzień rano ledwie dobudziła mamusia Zosię. „Słoneczna” była cała w słońcu, taka dokoła zieleń, taki miły ruch, gwar, tyle dzieci, to chyba jakiś inny Ciechocinek, niż wczoraj?

W parku Zosia oniemiała: setki pań, dzieciarni, zabawek, orkiestra gra „Kiedy ranne wstają zorze”, a tych dzieci, tych dzieci tyle, że Zośka nie wyobrażała sobie, żeby wogóle na całym świecie mogło być tak dużo dzieci.

Każda jednak rzecz obok pięknych stron ma swoje strony złe, tak też i Ciechocinek: śliczny, ale ta solanka! Fe! Niby to zupełnie czysta woda płynie, jasna, zdrojowa, a napić się: sól.

— Też woda, prawda, mamo? Nie lepsza to czysta, niż taka słona?

— Moje dziecko, gdyby nie ta solanka, nie ta słona woda, to nie przyjeżdżaliby tutaj ludzie. Czy widzisz, że dzieci jedne są blade, anemiczne, a inne różowe, tęgie, zdrowe? To zdrowie daje im właśnie ta solanka. Przyjechały blade, wątłe, wrócą tęgie, czerstwe, bo ta woda je leczy.

— A czy nie mogłaby taka woda być czekoladowa?

— Nie, kochanie. To właśnie ta sól wzmacnia ludzi. Przyjeżdżają tu osoby schorowane, co nie mogą władać ręką lub nogą, a po kuracji ciechocińskiej wracają im siły; to jest wielkie dobrodziejstwo ta solanka.

— Zawsze szkoda, że to nie może być czekoladowe.

Poszła pani Broniszowa do doktora Rukerta, a trzeba było czekać długo, bo masa chorych tam bywało. Zosia nudziła się, więc poszła trochę pobiegać koło doktorowego domu. Zobaczyła tam malutkiego chłopczyka z włoskami, jak len, z oczkami, jak niezabudki.

— Jak ty się nazywasz? — pytała Zośka.

— Siasiulek, ja ciebie kocham.

— I ja ciebie też, mały bąku. Będiesz się ze mną bawić?

— Nie, bo ja się bawiłam z Helcią.

Siasiulek cały czas spędzał ze swoją nianią, Helcią, lub z mamą, albo z babcią Tolą; tak ciągle rozmawiając z niemi, nauczył się mówić o sobie w formie żeńskiej, co bardzo zabawnie wyglądało u obywatela, mającego już cztery lata i ubranego w rycerski strój.

— Chodź ze mną do babci Toli, będziemy jadły ciastka.

— Ja nie mogę, bo ja mam swoją mamusię, to gniewałaby się.

— Ale ja ciebie kocham.—Siasiulek wszystkich i wszystko kochał: Helcię, mamę, babcię, dziadzię, doktora, pacjentów, dzieci, ptaki, gałązki, trawę, piasek, kamyki, wodę, wszystko, wszystko.

— Proszę panienki, skoro Siasiulek zaprasza — odezwała się pani doktorowa, siedząca na ganku.

— Dziękuję pani, ale muszę iść do mojej mamy, co czeka tam z drugiej strony na pana doktora.

— Ale kiedy ja ją kocham—zapewniał Siasiulek.

— No, to ja pójdę poproszę mamusi, żeby panience pozwoliła do nas przyjść.

I poszła babcia Tola poprosić pani Broniszowej, aby pozwoliła Zośce przyjść na kawę.

Mama robiła ceremonje, ale Siasiulek przyszedł i tak ładnie poprosił, że zgodziły się panie na Zosią wizytę.

Odtąd znalazła pani Broniszowa i Zośka szczerych przyjaciół w rodzinie doktora Rukerta. Razem chodzono do parku, razem nad Wisłę, razem pod tętnie, a to była najmielsza wycieczka. Naturalnie, rozlegało się tu co chwila: „Mamo, co to jest?”

Zaraz też albo pani Rukertowa, albo jej synowa, pani Mary, udzielały cbećnych objaśnień. Jeżeli solanki nalać do kotła i podgrzewać, to woda wyparuje i zniknie, a sól zostanie się na dnie i można ją sprzedawać.

Zbudowane więc są „warzelnie” do wyparowywania wody. Poszły panie do warzelni i widziała tam Zośka duże, płaskie kotły, jak olbrzymie patelnie, a pod nimi palono ogień. Woda parowała, a białe kryształki soli, jak mialki cukier, leżały na dnie. Tak sól wywarzano, czyli wygotowywano.

Spróbowała Zosia tej wody, co mieli ją ludzie już lać do kotła.

— O, fe, jaka słona, o wiele słońska, niż w naszym źródle!

— A ja ją kocham — oświadczył Siasiulek.

— Proszę pani, Siasiulek mówi, że kocha sól, ale ja tam wolę czekoladę. No, i co?

— Jakto co?

— No, dlaczego ta woda jest bardziej słona, niż w źródle?

— Bo ona tu przychodzi z tężni. Biegacie często koło tężni, otóż tam woda czysta częściowo odparowuje.

— Ja nie rozumiem, jak to się robi.

Poszło całe towarzystwo pod tężnię, a babcia mówiła:

— Tężnia, jak widzisz, to wysokie na dwa piętra rusztowanie. Na górze jest koryto do wody, a na dole zbiornik do niej. Całe rusztowanie wypełnione jest wiązkami chróstu, gałazkami. Woda z górnego koryta kroplami spada po gałazkach, a że tu świeci słońce i wieje wiatr, więc woda paruje, ale tylko sama woda, a sól się zostaje. Więc w dolnym zbiorniku będzie wody mniej, niż było na górze, ale ta woda będzie słońska, bo czystej wody ubyło dużo przy jej wędrówce z gałazki na gałazkę. Rozumiecie?

Zośka nie tak tam bardzo znów zrozumiała, ale, że wolą pobiegać, niż słuchać uzonego wykładu babci Toli, więc oświadczyła, że wszystko doskonale rozumie, Siasiulek zaś zapewnił, że bardzo kocha tężnię.

Pobyt w Ciechocinku był bardzo przyjemny. W parku muzyka, dzieciarnia, gonitwy, wyścigi, codzień chodziła Zośka z mamą do solankowej kąpieli w Łazienkach Nr. 2; wszystko byłoby pięknie, gdyby nie trzeba pić tej solanki.

Bawiły nasze panie w Ciechocinku cały sezon, to jest sześć tygodni. Po sześciu tygodniach cały Ciechocinek wybierał się do powrotu, a nowy komplet gości na nowe sześć tygodni przybywał. Tak się trzy razy w ciągu lata zmieniają kuracjusze ciechocińscy, bo są tu trzy sezony.

Robiło też nasze towarzystwo wycieczkę do Torunia, bo to bardzo blisko. Widziała Zośka nad Wisłą czerwone mury fortecy toruńskiej, widziała kościół, gdzie był chrzczony Kopernik, wielki uczony astronom, co się tu w Toruniu urodził. Zajadały się dzieci sławnymi piernikami toruńskimi. Siasiulek oświadczył, że kocha Kopernika i Toruń i pierniki, a Zośka zgodziła się z nim co do tych ostatnich.

Nadeszła chwila rozstania z Ciechocinkiem. Ostatni raz słuchano w parku strażackiej orkiestry, gdy grała „Kiedy ranne wstają zorze”, obiegła Zośka park, popatrzyła na place tenisowe, gdzie Siasiulka tatuś, młody doktor Rukert, i Siasiulkowa ciocia Wanda ślicznie grywali w tenisa.

Zośce markotno było opuszczać ten miły zakątek, a Siasiulek płakał, gdy pociąg już ruszył, uwożąc panią Broniszową i Zośkę w stronę Warszawy.

— Ja ją bardzo kocham — mówił Siasiulek do Helci, a Zośka drugą żyrardowską chusteczką powiewała z okna na pożegnanie.

P Y T A N I A.

Czy może być źródło słone? Gdzie są takie źródła? Wylicz punkty pobliskie od Ciechocinka. Co to jest tężnia, a co jest warzelnia? Opisz urządzenie tężni. Czy kto z was był w Ciechocinku? Opowiedz swoje wrażenia i wspomnienia. Narysuj Wisłę od Włocławka do Torunia i oznacz Ciechocinek. Dokąd robią zwykle wycieczki z Ciechocinka? Z czego jest sławny Toruń? Wiele sezonów jest w Ciechocinku? Jak się przedstawia Ciechocinek w zimie? Czy można do Ciechocinka popłynąć Wisłą? Przez które miasta jedziemy Wisłą, a przez które koleją? Czy Kujawy są urodzajne? Jakie jeszcze mogą być źródła mineralne?

11. Żelazo.

Oddała Wojciechowa Franka na naukę do kowala. Wielki to majster był ten pan Mroczek: w jego kuźni twarde żelazo posłusznie gięło się, zwijało, spawało; jak inni lepią coś z gliny,

lub ciasta, tak pan Mroczek lepił, wiązał, wyginał z twardego żelaza potrzebne na wsi przedmioty. To też z siódmej wsi jeszcze się do niego schodzono, a zwłaszcza do kucia koni, bo z największym umiał sobie dawać radę i to nie złością, ani okrucieństwami, jak to robią niektórzy kowale, lecz wielką dobrocią i zręcznością.

Miał więc Franek praktykę doskonałą i wesołą, bo majster Mroczek ciągle wyśpiewywał różne wesołe piosenki, zwłaszcza wychwalające kowalskie rzemiosło.

Rano pobożnie śpiewał majster pieśń poranną, a zaraz potem rozlegała się w kuźni przyśpiewka:

Zagrażesz mi, mój grajczyku,
Kowala, Kowalika, Kowala,
Kowalika, Kowalczyka, Kowalika,
Kowala!

Opowiadał potem pan Mroczek przeróżne historie, bo bywał w dalekim świecie, a uczył się swego rzemiosła po całym kraju, a wielkie huty, gdzie wytapiają żelazo, znał doskonale, wszędzie bowiem pracował po parę lat: i w Ostrowcu, i w Starchowicach, i w Hucie Bankowej, i w Rakowie pod Częstochową, i w Zawierciu, a bywał też i w hutach na Śląsku: w hucie, co się zwała Laura, i w Królewskiej hucie.

To też znał się pan Mroczek na żelazie, jak nikt inny, a gdy jechał do Piotrkowa po surowy materiał: kratówkę, sztaby, drut, okrągłaki, blachę, stal, lub surowiec, to wybierał sobie najlepsze gatunki, aż pan Aron Poziomka, stary kupiec żelazny z trybunalskiego grodu, mawiał:

— Aj, aj, pan majster taki jest wybrednik! pół sklepu przerzuci, zanim co kupi.

— Bo pan majster zna się na żelazie, a pan kupiec chce mi wkręcić materiał na kluski, a nie na podkowy.

— Na kluski! Ha, ha! Ryfka, słyszałaś? Czy ty mogłabyś z naszego żelaza zrobić kluski?

I śmiali się wszyscy troje: pan majster Mroczek, kowal nad kowale, pan Aron Poziomka, stary siwy kupiec piotrkowski, i pani Ryfka Poziomkowa, jego poważna małżonka w wielkim czepcu na głowie i z dużymi perłami w uszach.

Franek lubił bardzo kuźnię swego majstra: ileż tam się nasłuchał piosnek, ile opowiadań, ile nowin z całej okolicy, bo to schodzili się ludzie z kilku mil w okręgu. Franek, co prawda, prędzej uczył się piosnek i historyjek, niż rzemiosła, bo też to dużo łatwiej śpiewać, niż walić młotem, nieprawdaż?

Najbardziej jednak lubił Franek, gdy przeprowadzono konie do kucia, bo to rozmaite były koniska, a któżby koni nie lubił? Bywały tu chłopskie siwki i kasztanki, bywały dworskie kare cuganty, angielskie gniade wierzchowce dziedziców, szpaczki rządców i pisarzy, tłuste, opasłe konie z proboszczowskich plebanij, kucyki małych paniczów, rysaki naczelników, oficerskie konie, co potrafiły tańczyć zgrabnie, gdy im zagrano, słowem, cały koński świat przesuwiał się przed Mroczkową kuźnią, a pan majster miewał do nich przemowy, piosenki im śpiewał, gładził po delikatnych nozdrzach, klepał po gładkich szyjach i traktował zawsze z poszanowaniem i przyjaźnią.

Inny kowal to krzyczał zaraz na konia: „stój, ty gałganie, łotrze, zbój!” a pan Mroczek nigdy nie mówił koniowi „ty”, zawsze grzecznie tytułował go „pan” lub „pani”, młodym koniom mówił zawsze: „niech panienka”, albo „niech kawaler”.

A konie widocznie rozumiały to grzeczne obchodzenie się, bo nigdy pod Mroczkową kuźnią nie rzucały się, nie kopały; spokojnie podawały kopyto do przybicia podkowy, jak gdyby rozumiejąc, że to dla ich dobra, by nie rozbijały sobie kopyt na twardych, kamienistych drogach.

Zazdrośni inni kowale nazywali pana Mroczka czarownikiem, że tak umie zwierzęta poskromić, a to nie były czary, tylko dobroć i ukochanie; nasz majster kochał konie, był dla nich dobrym, a one to doskonale rozumiały: były spokojne i ufne.

Może też i rozumiały one ciekawe Mroczkowe opowiadania, bo rozmawiał on ciągle do konia i opowiadał mu różne historie, a koń słuchał cierpliwie i z zaciekawieniem, może rozumiał, kto go wie? Przecież rozumie: wio! prrr! k'sobie, wiśta i inne wezwania.

Przeprowadzono raz do podkucia ślicznego siwego arabyka o delikatnych nozdrzach, cienkiej skórze, bujnej grzy-

wie i mądrych czarnych oczach. Nazywał się Selim. Okazywał Selim trochę niepokoju przed kuźnią: węszył, strzygł uszami, przebierał ślicznymi nóżkami.

Wyszedł Mroczek z kuźni i stanął zdumiony, że to taki prześliczny koń.

— Moje uszanowanie panu! — zawołał majster, zdejmując zakopceony kapelusz.

Selim trochę pogardliwie odwrócił głowę, a Franek skreślił się ze śmiechu.

— Pan dobrodziej widzę nie tutejszy? Z Arabji? Szmata drogi, piękny kraj, czytałem, piękny kraj.

Selim życzliwiej obejrzał się i poruszył uszami.

— Ja panu dobrodziejowi pantofelki zrobię wygodne na wszystkie cztery łapki, że będzie pan mógł tańczyć kontredansa.

Franek aż czapkę wpakował w usta ze śmiechu, że Selim będzie tańczył kontredansa, a Selim powąchał majstra Mrocza i spojrzał nań zupełnie życzliwie.

— Przybiję podkóweczki z najlepszego żelaza, a na każdą łapkę z innych stron będzie materiał, zgoda?

Selim parsknął, że się zgadza na to.

Wyniósł pan Mroczek z kuźni cztery podkowy i tłumaczył Selimowi:

— Pan dobrodziej nie tutejszy, to i nie wie, gdzie tu u nas jest żelazo, a pewno pan o Polsce nie nie czytał?

Selim przecząco potrząsnął głową, że jeszcze rzeczywiście nie o Polsce nie czytał.

— Ta podkova, widzi pan, pochodzi rodem z Ostrowca. Panie, śliczny kraj, cudny kraj, rzeka płynie bystro, a zwie się Kamienna. Po bokach wzgórza, a w dali widać złocisty krzyż na wieży nad górami; to klasztor Świętokrzyski na Łysej Górze. Tam góry, lasy, puszcze jodłowe i bukowe, a tu las kominów nad rzeką — to Ostrowiec. W dolinie rzeki Kamiennej leży, mówię panu, setki tysięcy korcy rudy żelaznej, a w Ostrowcu z tej rudy wytapiają żelazo w hucie. Panie, co to za widok, gdy w nocy leją z pieca roztopione żelazo, a tu iskry pryskają we wszystkie strony, a żelazny potok aż

wyje, rozlewając się po formach. Cudny widok, szkoda, że pan nie widział!

Selim westchnął i ani się obejrzał, że jedna podkowa już była przybita.

— Ten pantofelek, proszę pana, pochodzi z huty Bankowej w Dąbrowie Górniczej. Tam to kraj bogaty! Węgiel, ruda żelazna, ruda cynkowa, ryją ludzie w ziemi, kopią, głęboko zapuszczając się po te skarby. Ziemia cała jakby wywrócona do góry dnem, jak krety tak się tu ludziska kręcą pod ziemią, a dokoła kominy, kominy, dym wali, niebo szare, ludzie zasmoleni, okolica smutna i posępna, ale skarby niezmierne, nieprzebrane, za miljardy bogactwa.

Selim pogardliwie machnął ogonem na te skarby i zapewne pomyślał, że kwiecista łąka smacznej trawki lub korzec owsa są o wiele piękniejsze od największej huty.

— Ta podkówka to bliźniaczka tamtej, bo z pobliskich wywodzi się okolic, jeno, że ze Śląska. Urodziła się ta podkówka w Królewskiej hucie. Kraj to czysto polski, ale Niemcy tam rządzą, więc gdy kułem tę podkówkę, waliłem młotem, licząc: ein, zwei, drej, choć zwykle liczę uderzenie: raz, dwa, trzy. Okolice Królewskiej huty też są smutne i posępne, ale drogi doskonałe, kolei dużo, elektrycznych linii, gwar, ruch, a poczciwe Ślązaki pytają się życzliwie przechodnia: „jak się mają, co u nich słyszać, są zaś zdrowi?” Ale zdaje mi się, że pan, panie Arab, wcale nie uważał?

Rzeczywiście, Selim strzygł niespokojnie uszami, węszył i drgnął nerwowo. Z za kuźni wybiegł duży kudłaty pies.

— Eh, to przecież nasz przyjaciel. Pan Kudłacz, pan Selim—rekomendował majster.

Kudłacz bardzo życzliwie machał ogonem, ale Selim dumnie wznosił głowę do góry, ponieważ Arabowie są bardzo dumni i wyniośli.

Ale majster przerwał tę pychę pytaniem:

— Nie wiem, którą podkówkę życzy pan sobie na czwartą nogę, czy z Zawiercia, czy z Rakowa? I ta dobra, i ta niczego. Stoi huta Zawiercie wśród lasu, a dalej piętrzą się wapienne wzgórza wysokie, w nich jaskinie głębokie, na szczytach zamkowe ruiny, cudny kraj, jak marzenie, ale i Raków ma hutę

tuż pod Częstochową, gdzie okolica też piękna, a pod murami ciągną liczne kompanje do klasztoru na odpusty. U państwa w Arabji też tylu ciągnie pielgrzymów do Mekki, więc podkówcęzkę weźmiemy z Rakowa, zgoda?

Selim kiwnął głową na zgodę, a majster krzyknął niespodzianie: — Kawalerze Franku, zamknij usta, bo ci w nie wrona wleci. — Aż Selim się przestraszył tego krzyku, a Franek upuścił obcęgi, gwoździak i młotek, tak się bowiem zasłuchał majstrowych opowiadań i tak zapatrzył na takie niezwykle kucie konia, że otworzył usta, jak drzwi do kuźni, i nie wiedział, co się z nim dzieje.

— Podkówcęzka z Rakowa zaraz będzie gotowa — tłumaczył Selimowi majster Mroczek — nowa to huta, ale fiu! fiu! jaka wspaniała. A z huty widać klasztor Jasnogórski, a z klasztoru widać hutę. Żeby pan Selim widział te krocie ludu, dążące z chorągwiami i śpiewem ku klasztorowi, jakie to tam stroje, jakie ubiory, jakie czepce, sukmany, rogatywki, jaki to lud piękny, jaki kraj piękny! Ach Boże, cudna nasza Polska cała! Cudny kraj, cudny lud!

Ostatni gwóźdź był wbity, Selim próbował chodzić i było mu bardzo wygodnie. Więc zaczął igrać z Kudłaczem, niby że to chce go zabić, a Kudłacz znów szedł, że to niby chce go zjeść, gwar był przed kuźnią nieopisany, Franek stał z rozdziawioną buzią, a w kuźni już brzmiało wesoło:

„Zagrajżesz mi, mój grajezyku,
Kowala, Kowalika, Kowala,
Co nie umiał roboty,
Powyrzucal za płoty,
A bodaj go, Kowala,
Kowalika, Kowaleczyka, Kowala.

P Y T A N I A.

Z czego wytapiają żelazo? Gdzie są u nas kopalnie rudy żelaznej? Wylicz większe huty i pokaż, gdzie one się znajdują. Narysuj bieg rzeki Kamiennej i oznacz Starachowice i Ostrowiec. Jaka linja kolejowa przechodzi tamtędy? Przy jakiej linji leży Raków, Zawiercie i Dąbrowa z hutą Bankową? Jakie są największe huty Śląska? Koło której z hut pragnęlibyście mieszkać i dla-

czego? Czy kto z was widział rudawki na łąkach? Kto widział rudę żelazną? Kto spotkał kiedy wioskę o nazwie Ruda, Rudniki, Rudawa i t. p.? Kto pierwszy budował w Polsce kuźnice? Zwrócić uwagę na ciężką i wyczerpującą pracę hutnika, budzić dla niej poszanowanie.

12. W a p n o.

Piękne są ściany naszej sali, taką jasną delikatną farbą pomalowane. U góry szlak ma dwa paski: jeden szeroki, a drugi wąski. Malował te szlaki pan Emiljan ze swym bratankiem Jankiem. Pan Emiljan był malutkiego wzrostu, ale gdy nałożył fartuch od szyi aż do stóp, to wyglądał nawet jak duży mężczyzna.

Janek nie dawno dopiero przybył do Warszawy na naukę do „Stryjka”. Dziwiło go wszystko w stolicy, ale ciągle rozmyślał nad swoją rodzinną wioską Skarżycami, co leżały o parę wiorst od Zawiercia.

Cudna to okolica! Tu Kromolów, tu Morsko, tam Ogrodzieniec, dalej Pilica.

— Nie myśl — mówił Janek do Cześka, drugiego ucznia malarskiego — nie myśl, że u nas jest tak równo, jak na stole, jak u twojej mamy pod Grójcem. Ho! ho! u nas góry a skały, pieczary, zamki, u nas bukowe lasy, jaskinie, strach, zbóje tam mieszkali, a na górach takie ci wieże, baszty, mury, bramy, co królowie tam bywali, rycerze, księżniczki porwane, ej, to kraj prześliczny!

— I z Grójca śliczna jest droga i do Warszawy prosto się zajędzie.

— Eh, co tam Warszawa, u nas górami idziesz, idziesz w jedną stronę, dojdiesz do Częstochowy, widzisz: do Częstochowy! Idziesz w drugą stronę, idziesz... dojdiesz do Krakowa; co tam twoja Warszawa!

— A ty mi na Warszawę nie urągaj! Schowaj sobie swój Kraków.

— Schowaj Kraków? Ach, ty ślepy Mazurze! Ja ci tu zaraz pokażę! Kraków sto razy lepszy!

— Warszawa tysiąc razy piękniejsza!

— Kraków!

— Warszawa!

— Kraków! Kraków!

— Warszawa! Warszawa! Warszawa! Warszawa!

Żeby przekonać Czeška o wyższości Krakowa, złapał go Janek garścią za płową czuprynę, a Czesiek, obrażony w mazowieckiej dumie, wsadził pięść w oko obrońcy Krakowa, zrobił się gwałt: dwa duże garzki farby wylały się na podłogę, przyleciał Granat, piesek od doktora, zaczął przeraźliwie szczekać, zbiegły się służące, kucharki, dzieci, przyszedł stróż, ale na szczęście wpadł „Stryjek”, jak pospolicie zwano p. Emiljana, i jak nie huknie:

— Hej, karaluchy! Zgoda natychmiast! bo po łbie!

Dwie stolice uspokoiły się stopniowo; jeszcze raz Warszawa pogroziła pięścią, jeszcze raz Kraków pokazał jej język, ale na tem bratobójcza walka się skończyła i zaczęto zbierać Białe Morze z podłogi do jednego, a Błękitne Jezioro do drugiego garnka.

„Stryjek” ujął pędzel w rękę i zanucił chłopcom:

„A znacież wy piosnkę żaków?—piosenka to gładka:
Dla Polaków ojciec Kraków, a Warszawa matka.

Jak odezwie się w Krakowie, w Warszawie odpowie,
Jak w Warszawie hukną żwawie, powtórzą w Krakowie”.

Słuchał Janek piosenki, ale do roboty niebardzo chciało mu się brać.

— Poco to malować ścianę? Przecież mieszkać i tak można.

— Juści że można, ale tak surowe wapno zostawić, to i nieładnie i niezdrowo.

— A to jest wapno?

— A wapno. Toś ty z wapiennych skał rodem, a nie wiesz? A może tu, ot na tym kawałku (Stryjek nakreślił palcem kwadrat na ścianie), jest ten materiał gdzieś z pod Skarżyc, albo Ogrodzieńca, gdzie nieraz biegałeś i bawiłeś się. Któż to wie?

— Eh, Stryjek żartuje, tam przecież tylko kamień.

— Tak, ale kamień wapienny, z którego można wypalić wapno. Łamie się kamień w kamieniołomach, układa w pie-

cach do wypalania wapna, zapala się pod spodem ogień i po paru dniach palenia z owego kamienia wapiennego zrobi się wapno.

— A u nas, koło Grójca, jest też taki kamień wapienny? — pytał Czesiek.

— Nie, koło was takich skał wapiennych niema. Znaleźć je można w różnych punktach naszego kraju, ale najbardziej ciekawe grzbiety wapienne ciągną się od Krakowa do Wielunia i dlatego nazywają je grzbietem Krakowsko-Wieluńskim. Najładniejsze to okolice naszego kraju. Zrobimy po nich wycieczkę, dobrze? — pytał pan Emiljan.

— Och, dobrze, dobrze! - wołali chłopcy.

— Ale pójdziemy do sali, gdzie wisi mapa.

— Eh, to będzie wycieczka na mapie? ja myślałem, że na wozie lub piechotą—rzekł Jaś.

— A ja wolałbym łódką—dodał Cześ.

— Kiedyś, kiedyś będzie i to—mówił Stryjek—ale tymczasem przejdźmy się po mapie.

Wyszukali w kancelarji mapę, na której było napisane Europa Środkowa, powiesili biedną Europę i dopiero zaczęła się podróż.

— Oto tu widzicie jest kółeczko, co oznacza miasto. Przeczytaj, Czesiu, jakie to miasto.

— Wie... Wie... Wie...

— Wie, wie, wie, a nikt nie wie. Pewno Wieluń?

— Wie... Wieluń.

— Nareszcie. Tak, Wieluń, stare miasto wielkopolskie. Posuwaj, Jasiu, palcem ku dołowi, ale nie prosto, tylko w prawo, spotkasz inne kółko, czyli miasto... Nie tak prędko, bo to góry i skały. No, czy jeszcze nie widzisz? A ja widzę przed oczyma: góra, na niej klasztor, wały, mury, kościół z wielką, wyniosłą wieżą i cudowną kaplicą. Białe habity ojców paulinów na murach, a tysiące pobożnych pątników dookoła. Cóż się zasłuchiwał, Janku, zamiast szukać? Czy jeszcze nie masz?

— Jest, Stryjku, jest, o... Częstochowa!

— A widzisz. Pamiętacie, chłopaki, cośmy czytali: Szwedzi, oblężenie, ksiądz Kordecki...

— Pamiętamy, pamiętamy!

— Otóż cała ta okolica to ów kamień wapienny, co można go wypalić na wapno. No, gdzieżeś podział Częstochowę?

— Zgubiłem, schowała się gdzieś.

— Nic dziwnego, sama nazwa wskazuje, że się Często chowa. Ale oto jest i nasza wyniosła wieżyca i klasztor. Pro wadź dalej ty, Czesiu, po skałach i górach wapiennych do następ nego kółka i czytaj:

— Olsztyn.

— Tak, Olsztyn, stary królewski zamek o wysokich wie żach. Bronił go Kasper Karliński, pamiętacie?

— Pamiętamy, pamiętamy.

— Jazda dalej, Czesiu.

— Kiedy teraz na mnie kolej—upominał się Janek.

— Racja, więc jedź i czytaj kółka.

— Kromolów.

— Tam pod kapliczką św. Jana, twego patrona, są źródła rzeki Warty. Tam się ona zaczyna i płynie długo, długo do Odry.

— Moja siostrzyczka też miała odrę—wtrącił Czesiek.

— A twoja mamusia zapewne trzymała przy jej łóżeczku wartę? Co?

— Jazda dalej, teraz Czesio.

— Ogro... Ogro... Ogro...

— Ogrodnik z truskawkami—śmiał się Janek.

— Ogro... Ogrodzieniec.

— Co za przepiękny tu zamek stał! Dziś z niego ruiny, ale to wspaniałe ruiny. Janek je zna dobrze, bo to jego stro ny. Prawda, Janku?

— Ach, stryju kochany, na całym świecie nie piękniej szego się nie znajdzie.

— Jedź dalej.

— Pilica, wiem, tu są źródła rzeki Pilicy, co do Wisły płynie.

— Dalej, Czesiu.

— Oj... Oj... Oj...

— Rany Boskie, co ci się stało? Czego tak jęczysz, Czesiek?

— Oj... Oj... Ojców.

— Ojców i Pieskowa Skała w dolinie Prądnika, to jak zaczarowany kraj. Jakie skały, a jakie grotty, czyli jaskinie! Niektóre są tak wielkie, że możnaby w takiej pieczarze nie tylko dom, lecz duży kościół z wieżami wybudować. Ze szczytu zwieszają się sople, zwane stalaktytami, a te sople są też z wapienia, bo to cała okolica z takich skał się składa. Zwiedzają tu ludzie grootę króla Łokietka, który tu się musiał kryć przed wrogami. Ale kończmy swą drogę, bo trzeba wziąć się znów do malowania pokoju. Jazda, Czechu.

— Kra.. Kra.. Kra..

— Masz, teraz kracze, jak stara wrona!

— Kra... Kra... Kraków!

— A widzisz, Kraków, stara stolica Zamek Królewski na Wawelu. Groby królów i bohaterów naszych. Tu Kościół Marjański, tu Biblioteka Jagiellońska, tu kopiec Kościuszki... eh, baki, tu klękać, padać na twarz przed tą wspaniałością polskiego majestatu.

Kraków — stolica pyszna, co się zowie!

Ile jest grodów wspaniałych na ziemi,

Kraków najpierwszy pomiędzy wszystkimi.

— Ale, proszę stryjka, wapna tośmy nie spotkali?

— Wzdłuż całej tej drogi od Wielunia do Krakowa spotkacie piece, gdzie wypalają wapno, lub fabryki, wyrabiające cement. Dużo pieców do wypalania wapna stoi na stacji Rudniki, pod Częstochową, duże cementownie są w Ogrodzieńcu, Wysokiej, Grodźcu. Ogromny to przemysł: nasze wapno i nasz cement idą do Rosji, na Syberję, idą aż do dalekich pobrzeży oceanu.

— A co było, stryjk, dawniej, od Wielunia do Krakowa? Czy zawsze były tu te góry i skały?

— Eh, chłopcze kochany, tysiące lat temu to tutaj szumiało morze burzliwe, żyły w niem różne skorupiaki, żyły, skorupki ich spadały na dno morza, a na dnie układały się te warstwy wapniaka. Potem siły ziemi wypchnęły dno morskie do góry, morza spłynęły gdzieś na boki, a tu się zrobił grzbiet górski. Ale często na szczycie góry, gdy się młotkiem rozbija kamień, to znajduje się w nim muszle tych ślimaków, co

żyły w tych stronach, gdy było tu morze. Muszle takie zowią się amonity.

— Ja mam w domu dużo takich, ale nie wiedziałem, skąd się one wzięły na górach.

— A teraz wiesz, a wiesz i to, że wapno, którem wyłożone są, lub, jak nazywają, wytynkowane, ściany każdego pokoju u nas, pochodzi z najpiękniejszej okolicy naszego kraju: z grzbietu Krakowsko-Wieluńskiego.

P Y T A N I A .

Do czego potrzebne jest wapno? W jaki sposób je otrzymują? Gdzie są pokłady wapniaka? Co się znajduje wewnątrz wapiennych wzgórz? Co to są stalaktyty? Gdzie najwięcej jest u nas grot? Pokaż dolinę Prądnika. Co znajdują przy rozkopywaniu grot? Wylicz i pokaż większe cementownie. Narysuj linę grzbietu Krakowsko-Wieluńskiego. Kto z was był w Częstochowie? Opowiedzcie o klasztorze Jasnogórskim. Kto zna Ojców? Kto był w grocie? Porównaj dolinę Prądnika z doliną Świdra. Czy bez wapna możnaby murować? Czy to ciężko jest cały dzień murować? Szanujcie biednego murarza i jego pracę.

13. G i p s .

Już całe ściany były pięknie odmalowane, już i sufit był biały i czysty, gdy wzięto się do innej roboty: na samym środku sufitu był okrągły, ozdobny plafon.

Liście, kwiaty i małe dziecinne główki, powiązane ze sobą wstęgami, tworzyły duże koło, a z jego środka miała się zwieszać lampa elektryczna.

Cały ten plafon był biały, jak mąka, rysunek się wikłał, trudno było czasem rozróżnić, w którym punkcie jest liść, a w którym kwiat, gdzie jest zwój wstęgi, a gdzie nosek główki.

Stryjek drapał się w głowę.

— Nie podoba mi się to: zagmatwane, zalane, trzebaby to ożywić, ubarwić, oddzielić, zaraz to się ładniej wyda.

Janek i Czesiek uważali też, że ładniej będzie wyglądała ozdoba na suficie, jeżeli ją się umaluje różnemi farbami.

— Dajcie, chłopaki, drabinę i garnczki z pędzlami, będziemy zdobili ozdobę!

Przynieśli chłopacy drabinę, stryjek stanął jak wódz przed polem bitwy, zaczął się rozglądać, oczy mrużyć; zwinął prawą dłoń w rurkę i patrzył na plafon, jak przez lunetę.

Przypatrywali się i chłopcy, a Cześ tak szeroko otworzył buzię, że Janek nie mógł wytrzymać i wsadził mu w otwarte usta trzonek od pędzla.

Czech, oburzony, krzyknął, rzucił się na Janka, ten w nogi. Zaczęła się gonitwa, na którą stryjek patrzył przez chwilę spokojnie, ale gdy przebiegli chłopcy obok niego, chwycił obu za kołnierze i stuknął porządnie głowami.

— Aj, aj! Ratunku!—wołali chłopcy.

— Chce wam się walki? Macie walkę.

— To on, proszę stryjka.

— Nieprawda, to on.

— Dobrze, dobrze. I on, i on dostaną po karku.

Ale stryjek miewał zwykle minę bardzo srogą, serce zaś bardzo zacne i pocziwe, więc też skończyło się na groźbie, zwłaszcza, że należało się brać do roboty.

— Jak też to ładnie zrobione są te kwiaty i główki z tego wapna—mówił Janek.

— Wcale to nie jest wapno, mój kochany. To zupełnie inny materiał, to jest gips.

— Gips? A co to jest gips?

— Gips to minerał, w którym jest wapno i siarka.

— A więc to jest wapno?

— Jest i wapno, ale zupełnie inne są i skały gipsowe i co innego robi się z gipsu, a co innego z wapna. Gips służy do wyrobu sztukateryj, a ozdoby naszych kamienie robione są z gipsu. Te wieńce, kwiaty, owoce, maski, wstęgi, tarcze, figury, aniołki, które zdobią nasze kamienice, to wszystko robione jest z gipsu.

— A to, co u nas w szkole wieczornej dają nam do rysowania: białe takie tablice z kwiatami lub owocami, to też gipsy?

— Naturalnie, gipsy, jako wzory rysunkowe, a nadto głowy, popiersia, lub całe figury ludzkie można robić z gipsu.

— Figury takie duże, jak człowiek, widziałem w Muzeum na Krakowskim-Przedmieściu — mówił Czesiek.

— Tak, te figury są z gipsu. No, do czego jeszcze gips może służyć?

— A ja wiem — mówił Janek — nasz stróż Walenty raz złamał nogę, to mu ją doktor wziął w gips.

— A tak, nogę mu obleli rozrobionym gipsem, ten gips następnie stwardniał i trzymał nogę sztywno, żeby nią nie poruszać, to się łatwiej zrośnie po złamaniu. Widzicie więc, ile to pożytku z gipsu.

— Ja to chciałbym wiedzieć dwie rzeczy — mówił Janek — skąd się gips bierze i jak to robią takie ozdoby?

— Pamiętacie nasz wapienny grzbiet...

— Krakowsko-Wieluński! — zawołali razem obaj chłopcy.

— Tak, tak. Obok tego grzbietu, na wschód od niego, leży kraj dość płaski, a środkiem tej płaszczyzny płynie rzeka Nida.

Młodziuchna Nida, podobna kwaciarence,
Biegnie przez łąki i do swych wybrzeży,
Jak do koszyka, zsypuje wiązanki
Ze złotej ruty, bzu i macierzanki.

Śliczny to kraj nad Nidą: doskonałe, urodzajne grunty, rozległe błonia zielone, miasta starodawne, lud wesoły, miły, pogodny. Śliczny kraj, gdy go poznacie kiedyś, to całą duszą pokochacie go i w serdecznej zostanie on pamięci...

— No; ale ten gips to co?

— Otóż Nida przepływa właśnie przez takie okolice, gdzie w ziemi leżą pokłady gipsu. Kamień to szary, błyszczący, łupie się on na tafelki. Tak wygląda gips, kopany nad Nidą w kamieniołomach. Ten szary kamień wysyłany jest do młynów, by go zemleć na mąkę, a przy każdym młynie jest duży piec do wyprażania gipsu. Ów więc szary kamień kładą do pieców, zagrzewają, wyprażają, niosą do młyna, a tam kamienie młyńskie miażdżą go na białą delikatną mąkę.

— Słyszysz, Czesiek? Z takiej mąki wyborne pewno klusieczki?

— Nie przeszkadzaj. Proszę Stryjka, niech on nie przeszkadza tej mące.

— Zgoda, bębny! Jeżeli tę mękę rozrobić z wodą, otrzymamy gęsty, jak śmietana, płyn. Ten płyn trzeba wylać do formy, jaka nam potrzebna, a po pewnym czasie nasz płyn stwardnieje, skamienieje, otwieramy formę i wyjmujemy gotową sztukaterję, ot, jak na przykład nasz plafon z sufitu.

Stryjek ujął w rękę pędzel z zieloną farbą i zaczął malować liście plafonu, ale chłopcy jeszcze coś chcieli się dowiedzieć z „gipsowych interesów”, Stryjek więc mówił:

— W gipsie jest też siarka, można ją z gipsu wydobywać. Widzieliście nieraz kanarkowo-żółte słupki siarki, bo często się jej do różnych rzemiosł używa, z niej też wyrabia się kwas siarczany, straszną truciznę, ale w przemyśle niezbędny. A tam nad Nidą, gdy wody wsiakają w ziemię, rozpuszczają w sobie siarkę i tworzą źródła siarczane. Woda taka ma bardzo nieprzyjemny zapach, ale jest niezmiernie skuteczną na różne choroby. To też są tu kuracyjne miejscowości, ot twój tatuś, Janku, dwa lata temu tam był.

— A, w Busku, wiem, wiem!

— Tak, w Busku, a są też takie źródła i w Solcu. Siarkę czystą wytapiano też dawniej w Czarkowych, ale teraz tę fabrykę zamknięto, bo do wytopienia trzeba dużo opału, a tu lasów już niema, węgiel zaś wozić, to za drogo wypada.

— A mówił Stryjek, że tam są starożytne miasta, jakież to? Ja bardzo lubię starożytne rzeczy—pytał Czesio.

— On nawet ma buty starożytne i starożytną kurtkę — zauważył Janek.

Już miała wybuchnąć starożytna walka obu chłopców, lecz Stryjek pędzlem z zieloną farbą pociągnął Janka po nosie, nie miał więc on (Janek, a nie nos) czasu na kłótnię, Stryjek zaś mówił:

— Są, są bardzo ciekawe i śliczne miasta: Pińczów wśród wysokich wzgórz, Wiślica z bardzo starym kościołem, co go stawiał król Władysław Łokietek, dalej Korczyn, gdzie Nida wpada już do Wisły. Wszystko to stare, stare grody, ale Wiślica to najwspanialsze było kiedyś miasto. Ważyły się nawet losy, które miasto będzie stolicą całej Polski: czy Kraków, czy Wiślica?

— I Kraków zwyciężył!

— A tak, zwyciężył, ale i Wiślica ma sławne karty w swej historii, zwłaszcza gdy król Kazimierz Wielki tutaj ogłaszał swoje prawa, zwane „Statut Wiślicki”. Wtedy Wiślica gościła w swych murach i wspaniały dwór królewski, arcybiskupi i świetne orszaki panów, biskupów, szlachty. Jakże to musiało być wspaniałe, majestatyczne, pełne przepychu i dostojności!

Stryjek zamyślił się głęboko, chłopcy też zamilkli i była chwila ciszy i skupienia, jakby rozmyślań nad ową dawną wspaniałością Wiślicy.

Ale Janek zbyt wielki był zbytnik, aby długo mógł wysiedzieć spokojnie, chwycił więc Czeska za nogę i przeraźliwym głosem zaszczekał, udając psa.

Stryjek drgnął, omal nie spadł z drabiny i brzydko zaklął na niesfornych chłopaków, a zwabiony doskonałym udawaniem psa Granat od doktora wpadł ze szczekaniem do pokoju. Zaczęła się gonitwa zawzięta dokoła: pies szczekał, Janek udawał drugiego, Czesiek uciekał, aż Stryjek huknął:

— A żeby was licho wzięło! Z tego hałasu pomalowałem wstęgi na żółto, a anioły na zielono! A wszystko przez te wasze dzikie wrzaski.

Przepraszali chłopcy Stryjka za taki wypadek i przyrzekli, że nigdy się taki „gips” nie powtórzy.

P Y T A N I A.

Co kopią w dolinie Nidy? Pokaż bieg tej rzeki. Skąd czerpie ona swe wody? Jak wygląda gips? Co z niego wyrabiają? Jakie źródła lecznicze są nad Nidą? Wymień i pokaż miejscowości kuracyjne. Skąd sprowadzamy siarkę? Dlaczego nie używamy krajowej? Narysuj bieg Nidy i zaznacz ważniejsze miasta nad tą rzeką. Kto z was był w Chęcinach? Kto zna Kielce? Co tam kopią? Jakże ma zastosowanie gips w medycynie? Czy bardzo cierpi człowiek, który złamał rękę i trzymają mu ją w gipsie? Biedny człowiek!

14. L a s y.

Skończył się rok szkolny. Wandzia dostała nagrodę, Zbych przeszedł do drugiej, a Staś już do czwartej klasy. Szykowano się w domu do wyjazdu na Litwę, bo pan prezes był rodem z Litwy. Mieszkanie miało być zamknięte, więc wszystkie me-

ble i sprzęty zniesiono do jednego pokoju, który wyglądał, jak wielki skład mebli.

Stały tam dębowe szafy obok orzechowej komody, jesionowe biurko obok sosnowego stołu, bukowe gięte krzesła w sąsiedztwie olszowych konewek i ceberków, brzozowa etażerka obok topolowego stołeczka pod nogi, słowem, w pokoju było jak w lesie, gdzie gęstwina drzew daje cień, a wichher szumi po konarach.

20 czerwca pani prezesowa z dziećmi wyruszyła pod Nowogródek, gdzie niegdyś mieszkał Mickiewicz, gdy jeszcze był małym chłopcem. Pan prezes jeszcze o dwa dni wcześniej wyruszył z wycieczką krajoznawczą na Podole, a w mieszkaniu zaległa zupełna cisza.

Cicho było dzień, drugi, trzeci, ale na trzecią noc, a było to właśnie 23 czerwca, w wigilię świętego Jana, w zamkniętym pokoju zaczęły się dziać jakieś niezwykle rzeczy: coś jakby szum, jakby skrzyp, jakby szmer zaczął się koło północks i eichy dotychczas pokój zawrzał życiem.

W wielkiej dębowej szafie coś huknęło głośno, zaskrzypiał sosnowy stół, zadźwięczały obręcze na olszowej konewce, a topolowy stołeczek pod nogi zsunął się z brzozowej etażerki, o którą był oparty, i upadł głośno na podłogę.

Może były to skutki gorąca, bo upały były w mieście, a w pokoju sucho i duszno, może stołeczek był źle oparty i obsunął się, nie wiadomo napewno. Bo może to też duchy starych drzew, z których porobiono sprzęty, przyszły odwiedzić dawne swe siedziby. Lud na wsi mówi, że wigilja świętego Jana to tajemnicza noc, że wtedy kwitnie cudowny kwiat paproci, dający szczęście, a w lasach dzieją się niezwykle dziwy.

— Takie właśnie dziwy zaczęły się w pokoju pani prezesowej.

— Och, jak tu duszno — jęknęła brzozowa etażerka — chciałabym, aby lekki wietrzyk powiał, jak wtedy, gdy w Kampinoskiej puszczy stałam na stoku wzgórza.

A chór wszystkich mebli zaszemrał zgodnie:

— Ach, jak tu duszno!

— I do tego tak sucho, brakuje wilgoci, usycham bez ździebełka wody — żaliła się olszowa konewka, co jest bardzo zrozumiałe, bo olszyna rośnie tylko nad wodami, w miejscach podmokłych.

— A skądżeście, konewko? — pytał sosnowy stół.

— Ja z Augustowskiej puszczy, blisko miałam prześliczne błota nad Biebrzą, wody, ile tylko chciałam, a tu usycham, usycham.

A chór wszystkich mebli zaszemrał zgodnie:

— Ach, jak ty sucho!

Sosnowy stół zaskrzypiał z dumą:

— Ja tam nie lękam się suszy. Wyrosłem na piaszczystym pagórku Białowieskiej puszczy. Sucho tam było piekielnie, ale moja sosnowa rodzina lubi takie suche piaszczyste ziemie. To też na polskich ziemiach dużo, dużo nas jest, najwięcej ze wszystkich drzew. Tam, gdzie olcha, wierzba skończyłyby z suszy, gdzie świerk nie urosłby wcale, my sosny bujamy ku górze, do słońca. Pachnąca żywica krąży w naszych pniach, nasze igielki cały rok w zieleni. Przetrwa się upał, przetrwa się mróz. Trzeba żyć, trzymać się ziemi.

— Panie stole — mówiło bukowe gięte krzesło — zechciej nam pan o swojej puszczy opowiedzieć, pan słynie z nauki, przecież nawet ludzie mówią: „mądry, jak stołowe nogi”.

Stół nie wiedział, czy to zaczepka, czy też dobre serce, więc udał, że nie rozumie i uprzejmie odparł:

— Moja puszcza to największa puszcza w całej Europie. Kilka mil na długość i kilka mil na szerokość ciągną się lasy, lasy, lasy, to sławna na cały świat puszcza Białowieska.

Gąszcz, mówię wam, okropny. Drzew, krzewów nazbiegało się tu mnóstwo, a wszystko rwie się do słońca, szuka powietrza, więc stara się jedno drugie przerosnąć i przewyższyć.

To też drzewa, drzewa wysokie! No! Stała koło mnie sosna. Boże, ja byłem jeszcze małym chłopcem wtedy, a ona była już tak wysoka, że ledwie mogłem dojrzeć jej wierzchołek. Jak kolumna: gładka, śmigła, a wesoła! Coś tam ciągle opowiadała swoim towarzyszkom, trącała je gałęziami. Czasem brały się wszystkie za szyje i kołysały zgodnie, a czasem to jedna drugą tłukły gałęziami po głowach.

— Ach, jak sucho! — zajęczała niespodzianie olszowa konewka, ale inne ofuknęły ją i słuchały stołowego opowiadania.

— Mało która ruda wiewiórka docierała do wierzchołka mojej sąsiadki, zato chętnie przychodziły poleżeć koło jej pnia wielkie brodate żubry.

— Żubry? Co to jest takiego? — pytano.

— Żubry to największe zwierzęta w Europie. Nie dziwię się, że o nich nie wiecie, bo ich na całym świecie niema, tylko w naszej Białowieskiej puszczy. Żubr jest większy od krowy, na karku ma kudłatą grzywę, krótkie, silne zagięte rogi zdobią jego głowę...

— Moje uszanowanie państwu! Jestem właśnie żubr — odezwał się głos ze ściany, bo tam właśnie wisiała za szkłem duża fotografia żubra, co ją pan prezes przywiózł z puszczy, gdy był tam z wycieczką krajoznawczą.

Wszystkie meble, obrazki, lampy, książki, lichtarze, kosze, dywany z zaciekawieniem obejrzały się na żubra, a ten ryknął na cały głos.

— Kto budzi mnie z wiekowego snu? — odezwał się surowy głos dębowej starej szafy, co ją miała pani prezesowa jeszcze po swojej praprababce — czy to głos surmy bojowej, by ruszyć na wroga? Za moich dni wielki król zasiadał w cieńnię mych konarów i sądy sprawował. Wspaniała była jego postać: złocista na głowie korona, ciężki łańcuch klejnotów na szyi, płaszcz purpurowy spadał mu z potężnych ramion. Rozumne oczy, z błyskawicami gniewu na złych, a z blaskiem miłosierdzia dla dobrych, zdobiły jego twarz. W skupieniu i ciszy słuchałam mądrych jego zdań, jego sądów. Szemrały z uwielbienia konary moje, gdy Wielki Kazimierz mówił do swego ludu, co go czcili, jak ojca. Za Przedborzem, blisko Pilicy, stulecia całe rosłam. Lasy, bory, puszcze nieprzebyte szły po całej ziemi polskiej... gdzież one dziś? Wycięto je, zniszczono doszczętnie...

Coś jeszcze mruczały deski starej dębowej szafy, ale coraz ciszej, ciszej.

Inne sprzęty z szacunkiem patrzyły na te dębowe deski, co widziały na własne oczy Wielkiego króla Kazimierza, co słuchały mądrych jego sądów.

Z szafy ozwał się ponownie głos: — Czy już wrócił król Jan z pod Wiednia? Ścięto mnie, gdy mężny król porwał się ratować chrześcijaństwo, od tej pory nie widziałam już mojej szafirowej Pilicy, dąbrowę moją wycięto... znów ucichł głos szafy dębowej, co ją pani prezesowa miała po praprababce.

Po chwili jednak bukowe gięte krzesło zaczęło wiercić się i skrzypieć, bo duże śruby z niego kochane dziateczki wykręciły.

Buczek wykladał sąsiadom:

— Puszcze i lasy wycięte na równinach, bo ludzie potrzebowali pól do zboża, ale w górach to jeszcze lasów i puszczy jest bardzo dużo. U nas w Karpatach to jeszcze ogromne, ogromne lasy jodeł i buków, ja sam jestem z regli nad Kościeliską doliną. Tam u nas drwa jeszcze nie brakuje.

— No, tak—mówił topolowy stołeczek pod nogi—ja tam nie rośłem nigdy w lesie, lecz tylko przy drodze. Dużo ludzi jeździło, czasem wypoczywali pod moim cieniem, dużo wieści przynosił wiatr, więc się to i owo wiedziało. Wiem, że jest duża jeszcze puszcza Myszyniecka, gdzie Kurpie mieszkają, jest tuż niedaleko od Warszawy puszcza Kampinoska.

— Moja ojczyzna—wtrąciła etażerka.

— Jest puszcza Kozienicka, jest Korabiewska, jest Tucholska, jest Jańsborska, sporo jeszcze puszczy zostało. Ale też i wycięto bardzo, bardzo dużo. Wycięto zupełnie puszczyę Jaktorowską pod Warszawą, gdzie dziś przystanek Jaktorów, a na Kujawach to prawie wcale lasów niema, lud zaś śpiewa sobie:

„Na Kujawach wbród wszystkiego, nic nie zbraknie,
Jeno drewek każdy łaknie”.

— A kto umie co o swoich drzewach, niech powie—proponowało bukowe gięte krzesło.

— Doskonale, doskonale!—wołały meble, a topolowy stołeczek pod nogi zaczął:

„Wystrzelila ku wyżynie
I w niebiosach zda się ginie
Topola”.

Stół sosnowy zawołał:

„Na złotych piaskach wyrosłaś,
O sosno!
Gdzie rdzawe mchy tylko rosną,
Ty w niebo czoło podniosłaś,
O sosno!”

Po nim brzozowa etażerka mówiła:

„Nad zwierciadlaną, srebrną tonią
Marzyła brzoza wiecznie drżąca,
U stóp jej cicho fale dzwonią
I zefir zlekka o nią trąca...”

Pragnęły inne o swych rodach wierszami gadać, ale z debowej szafy rozległ się głos:

„Tęsknię ku tobie, o szumiący lesie!
Ku twoim pieśniom, które wiew wiosenny
W bezmierny przestwór na swych puchach niesie...”

Zrobiło się smutno i żałośnie: te martwe dziś sprzęty kiedyś żyły, rosły, rozwijały listeczki, kwitły. Krażyły koło nich pracowite pszczoły i swawolne chrząszcze. Kapały swe korony w słońcu i piły ożywczy deszcz wiosenny.

Jak to dziwnie pomyśleć: żyły deski podłogi, żyły ławki szkolne, żyły obsadki, ołówki, żyła tablica i ramy okien, żyły drzwi i trzcinka, którą pani pokazuje na mapie. A dziś to wszystko martwe. Szanujmy to wszystko, bo to kiedyś żyło na polskiej ziemi, zdobiło ją urokiem zieleni. Może to i jest co prawdy w ludowym podaniu, że w wigilję św. Jana dawne życie wstępuje w te obumarłe przedmioty?

Stróż trzymał w piwnicy kilka kur i koguta. Po północy kogut zapiał, czar prysnął, cisza zaległa w pokoju p. prezowej. A jednak Wandzia po powrocie mówiła:

— Pamiętam dobrze, że oparłam stołeczek o etażerkę, a teraz leży na podłodze. Czyżby tu kto był?

P Y T A N I A.

Co pokrywało dawniej naszą ziemię? Jakie dziś pozostały obszary puszczy? Pokaż, gdzie jest puszcza Białowieska. Jakie tam rosną drzewa? Jakie kryją się w puszczy zwierzęta? Czy mieszkają tam ludzie? Gdzie są puszcze Kurpiowskie? Która puszcza leży blisko Warszawy? Którą wycięto zupełnie?

Wymień drzewa przydrożne. Wymień leśne drzewa iglaste, liściaste. Wymień krzewy leśne. Kto z was lubi lasy? Dlaczego? Dlaczego lasów jest coraz mniej? Jak wysyłamy transporty drzewa? Spław do Gdańska drzewo z puszczy Białowieskiej, z puszczy Kosienickiej. Czy trzeba szanować las? Trzeba przy tej okazji budzić szacunek dla szaty roślinnej: zakazać łamania gałązek, rwania liści, deptania traw. Kochajmy przyrodę. Każda roślinka żyje, czuje, cierpi. Nie krzywdźmy jej bez potrzeby.

15. Praojcowie.

Siada czasami babcia przed szkatułką, w której przechowuje pamiątki i listy. Zachodzą wtedy jej oczy łzami. Czyta babcia pożółkłe kartki jakichś starych listów, a czasami trzyma w drżących rękach rdzą pokryty krzyżyk żelazny, lub w pożółkły papier zawinięty pukiel złocistych włosów.

Poruszają się wtedy blade wargi babuni, szepcząc jakieś niedosłyszane wyrazy.

Babunia czasem opowiada o smutnych dniach powstania styczniowego, kiedy była młodą panienką, a pukiel złocistych włosów dał jej jedyny ukochany brat, co wpisał się do partji powstańców i zginął pod Małogoszczą.

Rozpaczala nad tą stratą nie tylko babcia, lecz i prababcia, żaląc się, że dużo drogich istot opłakała już w czasie powstania listopadowego, gdy wrzały bitwy pod Stoczkiem i pod Wawrem, pod Grochowem i na szaniecach Woli.

Babcia pamiętała rok 1863, gdy było powstanie styczniowe, a prababcia pamiętała rok 1831, t. j. czasy powstania listopadowego, a praprababcia żyła podczas powstania kościuszkowskiego, które było w roku 1794.

Trzy wielkie momenty naszych dziejów, a w każdym z nich żył ktoś z waszej rodziny. Żył, pracował, starał się, zabiegał, marzył o szczęściu polskiej ziemi i polskiego narodu.

Ale przecież praprababcia miała swego ojca. Był on posłem na słynny sejm czteroletni, zwany wielkim sejmem, bo na nim uchwalono konstytucję 3-go maja, co cały naród napełniło wielką radością i szczęściem.

A był pan poseł potomkiem dzielnego, odważnego kasztelana, co z królem Janem chodził pod Wiedeń, by ocalić od zagłady chrześcijaństwo.

Wypełnił pan kasztelan w r. 1683 przykazanie swego ojca, dzielnego rycerza, co w r. 1646 bronił bohatersko Częstochowy przed najściem Szwedów, a synowi nakazywał życie dla Ojczyzny i honoru poświęcać.

Patrzcież tedy, jaki to łańcuch ciekawy: babcia z r. 1863, prababcia z 1831, praprababcia z 1794, jej dziadek z 1683, a jego ojciec z 1656, wszystko to wasi przodkowie, wasi „krewni”, a „krewni” to znaczy ludzie tej samej krwi.

Ale przecież ten obrońca Częstochowy to także miał ojca, dziadka i pradziadka. Cóż oni robili? Dziadek wojewoda chodził na boje z królem Stefanem Batorym w r. 1578, a jego ojciec pamiętał pogrzeb Zygmunta Augusta, ostatniego z Jagiellonów. Smutne to były obrzędy w Krakowie, gdy składano do grobu ukochanego króla, a nad jego trumną złamano słynny jagielloński miecz, bo już nie miał go kto dźwignąć z tego rodu.

I ten oto uczestnik królewskiego pogrzebu to też był wasz przodek, wasz „krewny”, bo z jego krwi, z jego rodu pochodzicie.

I tak ciągle posuwając się w pomrokę dziejów, w każdej epoce znajdziecie kogoś ze swych „krewnych”. Jakiś wasz przodek widział, jak na pochyloną głowę Jagielly zlewano w katedrze krakowskiej wodę świętego chrztu, a było to w roku 1386.

A jego pradziad towarzyszył Łokietkowi, gdy się on krył w jaskiniach Ojcowa, by nie wpaść w ręce zaciętych wrogów.

A dawniejsi przodkowie byli świadkami, gdy bohatersko bronili krakowianie Ojczyzny przed najściem Tatarów, którzy w r. 1241 pustoszyli naszą ziemię.

Wasz „krewny” chodził razem z Bolesławem Krzywoustym na Pomorzan, aby zdobyć dla Polski wybrzeża Bałtyku, a jego dziad był świadkiem smutnej tragedji na Skałce w r. 1079, gdy wzburzony i nieprzytomny król Bolesław Śmiały zabił świętego Stanisława.

Czy pomyśleliście kiedy, że przecież to cały łańcuch waszych „krewnych”, waszych praojców i waszych przodków.

I był pomiędzy nimi taki, któremu dobra, szlachetna Dąbrówka, żona Pierwszego Mieszka, własnoręcznie dała białą

chustę na znak przyjęcia chrztu świętego w roku 966, gdyż przedtem ten wasz „krewny” to był poganin. Modlił się on w świętym gaju przed posągami Światowida, składał ofiary bogini Ładzie, a w wyciu wichru czcił bogów „Śwista i Pośwista”, co byli panami wicherów.

Ale czyż to ten wasz pogański „krewny” to był pierwszym z waszego rodu?

Wcale nie. Przecież i on miał swego ojca, dziadka i pradziadka, a przed przyjęciem chrześcijaństwa żył już wasz ród i byli wasi „krewni” lat pięćset, lat tysiąc jeden i drugi, nim światło prawdziwej wiary przyniosła zagna Dąbrówka na naszą ziemię.

Jeżeli wasz przodek, poseł na wielki sejm, nosił jedwabny kontusz i żupan wspaniały, na nogach miał safjanowe buty, a barwny pas słucki otaczał jego figurę, jeżeli husarz króla Jana jeździł pod Wiedeń w błyszczącej zbroi, a u ramion szumiały mu orle skrzydła, to ów pierwszy w waszym rodzie chrześcijanin nosił białą sukienną sukmanę, na nogach miał „skórcznie”, to jest kawałki skóry, jak góralskie kierzpce, a jego przodek z przed tysiąca lat ubierał się w niedźwiedzią skórę i chodził boso.

W ręku miał ten wasz „krewny” kamienną siekierę, jego żona lepila niezdarne gliniane garnki na wodę, igłę robiła sobie z rybiej ości, lub z kawałka rogu, albo kości, a szyła mężowi ubranie ścięgnem, wydartem z jelenia, lub dzika.

I nie umiał ten wasz „krewny” budować sobie chaty, lecz mieszkał w jaskini ciemnej i posępnej nad Prądnikiem, a przy ognisku musiał ktoś u nich stale siedzieć i dokładać ognia, bo gdy ogień zgasł, to już nie umiano go nawet rozpalić i mogła cała rodzina zamarznąć i zginąć marnie.

A gdy umarł wasz ten „krewny” z jaskini, to ułożono stos nad Prądnikiem, położono tam jego zwłoki i podpalono stos, a potem zebrano kosteczki, zsypano do glinianej urny, postawiono przy niej w małych garnuszkach pokarmy i napoje, wierzono bowiem wtedy, że nieboszczyk będzie potrzebował posilić się przed drogą do nieba.

Innemi czasy lub w innych okolicach nie palono ciała zmarłego, lecz układano je w grobie, wyłożonym kamieniami,

kładziono przy nim łuk, strzały, dzidę, siekierkę, bo wierzono, że na tamtym świecie będzie mu to wszystko potrzebne.

Czy nad urną z kosteczkami, czy nad skrzynkowym grobem sypano mogiłę, pagórek z ziemi, zwany kurhanem, a jeżeli dziś pagórek taki rozkopujemy, znajdujemy tam kości naszych „krewnych”, ich bronie, ozdoby i naczynia. Słowem, odnajdujemy ślady i dowody życia tych ludzi, którzy żyli na naszej ziemi dawno, dawno przed nami.

Ci ludzie pierwotni mieli synów, ci znów swoich synów, ci — swoich, ci znów swoich, i tak pokolenie za pokoleniem sunęło się przez wieki; a na krańcach tej drogi przez historję stoi na jednym końcu ów praszczur, odziany w niedźwiedzią skórę, z kamienną siekierą w ręku, a na drugim stoją nasze dzieci ze szkoły, ubrane w mundurki, a w rękach trzymają pióra, czy ołówki.

Ładny łańcuch, prawda?

A przecież nie na dzieciach skończy się łańcuch pokoleń. Nasze dzieci wyrosną na ludzi dojrzałych. Po nich przyjdą nowe pokolenia, te znów wyrosną, a po nich zjawią się nowe, i tak przez długie, długie wieki ogniwo za ogniwo ciągnęły się i ciągnąć będą pokolenia.

A co jedno pokolenie, to lepsze i rozsądniejsze. Dzisiaj małe dziecko więcej wie i więcej umie, niż ten pradziad z jaskini, co żył dwa tysiące lat temu.

A ile będzie umiało dziecko za dwa tysiące lat? Niewątpliwie znów dużo więcej, niż dziecko dzisiejsze. I to się nazywa postęp, że ludzie postępują ciągle w mądrości.

A jeżeli są ludzie coraz mądrzejsi, to są też coraz lepsi, bo dobroć wynika z mądrości.

Jeżeli tedy dzisiejszy człowiek jest dużo lepszy od swego jaskiniowego przodka, to o ileż jeszcze lepszy będzie ten człowiek, który będzie żył np. w roku 2921? To będzie anioł dobroci i anioł mądrości. I to się właśnie nazywa „postęp”.

A cóż my jesteśmy? My jesteśmy dużo, dużo mądrzejsi i dużo, dużo lepsi od naszych dzikich praojców, ale musimy starać się jeszcze „postąpić” naprzód ku tym idealnym ludziom, co będą żyli w Polsce za tysiąc lat.

Czy żył kto z waszych przodków za króla Jana? Jak wyglądał ten wasz przodek? A czy mieliście krewnego za czasów króla Kazimierza Wielkiego? A najdawniejszy wasz przodek co porabiał? Gdzie mieszkał? Jakie miał narzędzia? Czy które z was było w jaskiniach Ojcowa? Czy to miłe było mieszkanie waszego pradziada? Co robiono z ciałem pierwotnego człowieka? Czy które z was widziało urny z cmentarzysk? Czy miało które w rękę kamienną siekierkę lub strzały? Czy dzisiejsza ludność mogłaby tak żyć, jak żyli praojcowie? Jakie wrażenie miałby nasz praszczur z jaskini, gdyby zjawił się dziś w Warszawie? Czy za tysiąc lat będzie lepiej na świecie? Nacisk na ciągłość pokoleń w przeszłości i przyszłości. Wskazać, że każde pokolenie to ogniwo w łańcuchu życia narodu.

16. Lud polski.

Kogo nazywamy Polakiem? Oto pytanie, które często nasuwa się w życiu. Na pytanie takie daje nam odpowiedź samo życie: Polakiem jest ten, kto mówi polską mową. Po mowie więc poznajemy swoich rodaków.

Francuz mówi po francusku, Czech po czesku, Włoch po włosku, a Polak po polsku, i po tem go odróżniamy od innych narodów.

Mowa — to największy nasz skarb, bo to jest wyłączna nasza własność. Nie używa w domu tej naszej drogiej mowy ani Francuz, ani Włoch, oni bowiem mają swoją mowę. Ale ten śliczny, dźwięczny polski język tylko w naszych domach brzmi; tylko naszymi ustami wymawiany jest czysto i dobrze, bo to jest nasz własny skarb.

Tej swojej ukochanej mowy używa cały naród: w ubogiej chacie wiejskiej i w pałacu magnata, w małym miasteczku i w stolicy kraju cały naród używa tej samej mowy, cudnej, dźwięcznej mowy polskiej.

Oto w olbrzymiej kamienicy mieszkają ubodzy ludzie w suterynie, mieszkają bogaci państwo na pierwszym i drugim piętrze, średnio zamożni na trzecim i czwartym, a nad nimi na faćjatkach znów gnieździ się biedota.

Wszędzie dużo dziatwy, od suteryn do poddaszy. Jedne wstają wcześniej, inne później, myją się, ubierają, klękają do pacierza i oto po wszystkich piętrach, przez wszystkie mieszka-

nia bogaczów, czy biedaków, wszędzie brzmią te same słowa modlitwy: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”

Inaczej te dzieci mieszkają, inaczej jedzą, inaczej się ubierają, inaczej się uczą, lecz mówią jednakowo, więc też właśnie mowa to jest wspólny skarb narodu, to jest łącznik, co wszystkich jednoczy w potężny naród polski.

Nasuwałoby się teraz pytanie: jak też dużo jest na świecie narodu polskiego? Czy więcej od innych narodów, czy mniej?

Obliczyli to już ludzie i przekonali się, że wcale nie mało jest tych, co mówią polską mową, a więc są Polakami.

Obliczyli to już ludzie, że osób, mówiących po polsku, jest na całej kuli ziemskiej

25,000,000.

Pomyślciemo, co to za wielka potęga 25 milionów głów myśli po polsku, 25 milionów ust mówi po polsku, 25 milionów serc kocha swoją Ojczyznę, 50 milionów rąk pracuje ciężko dla jej dobra. Jakaż to szczęśliwa ta matka Polska, co ma 25 milionów dzieci!

Każde z was jest kropelką tego polskiego morza. Każde z was jest kółeczkiem tej wielkiej maszyny narodowej, a koło każdego z was stoi 25 milionów ludzi, zupełnie tak samo czujących, zupełnie tak samo myślących, zupełnie tak samo mówiących, co razem jest olbrzymią wola i potęgą.

Nie cały jednak nasz naród mieszka na polskiej ziemi. Jedni mieszkają nad Wisłą, Wartą, pomiędzy Karpatami a Bałtykiem, a więc są to Polacy na ziemi polskiej. Takich szczęśliwych jest 15 milionów. Największe to bowiem szczęście, gdy człowiek mieszka na swej własnej ziemi.

Nie wszyscy jednak mogli znaleźć byt na tym pomoście od Karpat do Bałtyku: zaczęli przesiedlać się ku wschodowi za Niemen, Dźwinę, Dniepr i Dniestr, ku ziemiom Litwy i Rusi, i takich liczymy 4 miliony. Żyją oni w pobliżu ziem ojczystych, w ciągłej pozostają styczności z Polską, opuścili wprawdzie kraj, ale są z nim w ciągłej łączności. Mówi się o nich, że „kolonizują” ziemię na wschód od Ojczyzny.

Niektórzy jednak poszli dalej jeszcze na wschód, na ziemię Rosji, a więc nad Wołgę, Nowę, Ural, przeszli Ural, udali

się na Syberję, coraz dalej i dalej na wschód, aż do oceanu Spokojnego. To nie są już „koloniści”, to są „emigranci”, czyli inaczej „wychodźcy”, bo oni wyszli z kraju. Takich wychodźców na wschód jest prawie 2 miliony.

Nie wszyscy jednak ruszyli na wschód: wielu szukało bytu, idąc na zachód. Są więc i w Niemczech, i we Francji, na Węgrzech, w Czechach, są we Włoszech, są w Anglii, siedli na okręty, przepłynęli ocean Atlantycki, wylądowali na wybrzeżach Ameryki Północnej, czy Południowej, osiedlili się tam, to też są emigranci, czyli wychodźcy na zachód, a liczba ich będzie 4 miliony.

Dodajmy więc teraz razem

Polaków na polskiej ziemi. . .	15	miljonów
Polaków kolonistów na wschód .	4	„
Polaków wychodźców na wschód	2	„
Polaków wychodźców na zachód	4	„

Razem . . . 25 milionów.

Jeszcze jedno nasuwa się pytanie: czy to jest dużo, czy mało w porównaniu do innych ludów Europy? I to też już obliczono i przekonano się, że liczba Polaków znacznie przewyższa inne narody, bo jest na kuli ziemskiej:

Greków	3	miliony
Duńczyków i Norwegów razem .	5	miljonów
Bułgarów	5	„
Szwedów	5	„
Holendrów	6	„
Czechów	7	„
Belgów	8	„
Rumunów	10	„
Portugalczyków	20	„
Polaków	25	„

O ileż tedy więcej jest Polaków: dwa razy tyle, co Rumunów, trzy razy tyle, co Czechów, cztery razy tyle, co Holendrów, a pięć razy więcej, niż Szwedów lub Bułgarów.

Dodać do siebie wszystkich Duńczyków, Norwegów, Szwedów, Bułgarów, Greków i Czechów razem, to dopiero byłoby ich tylu, ilu jest Polaków.

Widzicie więc, jaki to potężny i wielki jest naród. Tylko Włochów, Francuzów, Hiszpanów, Rosjan, Niemców i Anglików jest od nas więcej.

Na ziemiach jednak polskich mieszkają też i obcy przybysze. Są więc tu koloniści niemieccy, najczęściej rolnicy, zwłaszcza na żyznych, urodzajnych pasach nadrzecznych, lub robotnicy po fabrykach.

Są Żydzi, stanowiący znaczny procent ludności w miastach i miasteczkach, a zajmujący się handlem drobnym i wielkim.

Są też Rusini u wschodnich naszych granic, a Litwini u północnych, gdzie gęsto miesza się jedna narodowość z drugą.

Dawnemi czasy mieszkali wśród nas po miastach Ormianie, trudniący się też handlem; po wsiach — Tatarzy, których spotyka się sporo na Litwie, jako rolników.

Są też i Wielkorosjanie, tak zwani Staroobrzędowcy, wygnani z Rosji, a przyjęci gościnnie przez Polskę, bo Ojczyzna nasza zawsze miała serce otwarte na niedolę ludzką i chętnie otwierała gościnne swe wrota dla wszystkich nieszczęśliwych i cierpiących wygnańców.

Naogół więc tak się przedstawia sprawa ludu polskiego.

Sam ten lud wykazuje pewne drobne różnice w mowie, ubraniu, zwyczajach i charakterze w różnych swoich dzielnicach i prowincjach: Krakowiak jest bystry, wesoły, Mazur porwywczy, energiczny, Podlasiak cierpliwy, stały, trudnoby to opisać te wszystkie cechy charakterów ludowych, bo, jak to zwykle między ludźmi, dużo jest rozmaitych odmian. A jeżeli mówią, że няма dwóch jednakowych listków na drzewie, to tem bardziej няма dwóch zupełnie podobnych do siebie ludzi.

A wszystkich łączy jedna myśl i jedna mowa. Wszyscy kochają swą ziemię i kochają swą mowę. Te dwa skarby dostał naród, jako najdroższy spadek po swych przodkach, i te dwa skarby musi oddać następny pokoleniom w całości i czystości: mowa nie może być zeszpecona, ziemia nie może być uszczuplona, bo musielibyśmy odpowiadać za to przed sądem historii.

Zwłaszcza mowę troskliwie trzeba ochraniać, nie przekreślać wyrazów, nie mieszać obcych. Mowa musi być czysta, jak kryształ, musi błyskać, jak brylant, nieskazitelna, bo ona

jest skarbem wyłącznie naszym. Nie używa jej obcy lud, ona nas od innych wyróżnia, a który naród nie chce ulec i poddać się innym, musi przedewszystkiem dbać o swoją drogą, ukochaną mowę.

My, Polacy, tylko czuwając nad swą mową, możemy śpiewać:
„Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy!”

P Y T A N I A.

Co odróżnia jeden naród od drugiego? Czy cały naród używa tej samej mowy? Wielu jest Polaków na świecie? Czy mniej, czy więcej, niż innych narodów? Czy wszyscy Polacy mieszkają na polskiej ziemi? Co to jest kolonizacja, a co wychodźstwo? Wielu jest Polaków na kolonizacji, a wielu na emigracji? Zsumuj na tablicy te liczby. Dokąd emigruje ludność nasza? Czy wracają z emigracji? Czy tęsknią za krajem? Czy radują się, słysząc mowę polską? Czy powinno się szanować i kochać swoją mowę? Nacisk na wielkość narodu i miłość mowy ojczystej. Nacisk na prawo do wolności i niepodległości.

17. W i e ś.

Józia od stróża z Sosnowej nigdy nie była na wsi, a rodzice jej ze wsi pochodzili. Ojciec wywodził się z nad Pilicy, a matka urodziła się i wychowała pod Sochaczewem.

Krótkie chwile wypoczynku, po mozolnej pracy stróża w dużej kamienicy, spędzali rodzice Józki na pogawędce o wsi, o krewnych, co tam pozostali, i obiecywali Józce, że gdy podrośnie, to pojedą na wieś albo do stryja do Smardzewic, pod Tomaszów, albo do ciotki Wojciechowej, co mieszka w Żelazowej Woli, koło Sochaczewa.

Gdy dali rodzice Józce do wyboru, dokąd woli jechać, do stryjki, czy do cioci, Józka krótko rozstrzygnęła sprawę:

— Do stryjki też i do cioci też.

Uśmieli się rodzice z takiej decyzji, ale, że to Józka była jedynaczką i rodzice bardzo ją kochali, więc postanowili, że trzeba będzie zrobić dwie wyprawy na wieś. Trudno jednak zostawić kamienicę bez dozoru, boć to i zamieść trzeba, i bramę otwierać, i ulicę polewać, i tyle, tyle różnych rzeczy robić.

Uradzili więc Józefostwo, że gdy jedno pojedzie, to drugie musi zostać w domu na zastępstwie, i czekali sposobnej pory,

by swe plany wykonać, a Józia chodziła do pani Teresy na naukę i myślała ciągle, kiedy już nareszcie pojedzie na wieś.

Pani też była rodem ze wsi, z Kieleckiego. Tam się cho-
wała i rosła, ale ojciec jej w powstanie zginął, wrogowie za-
brali całą jego wieś, a matkę z dziewczynką wypędzili.

Poszła pani dziedziczka w świat, tułąc do łona dziew-
czynkę, i tułały się po miejskim bruku, marząc bezustannie
o swej rodzinnej wiosce. Ileż to wieczorów opowiadała starsza
pani przytulonej do siebie dziewczynce o urokach i piękności
wioski kieleckiej, o szczęśliwych dniach tam spędzonych,
a dziecku marzyły się cudne widoki cichej wioseczki z dwo-
rem i sadem, z widokiem na Łysicę, otuloną w błękitny płaszcz
oparów.

Starsza pani czasem śpiewała cichutko piękną pieśń Mo-
nuszki ze „Strasznego Dworu”:

„Cichy domku modrzewiowy,
Otoczony wieńcem drzew,
Jak cię uczcić, brak wymowy”.

I łzy spływały ze zblakłych źrenic starszej pani, padając
na złote włosy dziewczynki.

Upłynęły lata, starszą panią pochowano na Powązkach,
a dawna mała dziewczynka wyrosła na nauczycielkę. I znów
płynęły lata.

Młoda nauczycielka trawiła życie na bieganiu za lek-
cjami, już i pochyliła się trochę i szron przyprószył jej skro-
nie, a zawsze kochała dwie rzeczy: dzieci i wieś.

Często też zadawała dzieciom wierszyki o wsi i w ten
sposób wiązała swoje dwa umiłowania w jedną całość.

U takiej pani uczyła się Józia od stróża z Sosnowej. Ko-
chała bardzo swoją dobrą panią, uczyła się chętnie i sama lu-
biła te piękne wierszyki, jak naprzykład:

„A czymżeś ty dla mnie, wiosko,
Czemże ja tobie —
Że tak lecę do cię z troską
O każdej dobie
Myślami,
O każdej dobie.”

Że tak lecę, a spoglądam
Ku czarnej roli,
Że cię pragnę, a pożądam,
Jak własnej doli,
Zbawienia,
Jak własnej doli”.

Józia ten wiersz i śpiewała i deklamowała, bo w nim jest jakby muzyka, jakby śpiew jakiś od pól, od łąk, od chat idący.

Nawet Józina matka mówiła często do córeczki:

— Zaśpiewajno, Józia, o tej wsi.

A Józia zaraz siadała na stołeczku przy nogach matki i śpiewała cieniutko:

„A czemżeście dla mnie chaty,
Wy progi niskie,
Że mi wasze znoje, straty
Tak sercu bliskie,
Siostrzane,
Tak sercu bliskie?
Co wy macie do mnie, drzewa,
Wy, polne grusze —
Że gdy wietrzyk wami śpiewa,
Ja łzami proszę,
By rosą,
Ja łzami proszę”.

Zwykle wtedy Józefowa obcierała oczy, a Józef patrzył gdzieś w dal i kończył swoje myśli potakiwaniem: „tak, tak”.

Wreszcie gospodarz domu dał Józefowi urlop na tydzień. Radość zawrzała w małej izdebce stróża: Józia skakała do góry, pobiegła do pani, wróciła, podzieliła się radosną nowiną z towarzyszkami zabaw na podwórku i obraziła się zupełnie serjo na Franię z suteryny, gdy ta powiedziała (t. j. Frania, nie suteryna) bardzo lekceważąco: „O wa! wielka rzecz!”

Naturalnie, że wielka. Ileż to krętaniny było w domu! Matka prała, prasowała, karbowwała, wyszywała, gotowała, przelewała, pakowała, układała, związywała, a w chwilach wolnych od tych zajęć... płakała.

Czy z radości, że to Józia jedzie na wieś, czy z żalu, że nie jadą razem, nie wiadomo.

Pani zaszła do stróżowskiej stancyjki, przyniosła Józi cukierków na drogę i prosiła:

— Przywieź mi, Józiu, trochę kwiatów polnych. Tutaj są wspaniałe kwiaty, ale ja takbym chciała trochę bławatków i niezapominajek, trochę choćby ziela jakiego, ale stamtąd, ze wsi, rozumiesz, dziecko?

W sobotę wieczorem Józia wyjechała z ojcem do Tomaszowa Rawskiego, skąd jeszcze milę drogi mieli jechać końmi do stryjka. Józia postanowiła przez całą drogę nie zmrużyć oka, aby wszystko dobrze widzieć, ale noc, choć gwiazdzista, była ciemna, Józi oczy zaczęły się kleić i najspokojniej zasnęła na tatusiowem palcie.

Rozbudził ją duży gwar, bo już pociąg stał w Tomaszowie, dużo osób wysiadało i wsiadało, więc też i ojciec, zabrawszy pakunki, wyruszył z wagonu, a na stacji szukał stryjka.

Stryjek stał koło dzwonka, wyglądając gości. Ucieszyli się sobie bracia ogromnie, bo to nie widzieli się już parę lat. Stryjek Szymek był rośli, barczysty, ogorzały, miał na sobie białą sukmanę z czarnemi wyszyciami, a podpasaną czerwonym pasem. Wyglądał jakoś dostojnie, poważnie, a na twarzy widniała mu radość z powodu kochanych gości.

— Chodźcież, chodźcież, bracie, do fury, bo już moje bułanki czekają na was, a Jędrus dawno Józię ehce obaczyć.

Poszli tedy na drugą stronę stacji, gdzie stały: bryczki, powozy, dorożki i chłopskie wózki. Stryjek Szymek miał parkę bułanków, które trzymał Jędrus, syn Szymona, mały, dziesięcioletni chłopiec, ubrany też w białą sukmankę, czapeczkę z pawiem piórkiem, czerwoną kokardkę pod szyją, wyglądał też, jak z obrazka.

Józia nie wiedziała, jak ma się z nim witać, więc się bardzo zawstydzila, a Jędrus, widząc dziewczynkę z miasta, też odwrócił się od niej, i takie było powitanie stryjecznego rodzeństwa.

Potoczył się wózek Szymona po twardej szosie. Parskały zadowolone bułanki, a gdy skreśliły z szosy na cichą polną drogę, Józef zapatrzył się w pola z jakąś rzewnością, jakby w obraz uwielbiany.

Jędrek ciągle się boczył na Józię, a ona ciągle była zawstydzona. Nagle Jędrusław zawołał:

— O, zając, zając!

— Gdzie, gdzie? — zapytała Józia, i od tej pory już się zaznajomili, zbratali, zbliżył ich szarak.

I już teraz Jędrusław pokazywał Józi, gdzie falowały łąny już bielejącego żyta, przetykane bławatkami, ciemno-zielone pola kartofli, cętkowane w białe kwiatki, gdzie różowiły się zagony konieczyny, a nad temi łąnami unosił się gdzieś w górze skowronek, dzwoniąc radosną piosenkę.

Taka cisza była w powietrzu, taki jakiś spokój, jakby w jakieś wielkie święto; Józef miał łzy w oczach, takie łzy radości i rozrzewnienia, a Józia myślała sobie: „moja pani to pewnoby teraz powiedziała to, co często mawia:

„Nie lubię miasta! nie lubię wrzasków
I hucznych zabaw i świetnych blasków,
Bo ja chłop jestem — bo moje oczy
Wielmożna świetność kole i mroczy.
Więc na wieś wrócę; o wsi wesoła!
Ty mnie powitasz, kwiatku anioła”.

Tymczasem droga do Smardzewie skręciła w las. Lekki szum wysokich sosen gawędził coś nad głową, a dołem leszczyny. Krzaki, „głóg w objęciach kalin, ożyna czarne usta tuląca do malin”, i znów jakaś kojąca cisza, jakby w wielkiej świątyni, wśród tysiąca kolumn.

Nagle zawołał Jędrusław:

— Patrz, patrz, Józiu, wiewiórka, wiewiórka.

Jakoż rzeczywiście, zgrabne to żółte zwierzątko skakało śmiało z gałęzi na gałąź, aż siadło na złamanym sęku, bogaty, puszysty ogon ustawiło nad łebkiem, a czarnymi ślepkami mądrze patrzyło na przejeżdżających, jakby mówiąc:

— Ach, to Józia z Sosnowej ulicy, bardzo dobrze, że do nas zawitała. — Poczem machnęła ogonkiem, co u wiewiórek znaczy: — Moje uszanowanie pani!

Za lasem droga wyszła na łąki nadpilickie. Józia aż krzyknęła, tak tam było pięknie: zielony dywan łąki, pełen kwiecica, spływał ku szemrzącej rzece. Rośli się nad kwiatami mo-

tyłe różnobarwne, zapach szedł od tego kwiecica upajający, dusza rwała się do tych łąk zielonych, szeroko ponad rzeką bystrą rozłożonych.

A po drodze spotykano coraz więcej ludzi, co szli do kościoła w świątecznej odzieży. Barwne wełniaki i tęczowe wstęgi dziewcząt tak pasowały do tych kwiecistych łąk, do zieleni lasu i błękitu nieba, że stapało się to wszystko w jakąś dziwną całość.

Ludzi przybywało coraz więcej. Istny potok płynął tam, gdzie czerwieniły się dachy starego klasztoru, a srebrzysty dźwięk sygnaturki stapał się z pieśnią skowronkową i szumem lasu.

Pojechał Józef z bratem Szymkiem, Jędrusiem i Józią do klasztoru, witając kumów, krewnych i znajomych. Przedstawiał im swoją córkę, Józię, co chodzi do pani na edukację. Witano ją serdecznie, jak swojaczkę, rodzoną córkę, kochanego gościa.

Grały ślicznie organy w smardzewickim kościele. Siwiutenki, jak gołąb, proboszcz błogosławił pracowity, poczciwy lud polski, unosząc w dymie kadzideł złocistą monstrancję nad pochylone kornie głowy.

Józia patrzyła, jak na jakieś nadziemskie zjawisko, a gdy lud padł na kolana, śpiewając:

Święty Boże, Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny,
Zmiłuj się nad nami!

to Józia rozplakała się z jakiegoś nieznanego uczucia szczęścia i upojenia. Pragnęła biec ucałować spracowane ręce tych starych gospodarzy i gospodyń, objąć szyję tej młodzieży i działw, iść z nimi razem przez całe życie, kochać ich, służyć im, życie całe swoje oddać dla ich szczęścia, dla tej wsi polskiej i polskiego ludu.

P Y T A N I A .

Gdzie jest przyjemniej żyć, na wsi, czy w mieście? Opisz znaną ci wioskę. Gdzie ona leży? Jak się ubierają gospodarze i gospodynie? Narysuj chatę wiejską. Czem jest pokryty dach? Co jest koło chaty? Jakie budynki, drzewa i kwiaty otaczają chatę? Opowiedz zajęcia wiejskie w dniu powszednim

i w niedzielę. Co jest piękniejsze: łąka, pole, czy las? Głosujemy. Kto jest za łąką, ręce do góry. Teraz—kto za polem? A teraz kto za lasem? Jaki pożytek może przynieść dla wsi dziecko z miasta? Kto z was widział odpust, wesele chłopskie, dożynki, dyngus? Nacisk na umiłowanie ludu i szacunek dla jego pracy, na obowiązki nasze względem prostego ludu.

18. Bułka i cukier.

Zjechali się goście do Kłosowa na Boże Narodzenie: wuj Stefek z pod Sandomierza, wuj Janek z Podlasia, ciotka Halina z Kujaw, stryj Tadeusz z Podola, babcia Grabowska z pod Opoczna i stryj Tolek, co ciągle śpiewał: „Mazur ci ja, Mazur!”

Stryj Tolek przyjechał sam, bo nie miał żony, ani dzieci, ale inni przyjechali z dziećmiakami, a babcia Grabowska z wnuczkami, więc gwar i krzyk był w Kłosowie niesłychany.

Stryj Tolek chwycił się za głowę, wołając:

— A zabierzcie to hultajstwo ode mnie, bo którą skaleczę ze złości — i całował wszystkie baki po kolei. Baki uciekały, bo stryj Tolek miał kłującą brodę, a on je gonił po wszystkich pokojach kłosowskiego dworu i niby to uspokajając dzieci, jeszcze większy hałas robił.

Uroczyście odbyła się uczta wigilijna, łamano się opłatkiem. Babcia płakała, mówiąc, że dużo już z rodzinnego grona brakuje, ale stryj Tolek mówił:

— To prawda, babciuniu, smutne to, ale też niebo pobłogosławiło, dając trzy tuziny młodych laterośli.

— Mogliby przecież być razem i ci, i ci—mówiła babcia, wzdychając.

Potem była choinka, gwiazdka, przyszedł Gwiazdor, który, rzecz dziwna, śpiewał: „Mazur ci ja, Mazur”. Dzieci okropnie się przeraziły, bo to i różgę miał okrutną, i pacierza słuchał, i skądciś wiedział, co które z dzieci broiło.

Na drugi dzień przy obiedzie chwalono bardzo ciasta i bułki pani Broniszowej: panie mówiły, że mąka śliczna, panowie, że strucle za mało tłuste, a stryj Tolek narzekał, że stanowczo za mało rodzyneków, więc trudno je wydłubywać.

Z tego przeszła sprawa na urodzaje i rolnictwo. Każdy chwalił lub ganił swoje wioski i grunty, bo choć to niby wszędzie

ziemia i ziemia, to jednak ziemia ziemi nie równa. Są grunty dobre, a są i złe. Zaraz to i po ludziach poznać: wuj Stefek z Sandomierskiego, ciotka Halina z Kujaw, stryj Tadeusz z Podola wyglądali pulchniutko, różowo, czerstwo. Ubrania mieli kosztowniejsze, kufrы okazałsze.

Wuj Janek z Podlasia i stryj Tolek „Mazur ci ja, Mazur”, wyglądali szczuplej, trochę biedniej, a już babcia Grabowska to taka była szczuplutka, jak patyczek, i bledziutka bardzo.

Zosia Broniszówna, co wszystko lubiła zaobserwować i wypytać się, zagadnęła:

— Dlaczego to babciunia jest taka szczuplutka, a ciocia Halina taka tęga?

Matka zgromiła Zosię za niegrzeczne pytanie, ale babcia uśmieła się i rzekła:

— Daj jej pokój, niech się pyta—a zwracając się do Zosi, mówiła jej dalej: — żebym ja miała wieś na Kujawach, to i ja wyglądałabym pulchniutko, ale tak, na moich piaskach to trudno utyć.

— To babcia ma same piaski? Ach, jaka babcia szczęśliwa, ja tak lubię na bosaka biegać po ciepłym piasku.

— No, zapewne, biegać to tam dobrze, ale orać i siać to niebardzo. Pamiętaj zawsze, że nasi chłopci mówią: na czarnej ziemi to chleb rośnie, a po białej to psy się gonią.

— Oj, u babci to się tam gonią, gonią, jakem Mazur — mówił stryj Tolek.

— No, niewiele i u ciebie lepiej na Mazowszu — wtrącił wuj Stefek—wiadomo, jak to na mazurach:

„Za piaskiem lasek,
A za laskiem piasek”.

— Gruby sandomierski pszenicznik niech się nie stawia. Że sieje łany słynnej pszenicy sandomierki, to jego szczęście, a i to podolski stryjek Tadeusz jeszcze lepsze ma ziemie.

Poczem panowie poszli gawędzić o polityce, panie o niegodziwości służby, a dziatki kochane tak bębniły, trąbiły na gwiazdkowych prezentach, aż stryj Tolek przychodził z propozycją wyrzucenia „tego wszystkiego razem”, t. j. niby i dzieci, i zabawek na mróz i śnieg.

Ale Zosia Broniszówna położyła nową lalkę, Walerkę, spać, obok niej położyła dwie książki i pistolet, na który zamieniła się z Jurkiem, bo on lubił lalki, a ona znów broń.

Otuliwszy cały skarbiec kołderką, poszła Zosia do babci Grabowskiej pogadać o tych rozmaitych gruntach, dobrych i złych.

— Czy to, proszę babci, na Kujawach to wszyscy ludzie są tędzy, jak ciocia Halina?

Babcia roześmiała się.

— No, nie, są tędzy, są i szeszupli, to się tylko tak mówi, a rzecz cała idzie o to, że w jednych miejscach są grunty bardziej urodzajne, a w innych mniej urodzajne.

— No, to gdzie są najurodzajniejsze?

— U nas to najurodzajniejsze ziemie są na Podolu...

— U stryjka Tadka?

— Tak jest, i na Ukrainie, to jeszcze dalej, za Działowem, majątkiem stryjka. Są to wszystko czarnoziemy, najżyźniejsze grunty.

— Do stryjka to jest bardzo daleko, trzeba prawie dwa dni jechać, ale czy tu bliżej niema gdzie czarnoziemów?

— Czy pamiętasz panią Cybalską, co tu przyjeżdżała do tatusia w sprawie rady familijnej? Otóż pani Cybulska ma majątek pod Hrubieszowem, a tam właśnie są też czarnoziemy.

— A wuj Stefek pod Sandomierzem czy też ma czarnoziemy?

— Nie, koło Sandomierza są żółtoziemy, gliniaste grunty, nie tak już urodzajne, jak podolskie czarnoziemy, ale zawsze bardzo jeszcze żyzne i pszenica i buraki doskonale się na nich udają.

— Czy nigdzie więcej niema już żółtoziemów, tylko koło Sandomierza?

— Są jeszcze koło Proszowic, trochę w Lubelskiem, trochę pod Marjampolem, trochę w Rypińskiem, słowem, po różnych punktach kraju.

— A jakie jeszcze mogą być grunty, jakie na przykład ma wuj Janek na Podlasiu?

— Na Podlasiu są bielice podlaskie. Białawe ziemie, co po deszczach zbijają się w skorupę i roślinkom trudno się przez nie przebić.

— Biedne roślinki, żal mi ich.

— Naturalnie, że biedne. Roślina żyje, rośnie, więc gdy taka bielkowa skorupa pokryje ziemię, roślina, nie mogąc skorupy przebić, ginie bez powietrza i słońca.

— A u cioci Hali na Kujawach to też dobra ziemia?

— Ho, ho, moje dziecko, na Kujawach to są przepyszne grunty, jak czarnoziemy, to też ciocia Halina w swoich Zawadach sadi buraki całymi polami i odstawia do cukrowni, gdzie z buraków wyrabiają cukier.

— Ten cukier biały to jest z buraka?

— A tak, z białego cukrowego buraka. Gdyś jechała z mamą z Warszawy do Ciechocinka, to spotykałaś dużo fabryk. Przeważnie były to cukrownie, bo cały ten pas po lewym brzegu Wisły to pas cukrowniany.

— Odtąd będę sobie do herbaty kładła burak zamiast cukru.

— To źle na tem wyjdiesz, bo zanim z buraka cukier wydobędą, to duża i skomplikowana jest robota. Ale to już zawsze sobie pamiętaj: gdzie są dobre ziemie, tam są i cukrownie, bo ludzie sadzą buraki cukrowe.

— To babcia nie sadi w Brzostowie buraków?

— Moje dziecko, na moich piaskach to ledwo kartofle się rodzą. Opoczyńskie ziemie słyną jako bardzo biedne, piaszczyste. Tylko żyto i kartofle na takich gruntach można zbierać, a na dobrych to pszenicę, buraki, jęczmień.

— Mazur ci ja, Mazur! – rozległo się we drzwiach, i wszedł stryj Tolek.

— Cóż ty się nie bawisz lalką, tylko konferujesz z babcią?

— Ona wypytuje się o różne gatunki gruntów, bo chce się dowiedzieć, gdzie co można siać.

— Ach, to pewno chcesz kupić sobie majątek ziemski? Ileż masz gotowego kapitału?

— O, mam już osiemnaście groszy i jakiś japoński pieniądz od wujka Olka.

— No, tam koło babci to jużby można za te pieniądze kupić mająteczek.

Uśmiali się wszyscy, a stryj poszedł opowiadać rodzinie o Zosinych zamiarach.

Zosia zaś poszła do Walerki zobaczyć, czy spokojnie śpi. Lecz oto okropny obraz przedstawił się jej oczom: Walerka leżała na ziemi twarzą na dół, pistolet był pod łóżeczkiem, a na łóżeczku smacznie spała Finka, maleńka suczka, która uważała, że miejsce w łóżeczku jej się należy, a nie Walerce.

Zosi żal było spędzać Finke i żal było Walerki. Wzięła ją więc na rękę i uspokajała, mówiąc:

— No, nie martw się i nie płacz. Ja ci kupię wieś na Kujawach, żebyś była taka tłusta, jak ciocia Halina. Będziesz sobie siał pszenicę i sadzić buraki, a pistolet będzie u ciebie rządcą. Za japoński pieniądz wybudujemy cukrownię i będę do ciebie przyjeżdżała na cukierki. Finke będziemy zaprzęgali do powozika i musi nas wozić po wszystkich wujkach czarnoziemnych i żółtoziemnych, a na niedzielę będziemy jeździli do babci, bo ona ma piasek z kartoflami, więc jest taka cienka. No, pojedziesz Walerka do babci?

Walerka nie przeczyła, więc widać, że się zgadzała na piękny projekt Zosi.

Poszła więc Zosia na zwiady, czy za japoński pieniądz można będzie wybudować cukrownię. Stryj Tolek obejrzał monetę i orzekł, że w Japonji możnaby za to dostać talerz ryżu, ale tutaj to więcej nad trzy landrynki nie dadzą.

Została więc sprawa w zawieszeniu i Walerka dotychczas jeszcze nie ma majątku ziemskiego, ale natomiast Finka kiedyś odgryzła jej rękę. Osiemnaście groszy dała Zosia ubogiej dziewczynce, co jej mama musiała uciekać przed wojną. Tak więc Zosia została bez pieniędzy, a Walerka bez ręki.

P Y T A N I A.

Jakie grunty są najlepsze do uprawy? Jak powstał czarnoziem? Czy lepsze do uprawy piaski, czy gliny? Jaką ma własność bielica? Gdzie u nas są czarnoziemy, żółtoziemy, bielice? Gdzie są piaski i co na nich rośnie? Gdzie warto kupić grunt na folwark? Co to jest „powiśle”? Co głównie uprawiają na gruntach piaszczystych, a co na gliniastych? Czy kto z was zwiedzał cukrownię? Wiele włóka ma móg? Po iie też trzeba płacić za włókę dobrego gruntu? Co to jest parcelacja? Budzić zamiłowanie do pracy na roli, ukochanie pola, ogrodu, sadu, łąki, lasu.

9. Fartuszek.

Gdy szła Haneczka na pensję, sprawiła jej mama granatową sukienkę i czarny fartuszek, bo wszystkie dziewczynki jednakowo były ubrane.

Haneczka cieszyła się z tej sukienki, a zwłaszcza z fartuszka, idąc zaś przez ulicę, oglądała się, czy inne dzieci patrzają na nią, że to ona już jest pensjonarką.

Babcia, wyprawiając ją rano na pensję, codziennie ostrzegała:

— A uważaj na dorożki, a nie wpadnij pod tramwaj, ażeby cię samochód nie przejechał.

Po tych złotych radach babcia dawała jej drugie śniadanie od mamy i dodatek do śniadania od babci.

Haneczka zawsze zaczynała drugie śniadanie od babcego dodatku. Dlaczego? Zgadnijcie.

Strasznie przyjemnie płynęły dni na pensji. Wesoło, swobodnie. Ale czyż to na świecie zawsze jest pogoda? Toż i deszcz czasem leje, a czasem to i burza grzmi.

Tak się też stało z Haneczką.

Pewnego dnia podczas dużej pauzy biegano sobie wesoło, a Haneczkę gonili dwie koleżanki: ta duża Hela Markowska z za Wolskich rogatek i Myszką Ramocką.

Dogoniły obie Haneczkę w rogu pokoju, skąd chciały ją wyciągnąć, chwyciły za fartuszek, ciągnąc każda w swoją stronę, mocno, z całej siły, aż tu fartuszek... trrrr... trrrr... i rozdarł się od góry do dołu.

Wszystkie trzy struchlały, bo przecież nie chciały zrobić źle, tylko to się samo tak zrobiło.

Hanka w płacz, Hela też, Myszka też.

Przybiegła panna Jadwiga, ich opiekunka, i pyta, co się stało?

— Far... far... far...—szlochała Haneczka.

— Nieprawda, pro... pro... sę pani—jęczy Hela.

— To samo się... sa... sa... samo—biada Mysz.

— Dużom się dowiedziała—mówi panna Jadwiga.

Wtedy zaczęły odrazu wszystkie trzy:

— Ona... goniła... fartuszek... uciekała... samo, proszę pani... w rogu... fartuszek... uciekała... — i taki zrobił się hałas, że zbiegły się koleżanki, opiekunki, sama nawet pani przełożona przyszła i zrobił się wielki sejm nad biednym fartuszkem, który leżał na ziemi rozdarty na dwie połowy.

Posypały się teraz złote rady: jedne radziły, żeby fartuszek wyrzucić, inne, żeby zeszyć, inne jeszcze, żeby skleić, a jedna z pierwszej klasy, taka narwana, ni z tego ni z owego zaśpiewała:

Wlazł kotek na płotek
I mruga!

To najbardziej Haneczkę zabolało, że ta narwana nie współczuje jej w nieszczęściu, ale jeszcze się naśmiewa.

Nie, nie było rady, trzeba było fartuszek zeszyć. Kochana panna Jadwiga uzbroidła się w igłę i nitkę i zaczęła szyć. Ale przyszły te duże z szóstej i siódmej klasy i powiedziały, że nie pozwolą na to, żeby pani miała się fatygować, za żadne skarby świata nie pozwolą, same zeszyją i, wyrwawszy fartuszek, coś w osiem, czy dziesięć wzięły się do roboty.

Boże! co za wrzask się zrobił przy tej pracy, aż stróż Józef przyszedł z dołu dowiedzieć się, czy to nie pożar. Pannienki wydzierały fartuszek jedna drugiej, szyły, pruły, poprawiały, aż wreszcie na sam czas, gdy uderzył dzwonek, fartuszek był gotowy i z pośpiechem oddano go Haneczce.

Przesiedziała już tę ostatnią lekcję bez fartuszka, a gdy wychodziła do domu, chciała założyć fartuszek, aż tu co się okazuje? Oto te trzepałkowskie zeszyły tak pięknie, że jedną połowę wzięły od góry, a drugą od dołu, wypadło więc pół falbanki na dole, a pół pod szyją, jedno ramionko dobrze, a drugie wlecze się po ziemi.

Ale już lekcje skończone i trzeba iść do domu. Chciała Haneczka nowy fartuszek kupić sobie, miała nawet swoje cztery grosze, a Myszką dodała jej dwa grosze i stary medalik, ale to wszystko było za mało.

Szła tedy Haneczka na Sosnową bez fartuszka, a raczej niosła go pod pachą, płacząc tak rzewnie, że wszyscy przechodnie litowali się nad nią i nikt jej nie śpiewał „wlazł kotek na płotek”, jak ta z pierwszej klasy.

Gdy weszła do domu blada i z zapłakanemi oczami, babcia odrazu domyśliła się, co się stało.

— Przejechali cię!? — krzyknęła.

— Jeszcze gorzej! — jęknęła Haneczka i opowiedziała tragiczne dzieje fartuszka.

Babcia i mamusia uspokoiły ją, po obiedzie zasiadły do pracy i wkrótce fartuszek był jak nowy. Mamusia to majster była do wszystkiego i Haneczka ucieszyła się niezmiernie, że tak mało było znać owo nieszczęsne rozdarcie.

Ale, że to była dziewczynka roztropna, więc tak, dla pewności, zapytała:

— Gdybym potrzebowała kiedy kupić taki fartuszek, to gdzie go szukać?

— W każdym sklepie z ubraniami dziecinnemi.

— Aha, ale oni skąd to biorą?

— Oni sprowadzają z Łodzi.

— Z Łodzi? Mamusia żartuje, w Łodzi pływają ludzie po rzece.

— Ale to jest duże miasto, co się nazywa Łódź. Nie pamiętasz? Przecież panna Irena jeździ do swego wujka do Łodzi.

— Ach, prawda, prawda! Chciałabym tam być i zobaczyć, jak tam robią fartuszki.

— O, tam robią ogromną masę różnych materiałów z bawełny, wełny, jedwabiu. Ogromne to fabryczne miasto. Kto wie, czy nie będziesz tam, bo mówiono mi w biurze, że na Wszystkich Świętych trzeba będzie w interesie naszego kantoru tam jechać, to się i córeczkę zabierze ze sobą.

Haneczka ucieszyła się bardzo, a babcia ostrzegła:

— Żeby tylko nie było jakiego wypadku.

Szybko zbiegł wrzesień i październik, a 1-go listopada pani Pieniążek wyjechała z Haneczką do Łodzi. Przejechały przez Pruszków, Grodzisk, Żyrardów, Skierniewice, Koluszki i znalazły się w największym fabrycznem mieście całej Polski.

Haneczka była rozczarowana. Myślała, że tam będzie ładniej, niż w Warszawie, a tam było o wiele mniej ładnie. To tylko było dziwne, że gdzie spojrzeć, to kominy, kominy fabryczne, a z każdego ogromna chmura dymu czarnego, aż nad

całem miastem jeden wielki czarny obłok dymów zasłania niebo i słońce.

Na południe w tych wszystkich fabrykach rozległy się przeraźliwe świstki i ryk syren fabrycznych, znak rozejścia się na obiad, i wtedy z czerwonych bram fabrycznych wysypały się tłumy robotników, ale to tysiące tysięcy: mężczyźni, kobiety, dziewczęta, chłopcy, nieprzeliczone tłumy.

Nigdy jeszcze Haneczka nie widziała takiego tłumu robotników.

Gdy nadszedł wieczór, w oknach fabryk zabłysły jasne światła elektryczne i wtedy miasto wyglądało, jakby wszędzie były wielkie bale w olśniewająco oświetlonych salach.

Z biegu interesów okazało się, że pani Pieniążek musi jechać jeszcze i do innych miast fabrycznych w pobliżu Łodzi, bo to tam się zebrało dużo tych fabryk w całej okolicy.

Łódź to jest jak gdyby matka, a dookoła siedzą jej córeczki i synkowie, za przykładem mamy wyrabiający tkaniny bawełniane, wełniane i jedwabne.

Musiała Hanusina mama pojechać do Pabjanic, do Ozorkowa, do Zgierza, do Zduńskiej Woli, do Tomaszowa, słowem, objechały cały fabryczny okrąg Łódzki.

Haneczkę bardzo zaciekawiało, jaka to jest bawełna i skąd się bierze? To też gdy były w olbrzymiej, największej w całym okręgu, fabryce Szajblera, mama poprosiła jednego pana w biurze:

— Córeczka moja zaciekawiona jest, z czego zrobiony jej fartuszek? Czy nie byłby pan tak łaskaw objaśnić jej tę tajemnicę?

— Z największą chęcią — odparł uprzejmie pan z biura, poczem wyszedł do innego pokoju i po chwili wrócił z pudłem białej jak gdyby waty.

— Ot, z tego zrobiony jest fartuszek.

Haneczka spojrzała niedowierzająco: fartuszek czarny, a to białe, wata jakaś, pewno pan żartuje sobie. Ale pan mówił:

— To jest właśnie amerykańska bawełna. Plantują ją na południu Stanów Zjednoczonych. Zwykle murzyni zbierają bawełnę na plantacjach, a potem zwożą ją do miasta, co się nazywa Nowy Orlean. Stamtąd olbrzymie okręty wiozą bawełnę

przez ocean Atlantycki do Europy, najwięcej do Hamburga, a już z Hamburga wiozą ją kolejami do nas. W bawełnie są często jeszcze ziarenka krzewu bawełnianego, a czasem i inne zanieczyszczenia, więc trzeba ją najpierw oczyścić, a później wyciągają bawełnę na długie, długie nitki i tak powstaje przędza. Bawełna jest biała, ale można ją farbować na różne kolory, to też na fartuszki farbujemy ją na czarno. Następnie przędza idzie do tkalni, gdzie z niej już tkacze wyrabiają materiał. Gotowe materiały nasze wysyłamy nie tylko do Warszawy, ale i do Rosji, na Syberję, do Turkiestanu, wszędzie sprzedajemy nasz towar.

Podziękowała pani Pieniążek uprzejmemu panu. Wróciła Haneczka do Warszawy i opowiadała Mysze:

— Wiesz, nasze fartuszki rosły w Ameryce, zbierali je murzyni...

— To pewno dlatego są czarne? — przerwała Mysz.

— Nie, bo są farbowane. Płynęły okrętem przez ocean Atlantycki, były w Hamburgu.

— Mój Boże, żebyśmy to mogły tam kiedy być!

Haneczka westchnęła, a ta narwana z pierwszej klasy zaśpiewała obok ni w pięć, ni w dziewięć:

Wlaźł kotek na płotek
I mruga!

P Y T A N I A.

Z czego zrobiony był fartuszek Hanki? Skąd sprowadzamy bawełnę? W których miastach są fabryki wyrobów bawełnianych? Pokaż je. Dokąd płyną wody ze Zgierza, a dokąd z Łodzi? Dokąd wysyłają fabryki łódzkie wyroby swoje na sprzedaż? Kto z was był w Łodzi, lub widział gdzie indziej fabryki tkackie? Jakie materiały robią z wełny, jakie z bawełny, jakie z lnu, jakie z jedwabiu? Co to jest przemysł ludowy? Czy widział kto wełniaki i kilimy ludowe? Jaki materiał jest tańszy: fabryczny, czy ręczny? Który z nich jest trwalszy? Czy ciężka jest praca robotnika? Nacisk położyć na ciężką dół robotnika i budzić szacunek dla jego pracy.

20. Warszawa.

Skończyły się piękne, wesołe wakacje, a z całego kraju zjeżdżały się dzieci do stolicy do szkół.

Przyjechała też Zosia z Kłosowa na pensję, a w drodze poznała się z panią prezesową i jej dziećmi: Wandzią, Stasiem i Zbyszkiem.

Pani prezesowa bardzo była zadowolona z nowej znajomości, gdyż mogła opowiedzieć Zosinej mamie parę ciekawych historyj, a jak zaczęła jedno opowiadanie koło Siedlec, to pod Warszawą była ledwie w połowie.

Ale pociąg stanął już na stacji, zrobił się rwetes, biegania, krzyki i nawoływania. Mamy pogubiły dzieci, walizki, parasole. Dzieci szukały koszyczków, słoików, mam, słowem, istna wieża Babel była na stacji.

Wreszcie usadowiono się w dorożki: pani prezesowa ze Stasiem i Zbyszkiem w jedną, a pani Broniszowa z Zosią i Wandzią w drugą. Wandzia bardzo kochała Warszawę i chciała ją swojej nowej przyjaciółce pokazać.

Toczyły się dorożki po niezbyt dobrym bruku Pragi ku mostowi Kierbedzia, co łączył brzegi praski i warszawski.

Słońce zachodziło właśnie za mury Warszawy, niebo pokrywała czerwona zorza wieczorna, a na tem tle rysowały się sylwety murów i wież miasta na długiej, długiej przestrzeni od kopuły kościoła św. Aleksandra do czerwonej dzwonnicy Panny Marji na Nowem Mieście i dalej ku murom Cytadeli.

Złotawy obłok unosił się nad miastem, a purpurowa luna zachodu odbijała się krwawą smugą w majestatycznej wodzie królowej naszych wód, Wiśle.

Po tej powierzchni sunęły, rozbijając fale, duże parowce, oświetlone elektrycznością, szybkie rasowe łodzie Towarzystwa Wioślarskiego, czarne berlinki o białych wydętych żaglach, ruch i życie kipiało na rzece.

A przez rzekę trzy żelazne mosty ustawiono i na nich też gwar wrzał, gdyż sunęły się tramwaje pełne pasażerów, wolno wlokły się dorożki, pełne koszów, waliz, kufrów i dzieciarni, bo to wszystko dążyło do szkół, naturalnie dzieci, a nie walizy i kufry.

— Patrz, Zosiu—mówiła Wandzia do małej Broniszówny—ten duży gmach na prawo z dwiema wieżami, to Zamek królewski. Tu mieszkał król Zygmunt III i jego synowie, tu mieszkał Jan III Sobieski z królową Marysieńką, Sasi, Stanisław

August. Takie ci są tam wspaniałe sale: tronowa sala, rycerska sala, malinowa sala, cisowa sala.

— A te małe wieżyczki za Zamkiem to co to jest?

— To wieże katedry św. Jana, dalej wieża Pijarska, a tam...

Tu piękny wykład panny prezesówny został niespodzianie przerwany, bo dorożkarz zawadził osią o wóz z węglem i całe towarzystwo omal nie wysypało się na ziemię. Na szczęście, czy na nieszczęście spadł tylko koszyk i coś sobie musiał zrobić, bo popłynęła z niego krew.

Dorożkarz i węglarz powiedzieli sobie trochę uprzejmości, których nasze panie nawet nie zrozumiały, a Wandzia zawołała do pani Broniszowej:

— O, proszę pani, krew się leje z koszyka!

— Ach, moje dziecko, to przecież nie krew, lecz sok od malinowych konfitur, które Zosia tak lubi. Widocznie słoik pękł i oto wszystkie rzeczy powalają się sokiem.

Miała Wandzia powiedzieć Zosi ładny wiersz o Warszawie:

„Warszawa... Srebrna Wisły wstęga,
Mazurskich piasków zagon płowy...
A tam, by jakaś stara księga,
By jakiś herbarz narodowy,
W którym spisane: ból i sława,
Oprawne w kamień — to Warszawa!”

Ale ten krwawiący koszyk popsuł wszystko. Panie ze wsi były oszołomione gwarem, turkotem, hałasem stolicy. Tysiąc nowych rzeczy, tysiąc nowych wrażeń uderzało Zosię, a choć ona już była i w Krakowie, i we Lwowie, ale tamte są dużo mniejsze i ciche miasta. Była Zosia nawet i w Warszawie, ale była ona wtedy (Zosia, nie Warszawa) małym bakiem, więc pamiętała tylko, że gdzieś piła doskonałą czekoladę, a gdzieś indziej były wyborne lody.

Teraz już była Zosia trochę starszą dziewczynką i inaczej już patrzyła na rzeczy. Nie żeby miała pogardzić czekoladą lub obojętnie patrzeć na lody, broń Boże! Ale już rozumiała, że w takiej stolicy miały miejsce wielkie zdarzenia, że mieszkali tu wielcy ludzie, że tu najwięcej szkół, wystaw, odczytów, koncertów, teatrów, Bóg wie, czego tu niema.

Już zapłonęły na ulicach błękitne lampy elektryczne, po sklepach zabłyśły w olśniewającym świetle wystawy okienne, ulice roły się od spacerującego tłumu: życie, gwar, wesołość, radość. Zosia klaskała w dłonie.

— Matuchno, jak tu ślicznie, jak w zaczarowanym mieście.

— Naturalnie — mówiła Wandzia — ta Warszawa kochane miasteczko. Oj, Warszawo, ty Warszawo, serdeczna mateczko!

Umówiono się, że na drugi dzień pójdzie całe towarzystwo zwiedzać miasto, a Tadzik będzie przewodnikiem, bo on wszystko o Warszawie wie doskonale.

Nazajutrz Tadzik przyszedł i przed wyruszeniem opowiedział, że Warszawa nie jest najstarszem miastem Polski, że Kruszwica, Poznań, Gniezno, Kraków, Kalisz, Sandomierz i inne są od niej starsze. Że kiedyś była Warszawa ubogą wioską rybacką, a rozwinęła się na stolicę. Że najpierw była stolicą Księstwa Mazowieckiego, a dopiero później stolicą całej Polski. Że kiedyś cała była otoczona murami, a tylko bramy w murach prowadziły do miasta.

Ruszono na Stare Miasto. Pokazywał Tadzik miejsce, gdzie stała Krakowska brama, a przed nią kolumna króla Zygmunta, do dziś istniejąca. Poszli do katedry Święto-Jańskiej. Boże, co za prześliczny kościół! Jakie obrazy, jakie pomniki, jakie rzeźby!

Zobaczyła Zosia pomnik ostatnich Piastów Mazowieckich: Ks. Janusza i Stanisława, zobaczyła biały, marmurowy pomnik Stanisława Małachowskiego, gdzie napisane jest: „Przyjacielowi ludu”, bo on bardzo lud polski kochał i dla jego dobra pracował. Widziała Zosia pomnik Michała Poniatowskiego, brata króla Stanisława Augusta, i przekonała się, że portret ten nie est malowany, lecz układany z kamyczków, co się nazywa nozajką.

Z katedry poszli na Stare Miasto, gdzie Tadzik deklamował:

„Stare Miasto! Warszawy relikwjarzu święty,
Pleśnią wieków porosły, mgłą ich przysłonięty,
Zadumany, jak starzec wyniosły i krzepki
Co z miłością pogląda na wnucząt kolebki.

Tutaj na murach szczytów, kul moskiewskich rysy,
Tam zatarte tablice, tam stare napisy,
Wkrag pamiętki: spuścizna zmierzchłych wieków święta!"

Śliczny to był ten wiersz, długi, długi, a piękny. Pokazał im Tadzik kamienicę ks. mazowieckich, kamienicę Baryczków, dom Fukiera ze ślicznem podwórkiem i starymi pamiętkami.

Zosia tak była tem wszystkiem zachwycona, aż pociągnęła mamę za rękaw i spytała:

— Czy niema tu gdzie lodów?

Tadzik usłyszał to i rzekł:

— O, na lody pojedziemy do Łazienek.

Doszło całe towarzystwo do tramwaju i pojechało przez Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat w aleje Ujazdowskie, a potem zeszedli wszyscy do Łazienek.

Cisza, spokój, urok tu był czarowny. Wysmukłe kolumny królewskiego pałacu przeglądały się w wodach olbrzymich stawów. Za pałacem, za stawem wznosił się posąg Jana III, traktującego Turków, a po stawach płynęły białe łabędzie ku wyspom, pełnym drzew, krzewów i zieleni.

Niktby nie pomyślał nawet, że za tą cichą królewską siedzibą wre i kipi jedno z największych miast Europy.

Strudzeni podróżnicy zasiedli koło teatru w cukierni na lody, a zaraz też nadpłynęły łabędzie, które karmiono ciastkami.

Czasem jednak, zanim łabędź zdążył chwycić rzucony mu przysmak, uprzedzała go łakoma ryba i kawałek ciasteczka ginał w głębiach stawu.

Pani Broniszowej tak się podobała ta podróż po Warszawie, że pytała Tadzika, czy nie możnaby jeszcze czego zwiedzić. Tadzik chętnie służył paniom i zawiózł je na Powązki, by pokazać groby zasłużonych ludzi.

Na Powązkach było też cicho, ładnie, dużo zieleni, chociaż to jesień już warzyła liście. Byli na grobie Jachowicza, który był takim wielkim przyjacielem dzieci, byli na grobie Promyka, co elementarze dla dzieci pisał i tylu chłopów nauczył czytać, na grobie Moniuszki, co pieśni układał i opery pisał. Ale ktoby to nawet mógł spamiętać, ilu to zasłużonych

ludzi tam leży, a pomniki jakie śliczne! Jedne z białego marmuru, przywiezione z Włoch, inne z czarnego granitu wołyńskiego, inne z czerwonego wąchockiego piaskowca, a co jeden to piękniejszy.

Gdy powrócono do domu, Tadzik wziął Wandzię, Zosię, Stasia i Zbyska, zaprowadził do drugiego pokoju i zapytał:

— Podoba się wam Warszawa?

— Naturalnie, naturalnie!—wołały dzieci.

— Kochacie ją?

— Jeszcze jak, z całej duszy!

— Więc podajmy sobie wszyscy ręce, uściśnijmy je i powiedzmy sobie, że zawsze tę naszą drogą stolicę będziemy kochali.

— Zawsze tę naszą drogą stolicę będziemy kochali—chórem powtórzyły dzieci.

— Teraz więc należycie już do Stowarzyszenia „Przyjaciół Warszawy”. Musicie na każdym kroku czuwać nad swoim miastem; żeby było czyste, piękne, zdrowe i szczęśliwe. Czy przyrzekacie przez całe życie o to się starać?

— Przyrzekamy—rzekły uroczyście dzieci i uściśniły się za ręce na znak wspólnej pracy i wspólnych ideałów. Rozeszli się później, ale Stowarzyszenie „Przyjaciół Warszawy” już było związane i trwa do dziś dnia.

P Y T A N I A

Dlaczego Warszawa została stolicą Polski? Która część miasta jest najstarszą? Kto jest pochowany w katedrze? Gdzie się odbywały sejmy? Wylicz rezydencje królewskie w Warszawie i okolicy. Wylicz pomniki warszawskie, ogrody, parki i place. W jaki sposób dawniej przeprawiano się na Pragę? Dlaczego jedna połać rynku zwie się „stroną Dekerta”, a druga „stroną Kołłątaja”? Kto wybudował pałac Łazienkowski? Narysuj dwa łuki Wisły, ich cięciwy i oznacz na ich przecięciu Warszawę. Wylicz dawne wioski i miasteczka dziś już leżące w obrębie miasta. Gdzie były elekcje królów? Silny nacisk na stołeczny charakter miasta, konstytucję majową, ruchy listopadowy i styczniowy, a obecnie rezydencjonalny, sejmowy i rządowy.

21. K r a k ó w.

Służyła Marysia już piętnaście lat u państwa Kasińskich. Raz na rok jeździła odwiedzić swoją rodzinę w Makowie, ale wracała rychło do Warszawy, twierdziła bowiem, że tam sobie bez niej rady nie dadzą, a dzieci zupełnie się rozpuszczą.

Państwo Kasińscy mieli dwoje dzieci: Tadzika, co już przeszedł do czwartej klasy, i Jadźkę z drugiej klasy. Dzieci były bardzo dobre, posłuszne, chętne do roboty, słowem, miłe, pocciwe baki, ale Marysia uważała, że to jeszcze nie dosyć, że powinny one być dużo lepsze, a pani nie umie chować dzieci, bo ich ani nie bije, ani nie krzyczy na nie.

Marysi w Makowie zawsze wykładano: że bez różgi dziecko się nie wychowa, a za uszy trzeba je porządnie targać. Ponieważ jednak pani Kasińska nie pozwoliłaby na uderzenie dziecka nawet Marysi, chociaż była ona uważana nie jako służąca, lecz jak prawdziwa przyjaciółka rodziny, pozostawało więc tylko gderanie na dzieci i tu sobie Marysia używała.

Dzieci niezmiernie kochały „swoją Marysię”, chociaż ta nie szczędziła im ciągłych morałów, czasem słusznych, a czasem i nie, ale że to ona je od poduszki wychowywała, że uważała je za swoje własne, że kochała je i była pełną poświęcenia dla nich, przeto stosunki były bardzo przyjazne, a Marysia była członkiem rodziny.

Gdzie wyjeżdżała rodzina państwa Kasińskich, wyjeżdżała z nią i Marysia.

Wielki był gwałt, a radość niezmierna, gdy pewnego razu pan Kasiński rzekł po powrocie z biura:

— Na Zielone Świątki pojedziecie do Krakowa.

Pani klasnęła w ręce, Tadzik otworzył usta, a Jadźka pobiegła do kuchni zwiastować tę nowinę Marysi. Pędząc, jak bomba, wyrwała Jadźka krzesło, nabiła sobie guza o szafę, a Marysi wytrąciła z rąk łyżkę od kartoflanych klusek, które Marysia robiła artystycznie.

— Wynoś się ze swoim Krakowem, łyżkę mi wytrąciłaś — narzekała Marysia.

Wpadł teraz i Tadzik, wołając:

— Marysiu, Marysiu! Kraków! Kraków! Zobacz Marysia, co to za cudo!

— Cóż mi tam wasz Kraków, nie podoba mi się ten wasz Kraków!... la Boga! kluski kipią, a oni mi zwracają głowę Krakowem! Wynośta się! Nie chcę ja nawet widzieć waszego Krakowa, jak mi kluski wykipiały.

Pobiegły dzieci do jadalnego pokoju, jak para ptaków wesołych, ale Marysia chodziła już tego dnia obrażona i chmurna, a na Kraków bardzo zła.

To też w drodze do Krakowa pani Kasińska była bardzo zadowolona, dzieciaki uszczęśliwione, a Marysia, co była bardzo pobożną, odmawiała koronkę, strofując ciągle:

— Nie wyglądajta, nie kręćta się, Tadius, bo ci co wpadnie w oko, Jadzia, bo ci wiaterek porwie kapelusz.

Słowem, dla Marysi wycieczka do Krakowa była źródłem zmartwień i kłopotów. Marysia była chmurna i nadąsana. Czasem mruczała sobie pod nosem: „Kraków, Kraków, a tu kluski lecą z garnka”.

Jadźka, że to umiała się swojej niani przypodchlebić, zaczęła Marysię uspokajać i pieścić. Marysia, nadąsana, mówiła jej: „Idź, idź sobie, nie kocham cię”, i gładziła jej włosy, poprawiała sukienkę i wyciągała z koszyka miętówki dla swojej faworytki.

— Marysia jest na Kraków zła, a zobaczy, jakie to śliczne miasto. No, założmy się, że Marysi Kraków się spodoba.

— Et, co mi się ta ma spodobać. Miasto, jak miasto, i koniec.

— Ho, ho! Nie takie to sobie byle jakie miasto: stolica królewska.

— Lecz coż ta z tego, kiej tych królów już niema.

— Ale może będą — wtrącił Tadzik.

— Nie gadaj głupstw, krawat ci się skrzywił, ubranie se otrzep, będą króle, a juści.

— No, jeżeli Marysi Kraków się spodoba, to ja wygrałam zakład, a Marysia kupi mi pudełeczko miętówek. A jeżeli się nie spodoba, to ja przegrałam i kupię Marysi obrazek ze świętą Jadwigą. Dobrze?

— Dobrze, dobrze, nie garb się, przygniotłaś zupełnie sukienkę, o widzisz? La Boga! z temi dziećmi!

— No, Tadzik, przecinaj nasz zakład.

I zakład stanął.

Przyjazd do Krakowa zgniewał Marysię ostatecznie, bo pani kazała wziąć rzeczy numerowemu, a Marysia chciała sama je nieść, a przytem na stacji był gwałt i harmider, bo na Zielone Świątki pełno tu zjeżdża wycieczek z całej Polski.

Na drugi dzień rano nasze towarzystwo z Sosnowej ulicy raniutko już wyszło, bo Marysia chciała iść do kościoła, ale wyrażała wątpliwość, czy aby w takim mieście jest porządny kościół.

Naśmiali się z Marysi, że przecież tu jest czterdzieści kościołów, więc się trochę udobruchała.

Gdy wyszli na piękny Rynek Krakowski, gdzie pośrodku stoi śliczny gmach: Sukiennice, Marysia prosto skierowała się w stronę Marjackiego kościoła, a wtem z wieży kościelnej zabrzmiał śpiewny, uroczysty hejnał, brzącający, jak muzyka niebiańska. Marysia przystanęła i słuchała. Wziąwszy potem dzieciaki za ręce, weszła do tej przepięknej świątyni Marjackiej i padła na kolana przed tym cudnym ołtarzem, gdzie czterdzieści parę figur wyrzeźbił w drzewie Wit Stwosz, sławny rzeźbiarz krakowski.

Marysia modliła się żarliwie i gorąco, a potem rozejrzała się po kościele, zdumiona jego pięknością. Wyszli potem, stanęli pod pomnikiem Adama Mickiewicza, oglądając kościół Marjacki.

Ktoś z obecnych mówił drugiemu:

„Patrz! Marjacka wieża stoi,
Dla miasta strażnica,
Na jej widok myśl się korzy,
A dusza zachwyca!”

— Słyszysz Marysia?

— Co nie mam słyszeć?

Koło pomnika zaczęli gromadzić się goście, co zjechali do Krakowa na Zielone Świątki. Przyszli akademicy z Jagiel-

łońskiego uniwersytetu i ustawiali grupy po 30 osób, a każdą grupę brał jeden przewodnik i prowadził na zwiedzanie miasta.

Ruszyła grupa przez planty w stronę Wawelu, a w grupie było dwóch górali z Zakopanego, trzy kobiety śląskie ze wsi Wisła, było paru panów z Poznania, paru ze Lwowa, jedna pani, co wróciła z Syberji, była rodzina z Wilna, trzech chłopów łowickich, paru Kurpiów, słowem, cała Polska.

Byli już blisko Wawelu, gdy przedziwny dźwięk dzwonu zabrzmiał w powietrzu.

— To dzisiaj dzwonią w wielki dzwon Zygmuntowski — objaśniał akademik.

Grupa przystanęła, słuchając jak gdyby niebieskiej jakiejś melodji, a to brzmiał największy i najwspanialszy w całej Polsce dzwon: Zygmunt.

Cienistą aleją doszli do stóp wysokiego wzgórza, uwiecznzonego koroną murów i wież. To było wzgórze Wawelu, a na niem zamek królów polskich.

Rzadko gdzie na świecie znaleźć można taki majestat i wspaniałość, jakie ma to królewskie zameczysko. Marysia jednak jeszcze była chmurna.

Gdy jednak weszła nasza grupa do wnętrza wspaniałej katedry, gdzie pośrodku stoi ołtarz z trumną św. Stanisława, gdy stanęli w prawej kaplicy, gdzie znajduje się precudny marmurowy pomnik króla Kazimierza Jagiellończyka w niesłychanym królewskim majestacie, Marysia zanosła się płaczem i, wołając:

— Król! Polski król, najjaśniejszy król! — upadła Marysia na kolana przed majestatem królewskim, pociągnęła za sobą dzieci, a za ich przykładem poszła cała grupa: i ci od Wilna, Poznania i Lwowa, i ci od gór śniegiem pokrytych, i ci od mazowieckich równin. Pani, co wróciła z Syberji, objęła Marysię za szyję, a głowę oparła na jej ramieniu, płacząc z zachwyty.

I był moment jakby upojenia i czaru, i zdawało się, że królewskie marmurowe usta poruszają się miłościwemi słowy, a ręka, złożywszy berło monarsze, gładzi płowe główki Tadzika i Jadzi.

Ruszono potem do innych kaplic i pomników. Pokazał akademik prześliczną kaplicę Zygmuntowską, która w podziw wprawia przybyszów z całego świata, zatrzymano się przed pomnikami Kazimierza Wielkiego, króla chłopków, przed białym pomnikiem królowej Jadwigi, tak delikatnym i subtelnym, że prawie prześwieca lekko przezroczysta postać królowej. Stali przed pomnikiem Łokietka, Warneńczyka, Władysława Jagiełły. Obejrzelі pomniki: Batorego, Sobieskiego i Michała Korybuta.

Zeszli później do krypty św. Leonarda, gdzie stoją trumny królów i bohaterów. Stanęli przed skromnym sarkofagiem, gdzie był napis: „Tadeusz Kościuszko”, a blisko drugi: „Józef Poniatowski”. Byli też w krypcie, gdzie pochowano zwłoki Mickiewicza.

Oglądano później dziedzińce zamkowe, a z Wawelu ruszono na Skałkę. Tam zwiedzała nasza grupa kryptę zasłużonych Polaków z grobowcami: Kraszewskiego, Pola, Wyspiańskiego, Długosza i innych.

Wrócono do śródmieścia. W Muzeum Narodowym podziwiała Marysia i dzieci olbrzymie obrazy Jana Matejki: Hołd pruski i Racławice, Siemiradzkiego: Męczeństwo chrześcijan i tyle, tyle innych.

Oglądano potem Bibliotekę Jagiellońską z pomnikiem Kopernika, który tu, jako młody chłopiec, uczył się w Akademii.

Po południu Marysia zdumiona oglądała zachwycające witraże u franciszkanów, a potem pojechali wszyscy na kopiec Kościuszki, usypany przez naród ku pamięci ukochanego bohatera.

— To jest prawdziwie polskie miasto — orzekła Marysia, gdy już wracano do Warszawy, a Tadzik mówił jej wiersz Ujejskiego:

„Nasz Kraków, to jak namiot wodza wśród obozu,
To jak ołtarz ofiarny w ojczyzny świątyni,
Skąd płyną do nas hasła, rozkazy i siły,
Gdzie każdy swoje śluby narodowe czyni”.

Wróciły dzieci do Warszawy. Marysia wszystkim koleżankom i stróżce dziwy opowiadała o Krakowie, jakie tam cudne widziała rzeczy, a gdy Jadźka obudziła się rano na drugi dzień, zobaczyła przy łóżeczku duże pudełko miętówek: to Marysia przegrała zakład.

Opowiedz legendy o Krakowie. Opowiedz zdarzenia na Skałce. Co jest najpiękniejszego w Krakowie? Opisz kościół Marjacki. Gdzie leżą prochy królów i bohaterów? Kogo pochowano obok królów na Wawelu? Czyj jest najpiękniejszy grobowiec i kto go robił? Na czyją cześć usypano kopiec pod Krakowem? Czyj pomnik stoi na dziedzińcu biblioteki? Czy lud krakowski jest dzielny i pogodny? Kto z was był w Krakowie? Co się najwięcej podobało? Czy słyszał kto Zygmunta? Kto widział obrazy Matejki? Kto rzeźbił ołtarz Marjacki? Silny nacisk na świadectwo potęgi i majestatu Polski w pamiątkach Krakowa.

22. Poznań i Lwów.

Z wielkich miast polskich najbardziej ku zachodowi wysunięty jest Poznań, a najdalej na wschód wybiegł Lwów.

Dwa te skrajne stołeczne grody, to jakby dwa bieguny, dwa krańce ziemi naszej. Na zachód od Poznania już ciągną się ziemie, zajęte przez Niemców, a na wschód od Lwowa siedzą już Rusini.

Miał Poznań swoje świetne stołeczne karty w przeszłości, ma Lwów świetną przed sobą przyszłość.

Któremu z tych miast przyznać prawo pierwszeństwa, któremu przyznać wyższość i większe dostojęństwo?

Takie były namysły w domu pani Orłowskiej, gdy zjechali się do niej krewni z Poznania i ze Lwowa, tocząc spór o wyższość swoich miast.

— Nasz Poznań istnieje już przeszło tysiąc lat — mówił elegancki, szykowny Jurek Orłowski — był on już stolicą za pierwszych Piastów.

— To prawda — odpowiedziała Marysia Doliwko, co była w szkołach we Lwowie — ale Lwów już też istnieje od 1250 roku, czyli... czyli... czyli..., ileż to może być już lat temu?

Marysia w rachunkach nigdy nie była biegłą, to też nie mogła obliczyć wieku Lwowa. Sprytny więc Jurek szybko odpowiedział:

— Trzy tysiące sześćset osiemdziesiąt dwa.

— A widzisz, trzy tysiące sześćset...

Tu wszyscy zaczęli się śmiać z Marysi, a wreszcie i ona sama też, że dała się złapać na figiel Jurka.

— Nasz Lwów liczy 200,000 ludności, a wiele ma jej Poznań?

— Poznań ma jej tylko 180,000, jest więc trochę mniej-
szy, ale przecież we Lwowie mieszka dużo Rusinów i Żydów.

— No, tak, Żydów to i u was nie brak, a zamiast Rusi-
nów, to macie w Poznaniu Niemców.

— Wysłuchaj tylko, Marysiu, historii Poznania, to zaraz
przyznasz mi zupełną rację: przy zbiegu rzeczek Cybiny, Główny,
Bogdanki i Wierzbaka do Warty, w zamierzchłych cza-
sach już stało odwieczne grodzisko, bronione przez wody i ba-
gna. Grodzisko to stało się stolicą Wielkopolski i całej Polski.

Życie Polan z nad Gopła i Kruszwicy przeniosło się tutaj,
a pierwsi nasi Piastowie: Mieczysław I i syn jego Bolesław
Chrobry, tutaj rezydowali i tu zmarli.

W roku 1253 Przemysław I założył tu nowe miasto na
lewym brzegu Warty...

— Lwów założony o trzy lata wcześniej — zauważyła
Marysia.

— Nie przerywaj! Dokoła miasta król Kazimierz Wielki
pobudować kazał potężne mury i bramy.

— I lwowskie mury i bramy kazał budować Kazimierz
Wielki—wtrąciła Marysia.

— Nie dziwnego—mówiła pani Orłowska—król Kazimierz
prawie wszystkie miasta nasze opasał murami, to też mówią
o nim: że zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. Sta-
rzy też kronikarze nazywają ostatniego Piastę „wielkim bu-
downikiem”.

— Poznań — ciągnął dalej elegancki Jurek—stojąc u za-
chodniej krawędzi państwa, wzbogacał się na handlu i rzemio-
słach. O zamożności mieszkańców świadczy opis dawny, że:
za ubogiego był poczytywany rzemieślnik, albo inny mieszka-
niec Poznania, któryby nie miał łyżek, kubków, mis i innych
sprzętów srebrnych, którego żona nie posiadałaby przynaj-
mniej jednego czepka, wyszywanego perłami. Łańcuchy złote,
kamienie drogie, pasy lite, kosztowne futra i złotogłowy sta-
nowiły odświętny ubiór poznańskich mieszczan i mieszczek.

Tu Jurek zrobił tak dumną minę, jak gdyby sam odziany
był w złotogłów i przepasany litym pasem.

— A cóż ty sobie myślisz—zawołała Marysia Doliwko— że o naszym Lwowie starzy kronikarze nic nie mają do powiedzenia? Oto co piszą: „były we Lwowie wielkie hurtowne składy wszelkich możliwych towarów, olbrzymie piwnice, pełne win greckich, wołoskich, węgierskich, włoskich. Bogate sklepy, obfitujące w najkosztowniejsze i najrzadsze przedmioty zbytku. Poczucie piękna, upodobanie w sztuce, zamiłowanie do książek przebijają w urządzeniu komnat mieszczkańskich, skarbców rodzinnych”. Widzisz więc, że nie ustępowali wcale mieszczenie lwowscy twoim poznańskim.

— To prawda, lecz naszym dobrobytem wstrząsnęła wojna szwedzka. W 1655 r. Poznań musiał zapłacić 600,000 złotych kontrybucji Szwedom.

— A Lwów w 1648 r. przez dwa tygodnie oblegał Bohdan Chmielnicki i Tuhaj-Bej z Kozakami i Tatarami.

— Biedny Lwów! Żał mi go. Nasz Poznań w 1793 r. dostał się Prusakom.

— Nie lepiej było we Lwowie, bo już w 1772 r. weszły tam wojska austriackie.

— No, widzicie, o cóż się tu sprzeczać — wtrąciła pani Orłowska—całe dzieje obu stolic są bardzo podobne: starodawność, bogactwo, potęga, a potem chwilowy upadek. Lepiej tedy pogodzić się i nie sprzeczać, natomiast Jurek niech opowie Marysi, co jest godnego widzenia w Poznaniu, a ona mu opowie o osobliwościach Lwowa. Czy zgoda?

— Zgoda, zgoda! — zawołały dzieci, a Jurek zaczął:

— Najpiękniejszą jest u nas katedra, a w niej Złota Kaplica, czyli kaplica królewska. Piękna mozaika jest tam w wielkim ołtarzu, a we wspianiałej niszy stoją złociste posągi królewskie. Jeden król, w długiej, powłóczystej szacie, trzyma w ręku wysoki krzyż i wskazuje ręką na to godło Zbawienia, to jest...

— Mieczysław Pierwszy — zawołała Marysia.

— Tak jest, a obok niego stoi w rycerską zbroję odziany syn jego. Ręce bohaterskiego króla spoczęły na głowicy potężnego miecza, którym uderzał w złotą bramę Kijowa. Ten król to Bolesław Chrobry, a ten miecz to...

— Szczerbiec — dokończyła Marysia.

— Właśnie. Takie to pamiątki przechowuje złota kaplica królewska.

— A co tam macie jeszcze ciekawego?

— Zobacz nasz stary ratusz, stojący już 400 lat, a budowany przez włoskich mistrzów: budowla to lekka, zgrabna, z wysoką wieżą, a na jej szczycie buja orzeł biały. Zobacz nasz gmach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jakie tam zbiory bogate, jakie muzeum, ile osobliwości. Nie znudzisz się w Poznaniu przez długi czas, tyle znaleźć można rzeczy ciekawych i pouczających.

Skończył elegancki Jurek Orłowski swój opis Poznania. Marysia siedziała przez chwilę zadumana, a potem zaczęła mówić o Lwowie:

— Na rynku lwowskim tron ustawiono. Zasiadł na tronie król Władysław Jagiełło w majestacie monarszym, a przed nim kornie schylali kolana gospodarowie wołoscy, składając hołd i przysięgę na wierność Polsce. Kamień węgielny pod katedrę naszą kładł Kazimierz Wielki, a przez wieki była ona zdobioną przez wiernych.

A w katedrze lwowskiej dziwny był pewien dzień, dzień 1 kwietnia 1656 r. Była to słoneczna, chłodna sobota. Był we Lwowie wtedy król Jan Kazimierz z małżonką swą, królową Marią Ludwiką, był nuncjusz papieski, kardynał z Rzymu, byli arcybiskupi gnieźnieński i lwowski, były wspaniałe orszaki hetmanów, wojewodów, kasztelanów, był kanclerz wielki koronny, słowem, cały dwór monarszy.

Zahuczał organ. Dymy kadzideł przysłaniały płonący jarzącym światłem ołtarz, a król padł krzyżem przed ołtarzem, modląc się w zachwyceniu. Potem przyjął Komunię świętą, a następnie złożył przysięgę, że wszelkich użyje środków, aby lud od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków był uwolniony.

Wielki płacz rzewny rozległ się w całym kościele na te śluby Jana Kazimierza, upokorzonego klęskami, jakie przez siedem lat na kraj nasz spadały.

— Rzeczywiście, musiał to być wzruszający widok tego królewskiego zmartwienia — westchnął Jurek — ale cóż Lwów jeszcze posiada interesującego?

— Na wysokiem wzgórzu dźwiga swe mury wspaniała katedra unicka św. Jura, pełna pięknych rzeźb i obrazów. Jest też katedra ormiańska, jest cerkiew wołoska i wiele innych świątyń chrześcijańskich.

— U nas też kościołów jest mnóstwo.

— A u nas, we Lwowie, jest gmach sejmowy, gdzie zasiadają posłowie i radzą nad sprawami kraju. Jest u nas uniwersytet i politechnika, a w Poznaniu ani uniwersytetu, ani politechniki niema.

— To prawda, że niema. Ale my mamy piękne pomniki: Jana Kochanowskiego, Adama Mickiewicza...

— Pomnik Adama Mickiewicza to i my mamy we Lwowie, a mamy też Sobieskiego na koniu i mamy kopiec Unji Lubelskiej.

— Poznań ma ładne ogrody...

— Lwów ma prześliczne parki, a w parku pomnik Jana Kilińskiego.

Pojedynek o honor dwu miast polskich zaognił się. Każde z dzieci pragnęło zwyciężyć: już o miastach zaprzestano mówić, przeniesiono się w okolicę. Tu Jurek Orłowski był w kłopotcie, bo to okolice Poznania nie są zbyt malownicze, mówił jednak:

— U nas co niedzielę i święto tłumy wycieczkowiczów jadą do Dębiny lub do Rogalina, gdzie leży piękne jezioro Górka w uroczem położeniu.

— Eh, żebyś ty zobaczył nasze okolice! Janów wśród wzgórz, pokrytych lasami, Lubień, gdzie są siarczane źródła, a nasze kochane Brzechowice, gdzie co niedzielę gromadzą się tysiące, tysiące Lwowian.

— To wszystko może jest i piękne, ale ja cię zwyciężę jedną wiadomością: oto z Poznania jest zaledwie godzina drogi do Gniezna. Najstarsza to po Kruszwicy stolica nasza, na siedmiu pagórkach zbudowana. Na jednym wzgórzu wznosi się archikatedra, a pośrodku tego pięknego gmachu w srebrnej trumnie leżą zwłoki św. Wojciecha, apostoła Polski. Tutaj też pochowano Dąbrówkę, żonę Mieszka. A skarbów, rzeźb, obrazów, pomników takie tu mnóstwo, że nasza katedra gnieźnieńska to istny skarbiec i muzeum.

Zamilkła Marysia, a pani Orłowska rzekła:

— Moje dzieci, nie macie się o co sprzeczać, piękny jest Poznań i piękny jest Lwów. Tak tu, jak tam ma co podziwiać każdy Polak, bo wszystko to są drogie dlań pamiątki. Jak brat brata kocha serdeczną miłością, tak też i oba te miasta po bratersku są sobie równe, a dla nas jednako drogie. Poznań wypędził Niemców, Lwów wydarł się Rusinom.

Jurek i Marysia podali sobie ręce i rzekli razem:

— Kochamy Poznań i kochamy Lwów.

Powtórzcie to samo wszyscy razem.

P Y T A N I A.

W którą stronę z Warszawy jedziesz do Poznania, a w którą do Lwowa? Które z tych miast posiada więcej ludności? Kto opasał murami Poznań i Lwów? Kto pochowany jest w Złotej Kaplicy katedry poznańskiej? Czyje pomniki stoją w Poznaniu? Wylicz pomniki Lwowa. Kto z was był w Poznaniu? Opowiedz, co tam jest do widzenia. Kto był we Lwowie? Co mu się tam podobało? Czy wody poznańskie płyną do Wisły? Na jakim dziale wodnym stoi Lwów? Jakie oblężenia przechodził Poznań, jakie Lwów? Ku jakiemu morzu prowadzi droga na Poznań, a ku jakiemu na Lwów? Kto składał śluby w katedrze lwowskiej i jakie? Podkreślić wielką rozciągłość Polski z zachodu na wschód. Nacisk na znaczenie Lwowa, jako ogniska kultury na wschodzie. Wiadomości o obronie Lwowa przez młodzież i dzieci.

23. G ó r a l e.

Kazio, Stachurek i Wandzia pojechali z mamą do Zakopanego na całe lato. Radość to była niesłychana, gdy pociąg ruszył już z wiedeńskiego dworca i szybko popędził ku południowi, a że był to pociąg pośpieszny, więc nie stawał ani w Pruszkowie, ani w Grodzisku, ani w Żyrardowie, lecz dopiero w Skierniewicach.

Tu dzieci z apetytem zjadły truskawek, które roznosili chłopcy z bufetu po wagonach, ale niedługo było tu czekania: pociąg ruszył, parowóz sapał, stękał, dźwigał się pod górę ku Płyćwi, stanął w Koluszkach, gdzie przybyło wielu pasażerów z Łodzi, stanął w Piotrkowie, Częstochowie, Ząbkowicach, Granicy, Trzebini, aż oto już i Kraków."

Pani doktorowa w Krakowie zatrzymała się parę dni, miała bowiem cześć i wielką miłość dla tej starej jagiellońskiej stolicy. Dzieci były na Wawelu, i na Skałce, i na kopcu Kościuszki. Zrobiły wycieczkę do Bielan, skąd już widziały siną linję Tatr, a dzieci były zachwycone pięknnością krajobrazu, jaki rozciągał się przed ich oczyma.

Z wielką niecierpliwością oczekiwały gór, a Stachurek, który był bardzo niecierpliwy, tupał nogami, wołając:

— Ach, kiedyż nareszcie będą te góry?

— Mamo, on się napiera — mówiła wtedy Wandzia, bo przecież wiedziała, jak smutne były losy Adelci, której imieniczka napierała się pierniczka.

W jasny, pogodny ranek lipcowy zamęt i chaos panowały na krakowskim dworcu: moc ludzi, dzieciarni, tobołków i tłumoczków; skrzypią wózki, do wysokości piętra naładowane kuframi, słychać nawoływania posługaczów, krzyki dzieciarni, gwizd parowozu, wołanie konduktorów, roznosicieli gazet i wody, słowem, istny koniec świata.

Są też i nasi znajomi: Kazio dźwiga jakąś ciężką torbę, Wandzia pęk parasolek i koszyczek z jedzeniem, pani doktorowa, obciążona do niemożliwości, biega od wagonu do wagonu, nie mogąc znaleźć miejsca. Na dobitkę nieszczęścia Stachurek zginął... W takim gwałcie i tartasie zawieruszył się bąk nie wiadomo gdzie.

Ulokowała pani doktorowa dwójkę swoich dzieci i pobiegła szukać zguby. Biegnie w tę, biegnie w tamtą stronę... nie... Woła: „Stachurek! Stachurek!”, ale głos ginie w tumultcie, a Stachurka niema...

Zrozpaczona matka nie wie, co ma zrobić dalej, naraz chwytą ją ktoś za rękę, witając:

— Moje uszanowanie kochanej pani! Zapewne poszukuje pani tego skarbu?

To mówiąc, pan profesor, stary i dawny przyjaciel ich rodziny, oddaje pod opiekę matki malca, mówiąc: — zapatrzył się Stachurek na góry, malowane na ogłoszeniach kolejowych, i tam go spostrzegłem. Jedziemy razem.

Wpadli wszyscy do wagonu, gdzie Wandzia, która zawsze mawiała, że niecierpi brata, beczła teraz zrozpaczona, powta-

rzając: „o mój Stachureczek, mój braciszek najukochańszy”, gdy zaś go z mamą spostrzegła, zaraz zmieniła ton, mówiąc: „idź, ty niegodziwy chłopcze, nie kocham cię wcale i nie odzywaj się do mnie nawet”.

Nareszcie pociąg ruszył, ciągnąc pod górę setki podróżnych, co rwali się do Zakopanego. Minęli uroczą położoną Kalwarię Zebrzydowską, dotarli do Chabówki, Stachurek kręcił się i pytał:

— Ach jej, jej, gdzież te góry?

— Mamo, on znowu! — wołała Wandzia, i tak jechali dalej. W Chabówce jednak już wsiadło kilku górali, a dzieci nie mogły się im napatrzeć.

Stachurek zaprzyjaźnił się z dwoma góralami i pytał:

— Czy daleko jeszcze do Zakopanego?

— Nie prec, nie prec! — uspokajali gazdowie.

Tymczasem gór jak nie widać, tak nie widać. Młody juhas pośpiewywał sobie:

„Oj, górol ci jo, górol,
Da od samiuśkich Tater,
Oj, ukapoł me descyk,
Da ukołysoł wiater”.

Naraz pan profesor, siedzący ciągle w oknie, zaczął mówić:

„Dzikie, zębate wirchy strzelają w niebiosa,
Niby olbrzymie maszty wszechświatowej nawy;
W dali w przepaść zagłada limba ciemnowłosa,
Wsluchana w szum huczącej, jak burza, siklawy”.

Rzucono się do okien oglądać widok siniejących gór, widok jedyny w świecie, widok niezapomniany do śmierci, kto raz go widział.

Ale tłok przy oknach był wielki, dzieciom było niewygodnie, więc Stachurek wołał gawędzić z góralami. Zobaczył, że wszyscy pykają fajeczki, więc zapytał, czy to każdy góral pali fajkę.

— Wiadomo — odparł uśmiechnięty gazda.

„Ojciec góról i jo góról,
Ojciec umor, a jo ostoł
I po ojcu fajkę dostał”.

I śmiali się gazdowie dobrotliwie, a grzecznie i z wielką powagą.

W Poroninie wsiadł do wagonu mały góralczyk, śliczny, jak malowanie, w cyfrowanych porteczkach, białej koszulce, białej, wyszywanej guńce i okrągłym, czarnym kapeluszu.

Zaraz i Stachurek znalazł się w kurytarzu, patrząc z zachwytem na góralczyka, ale nie wiedział, jak zacząć rozmowę. Aż góralczyk rzecze doń:

— Tobie jak?

— Stachurek, a tobie?

— Jędrus Gąsienica.

— Gąsienica?

— Jakzeby inacy? My som pirse gazdowie na hrubem gazdostwie. Dziedziny moma dość, dwa kierdele owiec, hej!

Stachurek nie wszystko rozumiał, bo górale zachowali jeszcze dawną mowę staropolską, jaką mówiono u nas kilka wieków temu.

— Kaz pódzies?—pytał Jędrus Gąsienica.

— Mama wynajęła mieszkanie na Bystrem.

— To nie prec od moich. Przyńdź ku mnie, kiej mas wolom. Me wołają Jędreka, pise sie Gąsienica, nazywam sie Krzeptowski, a mówi sie: z podedrogi.

— Czy ja cię aby znajdę?

— Me znajom i wszystkie górale i wszystkie ludzie dólskie.

— Stachurek! Stachurek! — rozległo się wołanie pani doktorowej, i Stachurek musiał pożegnać swego nowego przyjaciela.

Na dworcu w Zakopanem też był hałas niemały.

— Okrutny mąt konają—zauważył jakiś stary góról.

Okrytą płótnem furką pojechały dzieci na Bystre, gdzie było zaiste tak pięknie, że Stachurek oświadczył, iż nigdy, nigdy już stąd nie wyjedzie.

Profesor, słysząc to, rzekł do niego:

— Nie dziwię ci się wcale, wszak piosenka stara mówi:

„Kto raz się wdarł na szczyty
I czołem dotknął chmur,
Tęn wiecznie tęsknić będzie
Do niebotycznych gór”.

Na drugi dzień rano Stachurek nie dopił śniadania i już biegł do swego małego przyjaciela. Jędrusia znano w Zakopanem, bo ojciec jego był bogatym gazdą, więc łatwo było znaleźć jego chatę.

Zobaczył gościa Jędrus oknem. Wybiegł wesoły na powitanie i wprowadził Stachurka do izby. A izba była czyściutka z heblowanego drzewa, a każdy sprzęt rzeźbiony w prześliczne desenie. W rodzinie Gąsieniców ludzie bywali zdolni: Klemens Gąsienica był pierwszy na całe Tatry „polować”, brat jego, Wawrek, chodził „na zbój”, szukał „srybła” w beczkach węgierskich panów, „wiele było honornych chłopów pomiędzy Gąsienicami, ale syćka ony ku Janosikowi to ta nie płacili”, mawiali inni gazdowie.

Na sprzętach Gąsienicowej izby rzeźbione były ozdoby, a wszystkie one miały swoje dziwne nazwy: pieski, obitka, parzenica, jamki, skiby, gadziki, gaje, kłósko i tyle innych, których uczył się Stachurek od Jędrka.

Wyszli z izby przed chatę, a stary Gąsienica pokazywał Stachurkowi, że na szczycie domu jest znak wschodzącego słońca, a dach kończy się pazdurem. Stare drzwi nazywał góral „dźwirze”. Objął też Jędrus, jak się nazywają części jego ubrania: „portki ma cyfrowane”, na udzie wyszyta „parzenica”, na szwie „gadzik”, a kończy się „mirwą”. Na plecy zarzuca „guńkę”, „chł...” „...”, które też są wyszywane ozdobnie. Pod pachę idzie serdak, haftowany w „leluje”; na nogach ma Jędrak „kierbce” z złotej skóry, na głowie kapelusz z muszelkami, a gdy jest silna „dujawica”, czyli wiatr, kapelusz pod brodą utrzymuje „zawadło”.

Jędrusiowa matka pokazywała Stachurkowi stroje po babce, starej gąździnie, mówiąc, że „drzewiej” kobiety się pięknie ubierały.

Po paru dniach, gdy pani doktorowa poznała już dobrze Jędrusa i jego starszego brata, Walka, pozwoliła swoim chłopcom iść z góralami na halę, gdzie pasły się owce.

Szli chłopcy przez gęste regle, gdzie było prawie ciemno od gęstwiny leśnej, aż wyszli na zalaną słońcem polanę; tu na zieleni łąk bieleły się gromadki owiec, zającących smaczną trawkę.

— To naszego ujka hala — mówił Jędrus.

Ze szczekaniem wybiegły naprzeciw duże psy liptowskie, ale, poznawszy swoich, zaczęły się łąsić.

— Przepytujem piknie — mówił stary baca — wtóż to som jest takie chłopceki?

— To dólskie, na Bystrem u Marduły siedzom, wzieni my ik ku hali.

— Wesole tu u nos je życie, juhasy posły po owce, bo cas ku dojeniu, a gońce hań pędzom pikny kierdel.

Z za skały rozległ się głośny śpiew juhasa:

„Hej, baca nas, baca nas!
Dobryk chłopców na zbój mas,
Jescebyś ik lepszych miał,
Kiebyś ty im sera doł”.

Wydojono owce, a wieczór już zaszedł, siedli więc dookoła ogniska, a stary baca opowiadał o tych czasach, co „drzewiej” były, o słynnych zbójnikach, polowacach, o niedźwiedziach i orłach, o burzach i osyplikach.

— Drzewiej owcarze pasowali hań owce, jako i tu, i, co się nie zrobiło: zaseł ku nim dziadek starusecek siwy, ale te plugawce nie mu nie dali. I był ś nimi honielnik jeden, małe pacholeysko, i owieckie miał jednom, carnom, i dał on temu dziadkowi wypić swój cerpak. Juzci ten dziadek pedział tak: Słuchaj, mój synu, kiej bedzies gnał owce na połedeń, uwazoj na trzy kmury. Jedna przyńdzie wpierw, druga za nią, jak przyńdzie trzecia, kiej bedzies w strądze — uciekaj! No, i dobrze nie bardzo, przysły owce na połedeń, ci owcarze siedli doić, a te kmury idom; jedna, druga, jak przysła trzecia, ten honielnik hipnął ze stragi i owiecka za nim. A tu skale się urwały, durkły dołu i tyk owcarzy zasulo het! z szalasiskiem! Gadowali potem iuni, co ich słychowali, jako burzyli po pucierzy, ale cóż z tego, kiej przysuci, hej!

Tak opowiadał stary baca. Z ogniska ciągnęły się sine, błękitne dymy ku sklepieniu nieba, cisza była na hali, owce nawet i psy ucichły, jeno juhas jeden wesoły ciągnął:

Oj, Janosik, Janosik, gdzieś podział pałosik?
W tej wysokiej górze, zacięty w jaworze.

Patrzył Stachurek, słuchał: świat inny, odmienny, a on „dólski chłopiec” mówił sobie, że „wiecznie tęsknić będzie do niebotycznych gór”.

P Y T A N I A.

Gdzie mieszkają górale? Jak wygląda góral. jak się ubiera, jak mieszka? Co porabia na halach? Co nam się podoba w góralu? Czy góral jest przywiązany do swoich gór? Jaki jest styl zakopiański? Dlaczego góral ma zdolność do rzeźb? Kto to byli zbójnicy? Co uprawia góral w dziedzinach? Czy znacie pieśń: „Góralu, czy ci nie żal opuszczać strony ojczyste?” Kto widział górali? Narysuj szczyt góralskiej chaty ze znakiem wschodzącego słońca. Kto to jest gazda, kto baca, kto juhas, a kto goniec? Podkreślić ukochanie gór przez górali i przywiązanie do rodzinnej ziemi. Podkreślić umiłowanie swobody.

24. Księżacy.

Przyjechała do Warszawy Kasia Kowalczykówna z Jackowic za Łowiczem. Dziwiła się Kasia Warszawie, że to takie wielkie miasto, że taki tu ruch i gwar, że tyle, tyle ludzi biegnie, a po sklepach takie bogactwo.

Dziwiła się też i Warszawa Kasi Kowalczykównie z Jackowic, że była odziana w swoje prześliczne ubranie księżackie, takie kolorowe i takie bogate, aż w oczach ćmiło, że u war-koczy miała wstęgi szerokie, kwieciste, na szyi koral, bursztynów i paciorków całe sznury, gorset jedwabny, sznurowany wstążeczką, a wełniak pasiasty, suty, pomarańczowego koloru. Buciki miała Kasia wysokie, suto kolorowemi tasiemkami sznurowane, a gdy szła przez Aleje w słońcu majowym, to była sama jak jasny, barwny kwiat, skąpany w promieniach, cieszący się życiem i radością.

Po paru jednak dniach pobytu w Warszawie mówiła Kasia do swej krewniaczki, Marysi, u państwa Kasińskich:

— Juści piękne, bo piękne to miasto, z całego Księstwa Łowickiego żeby się zeszli ludzie, toby jeszcze tyle narodu nie było, a te domy wielgachne, a ta moc powozów, dorożek, a te tramwaje i samochody, aż się w głowie kręci. Jenó, że tu niema ani pola, ani łąki, nie upatrzy tu ani krowy, ani wieprzka, a ludzie tak się Księżance dziwią, kieby to był jaki dziki człek.

— Sprawiedliwie mówisz, Kasiu — odparła jej Marysia — ja to się już bez tyle lat wezwyczaiłam, ale tak ku wiośnie to mnie majowe słońce tak ciągnie na wieś, co strach.

— To niech Marysia pojedzie na Księstwo do nas do Jackowie, albo do kumy Walentowej do Złakowa, to się nacieszy wiejskimi ludźmi.

— Hale, moja Kasiu, mam ci ja krewniaków na Księstwie dookoła Łowicza: Kompina, Retki, Strugienice, Urzecze, Zduny, Łaźniki, Niedźwiada, Popów, te wszystkie wsie pełne są moich krewnych, kumów i znajomków; ale ja stąd się ruszyć nie mogę, boby się tu wszystko beze mnie popsuło, a dzieciaki są teraz w szkole.

— Przecież w lecie — mówi Kasia Kowalczykówna z Jackowie — dzieci do szkoły nie chodzą, to niech Marysia z panią i z dziećmi przyjedzie. Są maliny i gruszki w naszym sadzie dla dzieci, a panią honornie się przyjmie, niech Marysia przyjedzie.

Marysi nie trzeba było zbytnio namawiać. Sama była rodem z Księstwa i kochała je bardzo, więc też tak przedstawiała pani Kasińskiej miły pobyt na wsi, że zdecydowano się spędzić lato w Jackowicach. Pani Kasińskiej nie trzeba było też dużo przedstawiać, boć sama była rodem z Łowicza, Książaków znała od dziecka, kochała ich bardzo i ceniła za powagę, pracę, gościnność i rozum.

Jadźka Kasińska myślała wprawdzie, że ze swoją kuzynką, Irką, pojedą nad Bałtyk; ale Tadzik mocno się sprzeciwił i twierdził, że trzeba zostać na wsi, trzeba zbliżyć się do ludu, że przyszłość narodu jest w chłopskiej chacie i wiele tak mądrych rzeczy, aż Marysia stała z otwartymi szeroko ustami z podziwu.

— Na wsi zajmiemy się ludem — mówił chłopak — będę uczył dzieci czytania, zbiorę całą gromadkę chłopców i będę opowiadał im o Sobieskim i o Kościuszcze.

— Zawsze się ciebie zbytki trzymają — biadała Marysia.

— No, kiedy tak — rzekła rezolutnie Jadzia — to ja będę uczyła dziewczęta...

— Dużo się nauczą, rzeczywiście, już tylko niech się baby nie biorą do nie swoich rzeczy.

— Mamo! on mi dokucza i ubliża.

— Oboje będziecie pracowali, na wsi tak potrzeba pracy, aby oświecić lud, a lud księżacki to taka wdzięczna niwa.

Już w końcu czerwca zajęła pani Kasińska chatę u Kowalczyków, którzy przenieśli się do drugiej, wybudowanej dla syna Szymka, co się miał żenić na jesieni.

Chata była drewniana, słomą kryta, przed nią ogródek z krzakami bzu. Wysokie malwy zaglądały do okien, a pod strzechą świergotały jaskółki, które sobie ulepiły gniazdko pod dachem.

Za chatą były zabudowania gospodarcze: drewniana stodoła, obok z wielkich łupanych kamieni pobudowana stajnia z parą kasztanków, koło niej obora, gdzie łyse cielątko beczało wesoło.

Po drugiej stronie podwórka chlewek, pełen kwiku prosiaków. Za chatą studnia z żórawiem, płotek z kamieni dookoła, za nim sadzawka, na której żeruje stado białych i siodłatych gęsi.

Koło domu biega Kruczek. Ten był pierwszego dnia ogromnie rozgniewany na przybyszów: czekał, warczał, ujadał, ale na drugi dzień już był cicho, a trzeciego dnia tak się zaprzyjaźnił z Tadzikiem, że ani na krok go nie odstępował.

Było więc trzech serdecznych przyjaciół: Tadzik, mały Tomek, brat Kasi, i Kruczek. Ani na chwilę ta trójka się nie rozstawala.

Przed domem szła droga wioskowa; przeciągało nią bydło, idące na pastwiska, szły wozy chłopskie, pługi, brony, a w niedzielę walił lud księżacki, jasny, barwny, wysoki, postawny. Wąską ścieżką przez Kowalczykowe pola, wśród szumiącej po obu stronach pszenicy sunęły się jak kwiaty piękne Księżanki

ku Zdunom, gdzie wznosił swą wieżę wspaniałą kościół parafjalny.

Ścieżkami, jak strumyki, płynęły pieszo gromadki ludu, a szosą, jak rzeką, waliły wózki i bryczki, zaprzężone w rosłe, przepyszne konie księżackie.

Jak grono dostojników siedzieli w ławkach najstarsi gospodarze, pełni powagi i godności. Twarze golone, sukmany białe, pasy czerwone. Po drugiej stronie zasiadły gospodynie w sutych wełniakach, na głowach chusteczki kwieciste. Dziewczęta we wstęgach, kwiatach, paciorkach, parobcy, jak dęby, smukłe, wysokie, rezolutne.

Po ukończonej Mszy świętej siwy, jak gołębek, proboszcz zaintonował pieśń: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny!” Runął cały lud księżacki na kolana, wstrząsnęła murami kościoła ta pieśń serdeczna, huczał organ, dymy kadzideł kłębiły się przed złocistym ołtarzem, a płomyki świec drżały migotliwie.

Po nabożeństwie wysypał się rojny lud i pociągnął do domów.

— Mamusiu — tulił się Tadzik — jakież to było piękne, jakże ja kocham tych ludzi, takich dzielnych, takich dobrych!..

— Dobrze, mój synku, to szlachetne uczucie twej duszy, lud to cała nasza siła. Cenić ją i kochać należy, bo to brat nasz najdroższy — i pani Kasińska ocierała jeszcze łzy, które nabiegły jej do oczu w kościele.

Dookoła rozciągała się równa płaszczyzna, przecięta tylko pasami wiosek, otulonych konarami wysokich topoli. Szumiały zboża złocistą niwą, zieleniły się buraki cukrowe, a ku wioskowi sunęły gromadki barwnego ludu.

Wrócono do izb, a izba księżacka to bajecznie kolorowa siedziba: białe zasłane łóżko, na niem dziewięć poduszek, po drugiej stronie stół z obrusem, a na nim krzyż otoczony liljami. Malowana wzorzysto skrzynia koło ściany, a obok ława czerwona. Na ścianach święte obrazy i prześliczne wycinanki z kolorowych papierów, a u belek sufitu drżą delikatnie ze słomy i piórek pajaki. Przy drzwiach szafa, a nad nią listwa z talerzami. Pod spodem na gwoździkach wiszą malowane kubki,

Śliczna, prześliczna jest izba księżacka, ale mało jest czasu do siedzenia w niej, bo lud ma ciągłą robotę w polu.

Tadzik i Jadzia gorliwie całe popołudnia spędzali też na polu, pomagając w pracy gospodarzom. Ale do południa oboje wypełniali swoje przyrzeczenia. Po drugiej stronie drogi przed chatą Kowalezyków był sad: rozłożyste jabłonie i wysokie grusze dawały tu cień, a cisza była taka, że tylko brzękiem pszczoł z pobliskich ulów przerywana.

Na ławeczce pod jabłonią siedział Tadzik, a przed nim paru chłopców rozsiało się na trawie: Janek Golis, Leonek od Pawliny i Franek Kaźmirski oraz Kruczek, zasłuchani w opowiadanie Tadzika.

Pod dużą gruszą siedzi z gromadką dziewcząt Jadzia. Słuchają jej: Rozalka, Wikcia, Marcysia i Józka.

— Więc ta królowa Jadwiga—słysząc pod gruszą—żałowała bardzo, że Litwini są to poganie, co Pana Jezusa nie znają, i chciała, żeby się oni ochrzcili...

— To jak ten Bartosz Głowacki—słysząc pod jabłonią—skoczy na armaty nieprzyjacielskie, to aż tamci zdębieli, więc on zaraz czapką zakrył otwór i nie mogli strzelić, a chłopci cztery armaty do Kościuszki przywiedli...

— A ciebie się zawsze zbytki trzymają... — biadała Marysia, która właśnie nadeszła, ale wojowniczo usposobiony opowiadaniem Kruczeka ujął się za swym przyjacielem i zaczął szczekać na Marysię.

P Y T A N I A.

Które okolice nazywamy Księstwem Łowickiem? Do kogo należało dawniej Księstwo? Jak się ubiera lud księżacki? Jakie są większe wsie księżackie? Jak zdobiją Książacy swe chaty? Co to są pajaki, a co wycinanki? Czy widział kto z was Księżankę? Opisz, jak wygląda. Czy był kto z was we wsi księżackiej? Czemu się zajmuje lud księżacki? Jaka rzeka przepływa przez Księstwo? Narysuj bieg Bzury i oznacz miasta nad nią. Jak długo trwa droga do Łowicza piechotą? Nacisk na potrzebę oświaty dla ludu, na wielkie nadzieje, jakie w nim pokładamy.

25. Kurpie.

Do drzwi mieszkania państwa Antolewiczów ktoś zapukał, a Tedeek pobiegł zaraz otworzyć. Przed drzwiami stała kobieta wiejska, boso, w fartuchu, chusteczce na głowie, ze sznurkiem bursztynów na szyi.

— Czego to chcecie? — zapytał Tedeek.

— Płótno mam dobre do sprzedania, ścierki, ręczniki, fartuchy, chodniki — odparła kobieta.

— Muszę zapytać się mamy, proszę poczekać. — Tedeek zamknął drzwi, a kobieta została w sieni.

Zobaczył to Irek, brat Tedka, starszy od niego o dwa lata. Irek miał bardzo dobre serce, więc przykro mu było, że Teodorek zostawił bosą kobietę w sieni, a przecież zimna jesienne były już przykre i wiatr wiał przejmujący.

Otworzył więc Irek drzwi i poprosił grzecznie, aby wieśniaczka weszła do mieszkania, a nie stała w zimnej sieni.

— Bóg zapłać paniczowi, sprawiedliwe dziś zimno, a ja bez chodaków.

Tymczasem przyszła i pani Antolewiczowa, zawołała wieśniaczkę do kuchni i zaczęła oglądać towar przyniesiony.

— Jakże się nazywacie? — zapytała pani domu.

— Szymkowa Gawrychowa.

— A skądęście?

— Z puszczy, moja pani, z Zielonej Puszczy, mój nieboszczyk był silny gospodarz w Kadzidle, a krewni nasi i ciociotki mieszkali w Dylewie, i w Brodowych Łąkach, i w Wachu, i Wydmusach.

— Czy to daleko? — pytał Tedeek.

— Oj, daleko, daleko, paniczu, za Ostrołęką, za Przasnyszem. Lasy tam u nas, lasy, puszcze, ziemia kiepska: piachy po kolana, a rzeki różne: Pissa, Rozoga, Omulew, Orzyc ku Narwi płyną.

— Ale tam Polacy mieszkają? — pytał znów Tedeek.

— Któż ma mieszkać koło Ostrołęki, jeżeli nie Polacy — śmiał się Irek.

— A nie, paniczu, Polacy to ci ludzie, co mieszkają na polach, a ci w puszczach, niby my, to nie Polacy, jeno puszczażki.

— Niema narodu puszczaków przerwała pani Antolewiczowa — czy kto z nas mieszka w górach, czy w dolinach, na polach, czy w puszczy, to wszystko jeden polski naród.

— Głupia ja baba, nie wiem, jako ma być, ale tak ta u nas mówią, jako my someśmy puszczeni.

— To dopiero dziwne — mówił Tedek.

— A cóż tam macie na sprzedaż?

— Oto jest mojej roboty płótno bieluńskie, zimną rosą kropione, jasnem słonkiem bielone. Tu ściereczki, co robiła moja córka, Kasia, tu ręczniki mocne, duże. Fartuchy też pani pokażę piękne.

Szymonowa miała na plecach duży toboł swoich wyrobów, zdjawszy więc ten ładunek z ramion, pokazywała pani Antolewiczowej swoje wyroby, zachwalając ciągle:

— To czyściutki len, moja pani, czyściutki len.

— A czy to len chce rosnać w piaskach po kolana? — pytał Irek.

— Dużo, paniezu, w puszczy było błot, teraz one podechły, a ziemia po nich czarna, torfiasta. Na takiej ziemi len rośnie jak złoto.

— A co więcej puszczeni robią?

— Miodów dawniej pilnowali. Barcie były po drzewach, ule w wypróchniałych sosnach, a cała puszcza to byli bartnicy. Ja tam jestem głupia baba, to niewiele wiem o starych czasach, ale tu jest w naszej gospodzie stary Wawrzon, strasznie mądry chłop, to on wie wszystko, co kiedy w puszczy bywało.

Chłopcy lubili zawsze dowiedzieć się coś pożytecznego, więc zaczęli prosić na wyścigi:

— Mamusi, niech ten Wawrzon przyjdzie do nas w niedzielę, to nam o puszczy opowie. Moja matusieczko, bardzo prosimy o to.

Matka zwróciła się do Szymonowej:

— W niedzielę zapewne nie sprzedajecie płótna?

— Ach, moja pani, gdzieby zaś uczciwy katolik w dzień Boski handlował? Nie, siedzimy w gospodzie, śpiewamy pieśni, a Wawrzon trochę pokazuje na książce mojej Wikci, bo mam ze sobą malutką córeczkę, której w Kadzidle nie miałam z kim zostawić.

— Więc może przyjdziecie w niedzielę do nas: wy, Wikecia i Wawrzon? Opowiecie nam o swojej puszczy, bo to musi być ciekawy kraj.

— Oj, pani kochana, co za piękny nasz kraj kurpiowski, lasy, piachy, błota, gdzie tam innym krajom do niego! Bóg zapłać pani za zaproszenie, my nie jesteśmy wymowni, wymawiać się nie będziemy, a w niedzielę po nieszpórach przyjdzie tu i Wawrzon, i ja, i moja Wikecia. Ino że Wikecia jest nieśmiała i z kurpiowska mówi, bo jeszcze nie uczona w szkole.

Kupiła pani Antolewiczowa 15 łokci płótna, a Szymonowa miała u pasa uwieszony łokieć, więc to wszystko zaraz wymierzyła i poszła.

— Śmieszna kobieta—mówił Tedek po jej odejściu—piachy, błota, a ona śliczny kraj, powiada.

— Nie śmiej się z ubogiej wieśniaczki — strofował brata dobry, serdeczny Irek, a matka dodała:—Moje dziecko, każdy człowiek kocha swój rodzinny ką, choćby tam i mróz był ciągły, lub skwarna pustynia, to zawsze drogie są człowiekowi, bo to jego własne, rodzinne, kochane.

W niedzielę popołudniu przysła kurpiowska rodzina do państwa Antolewiczów. Stary Wawrzon był to już pochylony wiekiem Kurp, a mała Wikecia wyglądała jak laleczka: miała spódnickę w czerwone i jasno-zielone paski z samodziału, gorsecik czarny, aksamitny, wyszywany galonikiem, a na głowie czółko też aksamitne, ozdobione piórkami i kwiatkami.

Panna Czesława, siostra chłopców, zajęła się malutką Kurpianką, która była zakłopotana i niebardzo chciała rozmawiać.

Poczęstowano Kurpiów herbatą i poproszono Wawrzona, aby o kurpiowskiej ziemi i zwyczajach coś opowiedział.

— Płyną ku Wiśle dwie duże rzeki—mówił stary Kurp—Narew i Bug, a nad nimi dwie były dawnymi czasy puszcze: Zielona Puszcza nad Narwią i Biała Puszcza nad Bugiem. Ziemie dał nam Pan Jezus nieurodzajne, ale lasy, lasy ogromne, w nich zwierzyny moc; wody też wielkie przez puszcze płynęły, aż gęste od ryb. Ale ten leśny, puszczański kraj ulubiły sobie zwłaszcza pszczoły i w każdym niemal drzewie była barć

pszczelna od wieków, aż cały bór szumiał brzękiem pracowitych pszczołek, a sosny miodem opływały bardziej, niż żywicą.

— Chciałbym tam być! — westchnął Tedek.

— Nie przeszkadzaj biednemu staruszkowi — strofował Irek.

— Ale ludzi to tam jeszcze nie było, bo wtedy, setki lat temu, mało jeszcze ludzi było w Polsce. Gdy jednak ludzi przybywało, to ten i ów zapuszczał się w lasy to za zwierzyną, to za rybami, to za miodem. Ten i ów wrócił, a inny pozostał, bo ciągnęła go wolność i swoboda. Tak potrochu zaludniła się puszcza, a główne zajęcie ludzi to było pszczelnictwo i myśliwstwo. Polowali Kurpie na zwierzynę i od młutkiego chłopca uczyli się już strzelać. Nieraz ośmio, dziewięcioletni chłopiec już doskonale trafiał do tarczy, a wyrostki celnymi byli strzelcami. Stąd też nawet w całej Polsce było głośne przysłowie: strzela jak Kurp!

— Ja też umiem doskonale strzelać — zauważył Tedek.

— Eh, nie przerywaj ciągle, takie ładne i ciekawe — gniewał się Irek, choć on tam właściwie gniewać się nie potrafił.

Stary Wawrzon ciągnął dalej:

— Najwięcej pracy w puszczy to było z pszczołami a Kurpiów nazywano bartnikami. Oni to w drzewie wycinali dłótę dziuple, w których później gnieździły się pszczoły. Oni to później miód podbierali, a na królewski stół składali rączkę miodu rocznie. Rączka była to miara, licząca parę garncy. Ale już za ten podatek mieli zupełną swobodę w puszczy, nim nie narzucano, wolności nie krępowano, sami sobie wybierali starostów bartnych, a ci sądzili ich bartnem prawem. To też, gdy Szwedzi napadli na Polskę i chcieli przejść przez Kurpiowskie puszcze, to nasz puszczański lud wzburzył się i okrutnie Szwedów pobił, a do wnętrza kraju nie dopuścił. Był na czele Kurpiów znakomity wódz, zwał się Stach Konwa.

— A czy teraz też są u was takie barcie i pszczoły? — pytała panna Czesława.

— Nie, panienko, dużo lasów wycięto już, strzelby nam odebrano, po lasach pszczoł nie wolno trzymać, więc Kurpie izbiednieli. Kobiety sieją len i robią płótno, jak oto Szymonowa, chłopcy idą do Ameryki na zarobki, bo tam u nas bieda.

Przysyłają oni pieniądze z Ameryki przez Ostrołękę, Pułtusk, Kolno, Myszyniec, bo Myszyniec to jakby nasza kurpiowska stolica.

— A skąd Wikcia ma takie piękne bursztyny? — pytała panna Czesława.

— Bursztyn kopią w naszych puszczech w ziemi, a czasem spore jego kawałki leżą na piaskach nadrzecznych, wymyte przez wody.

— Możeby Wikcia zaśpiewała nam jaką piosenkę kurpiowską? — prosili chłopcy.

Ale Wikcia była bardzo zawstydzona, więc stary Wawrzon zanucił:

„Hej, bracia, iza iza goni,
Serce z żalu pęka:
Już Kurpik nie ma bronі,
Las od zwierza stęka.

Hej, moją mi zabrali
Gwintówkę z lotkami,
I jeszcze się naśmiewali,
Com ją żegnał iza mi”.

I w oczach Wawrzona zabłysła srebrzysta iza.

Irek też był smutny, ale Tedek, co się zaczął trochę bawić z Wikcią, zawołał:

— Jak ona dziwnie mówi! Zidziałam, zamiast widziałam, ziancy, zamiast więcej, psies, zamiast pies, scansliwy, a nie szczęśliwy, kruzyk—to dzbanuszek, dziwne!

— A tak, paniezu, to taka jest nasza kurpiowska mowa, bo w puszczech my siedzieli, więc i język trochę odmienny, ale chociaż my mówimy robić (robić), psiwo (piwo), Kurpś (Kurp’), to jednak na wieki wieków polski my naród, polski lud, królewski szczepek Piastowy.

P Y T A N I A.

Jak Kurpie nazywają siebie? Gdzie leżą puszcze kurpiowskie? Czem się dawniej trudnili Kurpie? Co robią teraz? Czy widujecie w Warszawie Kurpianki? Co noszą Kurpianki na szyi? Jak wymawiają Kurpie? Jakie są większe miasta na Kurpiach? Narysuj Narew i jej dopływy. Skąd czerpią wodę te dopływy? Kto to był Stach Konwa? Co uczynił? Czy Kurpie bogacą się teraz i w jaki sposób? Podkreślić prawdość i uczciwość ludu. Bez prawdości naród nie może istnieć.

Przywiązanie do puszczy, jak górali do gór.

26. Kaszubi.

Poważna była sprzeczka w domu państwa Kasińskich, czy jechać na lato nad Bałtyk, czy nie? Pani Kasińska i dzieci miały ochotę, Marysia twierdziła, że i w Skierniewicach dzieci mogą się kąpać w rzece, a nie „morza im się zachciewa”. Stryj Kazimierz, doktor, zalecał wyjazd do Sopot dla zdrowia Tadzika i Jadźki, ale jedna pani znajoma, która wszystko wiedziała, co się na całym świecie dzieje i co się dzieć powinno, ze zdumieniem mówiła:

— Jakto? Pani pojechałaby do Niemców? Pani wywiozłaby dzieci na zatracenie?

Pani Kasińska struchlała. Rzeczywiście, wywieźć dzieci „na zatracenie” to rzecz straszna. A nuż po wakacjach pod Gdańskiem dzieci zapomną mówić po polsku?

Marysia też do Niemców niebardzo chciała pojechać, ale pan Kasiński, jako człek energiczny, huknął:

— Cóż my się mamy tej głupiej baby słuchać? Jedziemy i basta!

— Czesiu! — jęknęła pani Kasińska — jak możesz tak się wyrażać o pani Zawracalskiej, która ma bardzo dobre serce?

— Ja nie potrzebuję serca tej plotkarki. Pakować się i basta!

Gdy pan Kasiński powiedział „i basta”, to już nie było dyskusji. Rada nierada, musiała więc pani Kasińska pakować się do drogi. Dzieciaki dokazywały, Marysia płakała i groziła naprzemiany. Nareszcie wyładowana prawie pod pierwsze piętro dorożka potoczyła się na dworzec Gdański, gdzie panował zgiełk nie do opisania.

Nareszcie góra pudełek, koszyków, torebek, paczek została ulokowana w wagonie i pociąg, sapiąc, potoczył się przez Modlin i Ciechanów do Mławy.

Po moście przebył pociąg rzekę Bugo-Narew, oglądały dzieci fortecę modlińską, widziały potem zdaleka ruiny zamku ciechanowskiego, wreszcie stanęły w Mławie.

Dalsza droga szła przez Malborg, gdzie Tadzik pokazywał Jadzi zamek wielkich mistrzów krzyżackich, przez Tczew,

wreszcie stanął pociąg w Gdańsku, gdzie pani Kasińska miała zabawić dwa dni.

Jeszcze było szaro na świecie, gdy Marysia, słysząc dzwony z pobliskiego kościoła, powędrowała na prymarję, a gdy wróciła, dzieci były już umyte, ubrane i... głodne.

Ruszono na śniadanie, a po śniadaniu zwiedzano miasto. Najpierw udano się do ratusza, który swą 82 metry wysoką wieżą panuje nad miastem. Trudno wyobrazić sobie przepych tego ratusza, co był sercem wielkiego handlowego miasta. Olbrzymie sale pełne są malowideł, rzeźb, bronzów, marmurów. Zwłaszcza przepysznie rzeźbione w drzewie meble gdańskie budziły podziw zwiedzających, a Marysia mówiła, że tu jest prawie tak ładnie, jak w Makowie.

Z ratusza pani Kasińska udała się z dziećmi do „Dworu Artusa”, gdzie mieści się giełda. W olbrzymiej sali, wspartej na wysokich kolumnach, rozstawione były stoły, a na nich w miseczkach próbki zbóż polskich, co je po Wiśle spławiano do Gdańska. Na złocistych łańcuchach zwieszały się od sufitu modele okrętów, które jedno miasto drugiemu posyłało w prezencie. Biała marmurowa figura króla polskiego, Augusta III, zdobiła salę, a Marysia myślała, że to jaki święty.

Zdumienie Marysi doszło do zenitu, gdy rodzina udała się na rybny targ. Takie rozmaite dzikie ryby morskie tam były, że Marysia ze zdumienia omal nie wpadła do wody na widok morskich dziwadeł. Orzekła też, że „chyba psi jedzą takie paskudztwa”, ale Jadzia zapowiedziała:—jeszcze Marysia będzie się zajadała temi rybkami.

Jak mgnienie oka zbiegły dwa dni w Gdańsku, i pani Kasińska z dziećmi udała się do wsi Gdyni, gdzie już było telegraficznie zamówione dla nich mieszkanie.

Tu po trudach podróży rozkwaterowano się na dobre.

Ledwie świt rozjaśnił niebo, już nasze baki pobiegły nad morze. Szaro-zielona tafla rozciągała się daleko, daleko. Wiatr pędził skłębione fale, a na każdej z nich srebrzył się grzbiet piany. Jadźka z wesołym śmiechem biegała po gładkim piasku wybrzeża, uciekając przed falami, które goniły dziewczynkę. Tadzik stał zdumiony i oczarowany przepięknym widokiem morza.

Na horyzoncie ukazał się biały żagiel łodzi rybackiej, która szybko mknęła ku wybrzeżu.

— To pewno jadą dzicy! — zawołała z przerażeniem Jadźka.

Tadzik wybuchnął śmiechem:

— Skądżeby się tu wzięli dzicy ludzie? Zmiłuj się Jadźka

— A myślisz, że nie czytałam Robinsona i o kapitanie Cooku?

— No, tak, ale to było w dzikich krajach, w Azji, czy Australji.

— Ludzie som wszędzie dzikie — orzekła Marysia.

Rybak tymczasem dopłynął do brzegu i pozdrowił gromadkę powitaniem „gut morgen”.

— A bodaj cię — odpowiedziała Marysia na uprzejme powitanie — nie nie wiem, co on ta szwargocze.

Ale rybak roześmiał się i powiada:

— Zaś oni są z Polski? Jo tyż jestem polski. Cała nasza wieś to som Polaki-Kaszuby.

Dzieci chciały zobaczyć złowione ryby, więc rybak wziął je do łódki, ale Marysia takiego narobiła wrzasku, że albo się potopią, albo je co połknie, że musiał rybak wysadzić co rychlej swoich gości z łodzi.

Natomiast zaprosił stary Kaszuba dzieci i Marysię do swej nadmorskiej chatki i zapoznał ich ze swoją rodziną.

A było tam dzieciarni huk, znaleźli się też rówieśnicy naszych dzieci, więc i towarzystwo było do zabaw.

Całe dni dzieciarnia bawiła się nad wodą. Nawet Marysia uspokoiła się, a Tadzik nawet jeździł z rybakiem na wyprawy „na bacie”, jak nazywają czółno.

A jakie dziwne staropolskie wyrazy słyszały tam dzieci: Łowiszczce — to miejsce, gdzie łowią ryby, głąda — powierzchnia bez wielkich fal, twarde morze — to morze wzburzone, skórznie — długie buty, biera — nosze, na które biorą ryby, chwatka — sieć nieduża, nowisko, albo osuch — ład osychający po ustąpieniu morza, wylewka — łopata do wylewania wody.

A ryby jakie dziwaczne miały nazwy! Po tygodniu jednak już dzieci rozróżniały, co to jest dobijak, kwap', gładyza, pchacz, mielnica, lub kura morska.

Poznały też i roślinność nadbrzeżną, którą Kaszubowie nazywają: charst, kidzina, babie-żebra i dużo innych; poznały też i ptaki morskie, wiedziały, co to jest czyrka, kołp', kulik, a co mewa.

Obiegły dzieci i wsi nadbrzeżne: Orłowo, Kolebki, gdzie chętnie mieszkała królowa Marysieńka. Były i w Oksywiu, gdzie pełen czerwonych jarzębin schodzi ku morzu cmentarz ze stoku wzgórza. Robiły też wycieczkę do Oliwy, podziwiając najwspanialsze na Pomorzu organy i stare malowidła, słowem, śliczne dni spędzały dzieci z Sosnowej ulicy na kaszubskim brzegu.

Wieczorem Kasia Jutrzenka—Trzebiotowska, córka starego rybaka, śpiewała dźwięcznym głosem stare pieśni kaszubskie:

„Żebyś ty boczel nad światem śpiącym,
Jak cie ten mniesądz błądy,
To ty bęś śpiewał głosem zagrzmiącym
Śpiewe tobie, kraju mój!
Śpiewe wielgą, śpiewe downą,
Zaboczoną, ale słowną”.

Pani Kasińska rozumiała doskonale, że dzieci powinny cały kraj poznać, i dlatego chętnie im pozwalała na wycieczki i sama z nimi jeździła. Wybrano się morzem do Jastarni, wioski leżącej na półwyspie Helu. Sami tam rybacy kaszubscy mieszkają, a mierzeja Helu jest tak wąską, że gdzieś niegdzie z jednego punktu widać po obu stronach piaszczystej wydmy szumiące morze.

Gdy wracano z Jastarni, morze było „twarde” i dzieciarnię męczyła choroba morska. Marysia też chorowała i zaprzysięgła się na Matkę Boską Gidelską, że nigdy w życiu morzem już nie pojedzie, i wołałaby siedem razy umrzeć, niż raz tak jeszcze się kołysać na głupim morzu, które niewiedomo poco kiwa się i kiwa.

To też później już tylko w lądowych wyprawach brała udział. A i tych nie brakowało: odwiedzano Puck, stare miasteczko nadmorskie, gdzie trzymała niegdyś Polska swoje okręty wojenne, a Marysi najbardziej się podobała wycieczka do Kartuz, które zowią Kaszubską Szwajcaryą.

Dużo tu jeszcze lasów na wzgórzach, dużo jezior, co jak srebrne zwierciadła leżą w oprawie gajów. Lud tu miły, serdeczny, gościnny, aż Marysię za serce chwyciło.

Gdy skończyły się wakacje, a pani Kasińska wracała do Warszawy, Marysia mówiła w wagonie:

— Lo Boga! Czemuż to pani Zawracalska mówiła, jako że to są Niemcy, kiedy to je polski naród sprawiedliwy te Kociuby.

— Kaszuby, nie Kociuby—poprawiał Tadzik.

— Naturalnie—mówiła pani Kasińska—to jest czysto polski lud i kocha z całej duszy Polskę. Szkoda, że zbyt mało Polaków tu przyjeżdża i szkoda, że oni do nas nie zajeżdżają w gościnę do Warszawy.

— Matuchno—przymilała się Jadźka—a ja zaprosiłam Kasię i Wosia, i Fela i inne dzieci do nas na Sosnową.

— Dobrze zrobiłaś, córeczko. Będziemy czekali tych miłych gości.

Gdy wrócono do Warszawy, Marysia mówiła do pani Józefowej, stróżki z Sosnowej:

— Mówię pani, co Kociuby, to Kociuby, naród sprawiedliwy, jeno że w gębie osobliwe: na przekupkę mówią kokarka, na sieć—kidadło, a na suszoną rybę—wędzonka.

— Moja pani, wędzonka?

— Sprawiedliwie mówię, tylko żeby pani Józefowa nie jechała nigdy po morzu, już ja to pani powiadam.

P Y T A N I A.

Gdzie mieszkają Kaszubi? Czem się trudnią? Jakie ryby łowią? Jakie mają miasta? Gdzie leży Gdańsk? Czem handluje Gdańsk? Opisz wybrzeże Bałtyckie? Dokąd jeżdżą od nas do kąpieli morskich? Wylicz parę wsi kaszubskich. Kto z was był na Kaszubach? Opowiedz swoje wrażenia. Narysuj deltę wiślaną. Nacisk położyć na posiadanie wybrzeża morskiego, na podtrzymanie polskiego ludu u wybrzeży Bałtyku.

27. Polacy w Ameryce.

O ty Ziemia Polska, tak bogata,
Że wyżywić mogłabyś pół świata,
A dla własnych dzieci nie masz chleba!

Wyrzut taki niezupełnie jest słuszny: ziemia nasza mogłaby wyżywić swój naród, gdyby miała wolność i oświatę.

Gdy jednak lud był gnębiony przez wrogów, gdy ciemnota panowała wszechwładnie, to z nią szła i nędza, a lud opuszczał swoje żyzne niwy i szedł w świat, szukając lepszej doli.

Nie szedł na wschód, gdzie żył gnębiiciel naszego ludu, szedł na zachód, dotarł do brzegów Atlantyku, siadł na olbrzymie parowce i popłynął do Ameryki.

Tam może będzie mi lepiej, myślał. Tam zarobki ma większe, ale niema tej serdecznej koło siebie ziemi, ani tych ludzi bratnich, ani tych wiosek swoich ukochanych.

Najwięcej wychodźcy nasi wyruszają z Hamburga lub Bremy, portów niemieckich. Są tam wielkie domy emigracyjne, gdzie zgromadzają się wychodźcy, czekając na parowiec.

Są tam i kaplice dla nich, a serce kraje się w człowieku, gdy ci tułacze padną na kolana, śpiewając z płaczem pieśń „Serdeczna Matko”.

Śpiewają oni słowa świętej pieśni:

„Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy:

Zmiłuj się, zmiłuj, niech się nie tułamy!”

A przecież oni właśnie po tej modlitwie idą na tułaczkę.

Olbrzymie parowce przewożą naszych wychodźców za Atlantyk. Parowiec taki płynie przez siedem dni, nim dotrze do Nowego Yorku, portu amerykańskiego.

Przez siedem dni wędrowiec nasz widzi tylko wodę i wicher. Pienią się bałwany, miotają olbrzymim statkiem, na którym bywa po pięć do sześciu tysięcy ludzi. Srebrnoskrzydłe mewy bujają nad statkiem, a z czterech olbrzymich kominów wali czarny dym.

Po tygodniu wędrówki dociera parowiec do nowego lądu, gdzie już powiewają gwiazdziste sztandary Stanów Zjednoczonych.

Zabierają tam naszych wychodźców do urzędu imigracyjnego i badają stan zdrowia i papiery osobiste. Kto jest niezdrow, to go nie wpuszczają na ląd amerykański, musi jechać z powrotem do Europy.

To też drżą nasi chłopcy i dziewczęta, czy aby nie odrzuciliby ich pan doktor.

Gdy już pomyślnie przeszły badania, wydostaje się biedny tułacz na ląd w wir olbrzymiego mieściska, jakim jest Nowy York.

Zdumiony, gapi się nasz przybysz na te wysokie domy nowojorskie, zwane drapaczami nieba. Zaiste, że drapią one dachami niebo, bo mają niezliczoną ilość pięter. Dość powiedzieć, że są tu domy po trzydzieści osiem pięter, a najwyższy ma pięćdziesiąt siedem pięter. Jest się na co popatrzeć.

Przybysz nasz stara się ulokować gdzieś w pobliżu swoich, a gdzie ich szukać, jeżeli nie przy parafji. Dowiaduje się tedy, gdzie jest polski kościół, i idzie tam.

Nietrudna to sprawa, gdyż nasze kościoły są w Ameryce największe i najwspanialsze, nie żałuje bowiem lud nasz na Domy Boże.

Koło kościoła grupuje się dzielnica polska, a przy kościele jest szkółka parafjalna. O dwunastej w południe wysypuje się dzieciarnia z gwarem i śmiechem na ulicę, biegnąc do domów na „lunch”, czyli drugie śniadanie, obiad bowiem jadają tam dopiero o siódmej wieczorem.

W takiej dzielnicy polskiej to już i domy i sklepy są polskie, a język polski słychać dookoła, jak u nas tutaj.

Zwykle taka dzielnica ma nazwę od kościoła: jeżeli kościół jest pod wezwaniem świętego Wojciecha, to się dzielnica nazywa „na Wojciechowie”, jeżeli świętego Stanisława, to „na Stanisławowie”.

Ulokowawszy się już wśród swojaków, szuka nasz przybysz zajęcia. W Ameryce ludzi potrzeba do fabryk i warsztatów, więc robotę można znaleźć łatwo.

Ale robota to bardzo ciężka i wyczerpująca. Nie lęka się jednak nasz robotnik tej pracy, przeciwnie, bierze się nawet do najcięższej, aby zarobić trochę dolarów, które następnie wysyła do kraju pozostałej rodzinie.

Miljony marek wpływają do Polski z ciężkiej pracy polskiego ludu za oceanem.

Przybysz nasz nie zatrzymuje się w Nowym Yorku: rusza on dalej w głąb lądu, a najbardziej lubi osiadać w miastach u brzegu Wielkich Jezior amerykańskich, a więc nad Erie lub nad Michiganem.

Są tam wielkie kolonje polskie w Buffalo, Detroit, Cleveland, ale najwięcej naszych ludzi mieszka w Chicago, gdzie całe wielkie dzielnice zajęte są wyłącznie przez polską ludność.

Zgórą 300,000 Polaków mieszka w Chicago. Tam są największe szkoły polskie.

W szkole świętego Stanisława Kostki uczy się cztery tysiące naszych dzieci.

Wędrują nasi dalej na zachód, aż do wybrzeży oceanu Spokojnego, do San Francisco w Kalifornji, a nawet na wyspy Hawajskie.

Nasz emigrant całą duszą jest przywiązany do kraju, marzy zawsze o powrocie, ale jego dzieci, co się już tam urodziły i wyrosły, to mało znają Polskę, a dlatego to i niewiele o niej myślą.

Obcując dużo z Amerykanami, używają nasi ludzie wielu wyrazów, poprzekręcanych z angielskiego, mówią na przykład: „mitnąłem go na kornerze”, co znaczy: „spotkałem go na rogu”, „idę do sztoru po szusy dla bojsów”, co ma znaczyć: „idę do sklepu po buciki dla chłopców”.

Ci nasi ludzie, którzy pracują w fabrykach i warsztatach, przysyłają zarobione pieniądze do domu, a sami też po paru latach tułaczki wracają, ale ci, co wzięli się do roli, to już nie wracają, bo im żal rozstać się z kawałkiem ziemi.

A jeżeli na robotnika naszego czasem tam narzekają, że nie jest dość gorliwy, to rolnik polski słynie, jako najznakomitszy pracownik rolny: czy mu dać ziemie dobre, czy kiepskie, czy w gorącym, czy w zimnym klimacie, zawsze potrafi on dać sobie radę. Uprawia bawełnę, tytuń, pszenicę, jarzyny, na wszystkim dorabia się majątku.

Pociąg do roli sprawia, że nasi wychodźcy wyruszają nie tylko do Ameryki Północnej, ale też i do Południowej, a mianowicie do Brazyliji, gdzie zwarte tworzą kolonje.

Najwięcej ich jest w Paranie, a miasto Kurytyba stanowi ośrodek polskiego życia. Przybysze nasi dostali tam duże obszary puszczy, wykarczowali drzewa, zaorali pola i uprawiają fasolę brazylijską, sadzą drzewa owocowe i całą duszę wkładają w pracę koło roli.

Pierwsze pokolenie myśli ciągle o Polsce, drugie jednak mniej, a trzecie pewno już bardzo mało będzie wspominać Ojczyznę swych dziadów.

Jeżeli gnębiony niewolą i niedolą lud rusza na wychodźstwo, to dobrze, że ma gdzieś wolne ziemie do zajęcia, ale jeżeli nie wraca do kraju, to szkoda tych ludzi, co jak jesienne liście oderwali się od rodzinnego drzewa i zrobili nam uszczerbek.

Ci, co wracają z Ameryki, przynoszą do kraju nie tylko zarobione pieniądze, ale też i nowe zupełnie myśli, bo się przypatrzyli innemu zupełnie życiu i innym warunkom.

Pobyt w Ameryce dużo ich nauczył, wnoszą oni nowe myśli do zapadłych wiosek i pragnienia lepszej doli dla całego narodu. To tylko wielka szkoda, że nie wszyscy wracają, gdyż dużo ich zostaje i amerykanizuje się, zapominając o Polsce.

W Ameryce organizują się nasi wychodźcy dzielnie: zakładają parafje, budują kościoły, otwierają szkoły, zawiązują swoje stowarzyszenia, wydają gazety, zakładają czytelnie, słowem, pracują bardzo dzielnie.

A w ich kościołach zawsze są ołtarze Matki Boskiej Częstochowskiej, a w szkołach portrety Kościuszki, a w stowarzyszeniach Białe Orły Polskie, a w sercach tęsknota do pozostawionej za morzem Ojczyzny.

A jeżeli wracają, cieszą się jak dzieci, rwą się całą duszą do ziemi rodzinnej, bo są przecież jej dziećmi, a ona jest ich dobrotliwą matką.

P Y T A N I A.

Co zmusza lud do wychodźstwa? Dokąd się głównie kierują? Z których portów wyjeżdżają? Jak długo płyną przez Atlantyk? Gdzie najczęściej naszych ląduje? Co jest ośrodkiem kolonji polskiej? Czy są tam szkoły i stowarzyszenia polskie? Gdzie są najliczniejsze kolonje polskie? Ilu Polaków mieszka w Chicago? Czy są w Kalifornji? Gdzie pracują? Co robią z zarobkami? Czy osiedlają się w Brazylii? Czy pozostają nasi w Ameryce, czy wracają? Dlaczego wracają? Podkreślić tęsknotę do ziemi rodzinnej.

28. L i t w a.

„Litwo! ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!” tak rozpoczął wielki nasz wieszcz, Mickiewicz, Pana Tadeusza, poemat pełen miłości i przywiązania do ziemi litewskiej.

Ziemia ta ma rzeczywiście w sobie tyle uroku i tak wiąże serca ludzkie, że kto ją raz widział, nie zapomni o niej nigdy.

Z ziem tamtejszych ród wiedli najwięksi bohaterowie nasi, jak Kościuszko, wielcy poeci, jak Mickiewicz, Syrokomla, wielcy muzycy, jak Moniuszko, i cały wieniec najświetniejszych imion i najjaśniejszych duchów polskich z litewskich ziem pochodził.

Jak Wisła, tocząc się od Karpat do Bałtyku, wiąże ziemię polską, tak też Litwa ma swoją narodową rzekę, a jest nią Niemen. Do tego to kraju, „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych”, pragnie Mickiewicz przenieść swoją duszę utęskniającą, umęczoną gwarem Paryża.

Chodźmyż zobaczyć tę ziemię, wyśnioną przez wieszcz.

Ciche te ziemie, szumiące pogwarem puszczy, rozjaśnione taflami jezior, pocięte dolinami. Szare wioski wyciągają się w sznur; mały, ubogi kościółek drewniany, a za wioską ementarzyk, pełen wysokich krzyżów, wyciągających ku niebu swe ramiona.

Przy drogach też krzyże drewniane, zakończone artystycznie kutymi krzyżykami, czasem kapliczka, w której pod drewnianym daszkiem stoi figurka Pana Jezusa Miłosiernego, zasnuconego dolą ludu.

Figurka taka nazywa się po litewsku „Smutkialis”.

Lud litewski jest bardzo pobożny i żarliwy. Kościoła nigdy w święta nie opuszcza, a kapłana czci, jako swojego opiekuna i przewodnika.

Ogromny obszar Litwy różne zawiera ziemie i grunty rozmaite: są tam i „puszczy litewskich przepastne krainy”, są i bogate, żyzne gliniaste obszary, szumiące pszenicą, są i ubogie piaseczki z nędznym żytem i łanami kartofli, są i wspańiałe rozległe łąki nadrzeczne i wody, rojące się od ryb.

Słowem, ziemia litewska jest bogata i obficie rodząca płody dla dobra i szczęścia swego ludu. Jest ona dla niego dobrą matką, więc i lud też ma dla niej synowskie przywiązanie.

Język litewski, odmienny od języków słowiańskich, trudny jest bardzo dla nas, choć dużo ma wyrazów i polskich, i białoruskich. Naprzykład tytuł litewskiej komedji z teatru brzmi:

„Ponas ir muzikai”, co znaczy „Pan i chłop”, tutaj „ponas” wzięte jest z polskiego, a „muzikai” — z rusińskiego, ale już np. poemat „Pavasario balsai”, co znaczy „głosy wiosny”, jest dla nas niezrozumiały. Dla przykładu oto parę tytułów gazet litewskich: „Žemdirbis” (Rolnik), „Draugija” (Towarzystwo), „Szaltinis” (Źródło), „Saulė” (Słońce), „Žvaigždė” (Gwiazda), „Keleivis” (Wędrowiec), „Dilgeles” (Pokrzywa), „Garnys” (Bocian), „Rankpelnis” (Robotnik).

Gazety te wychodzą jedne na Litwie, inne zaś w Ameryce, gdzie jest bardzo dużo emigrantów Litwinów, zwłaszcza w Filadelfji.

Nad Niemnem i jego dopływami są całe ogromne obszary ziem, gdzie zupełnie nie można rozmówić się po polsku, a na każde pytanie otrzymuje się odpowiedź: „ne suprantu”, co znaczy „nie rozumiem”.

A jednak, choć mowa inna, to wiara jednaka i myśli te same, myśli o wolności i swobodzie swej Ojczyzny, ciężko przez długie lata gnębionej.

Wiele i wiele zgryzot i męczeństwa widziały mury stolicy litewskiej Wilna, aż dziw, że to miasto tak miły i pogodny zachowało charakter.

W zieloną szatę drzew, krzewów i kwiatów przybrały się trzy wysokie góry: góra Zamkowa, góra Bekieszowa i góra Trzykrzyska.

Wstęgą przeplotły je Wilja i Wilejka.

Wilija, naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica.

Na szczycie góry Zamkowej sterczą dumnie ku niebu ruiny książęcego, a potem królewskiego zamku. Potężna wieża dźwiga swe bary krzepkie jeszcze, choć przez czas i losy szarpane. Parę kawałków murów z dawnych komnat zamkowych łączy się z wieżą, a otacza je zieleń i szumią gałęzie kasztanów i lip, obejmujących wieńcem królewską siedzibę.

Ileż widziały, ileż słyszały te mury czerwone, gdzie siedział w komnatach ostatni z potężnego rodu Jagiellonów, ten, co tak bardzo kochał Wilno, Zygmunt August, król polski, wielki książę litewski.

I każdy z jego następców bywał w tem zameczysku, gdy odwiedzał swoją litewską stolicę.

Ileż widziały, ileż słyszały i te drzewa zielone Zamkowej góry. Siadywał pomiędzy niemi młody student wileńskiego uniwersytetu, siedemnastoletni chłopak, filareta, o marzących oczach i bujnych złocistych włosach. Snuły się w jego głowie cudne poematy, układał pod cieniem lip plany swych utworów, szybkim krokiem przebiegał ścieżki koło zamku, zatopiony w swych myślach i marzeniach, a tym studentem był nie kto inny, lecz Adam Mickiewicz, największy nasz wieszcz i król poetów naszych.

Schodził on stąd ku starej bramie miejskiej, co się zwie „Ostra Brama”, a nad bramą jest kaplica cudownej Matki Boskiej Ostrobramskiej. W czterdzieści lat później, na paryskim bruku, wspomina Mickiewicz tę kaplicę i modli się: „Panno Święta, co w Ostrej świecisz Bramie”.

I dziś tłumy pobożnego ludu klęczą kornie na ulicy, na deszczu, śniegu, czy upale, wpatrzeni w zachwyceniu w cudowne oblicze Matki Bożej.

Szanuje tę cześć każdy przechodzień: czy to chrześcijanin, czy nie, każdy kornie zdejmuje czapkę, mijając sklepienia Ostrej Bramy.

A w katedrze wileńskiej stoi w kaplicy srebrna trumienka na ołtarzu. W trumienne tej złożone są relikwie: to prochy świętego Kazimierza, królewicza z jagiellońskiej rodziny, patrona Litwy, czczonego przez cały lud litewski.

Pobudowane na wzgórzach, ujęte w wieniec lasów, przewiązane wstęgą rzek Wilno, to jedno z najpiękniejszych miast w Europie, a klejnot Litwy.

Nie brzydsze jednak od niego są: Kowno i Grodno, wzniesione na wyniosłych brzegach Niemna.

Kowno stoi przy złączeniu Wilji z Niemnem, a o tej okolicy pisał Mickiewicz:

Wilija w miłej kowieńskiej dolinie
Śród tulipanów i narcyzów płynie.

Grodno zajęło wysokie brzegi niemnowe, piętrzy się wieżycami swych kościołów w obłoki.

Na cichym cmentarzu grodzieńskim spoczęły zwłoki za-
służonej powieściopisarki naszej, Elizy Orzeszkowej, która
mieszkała w Grodnie przez długie lata.

Gdzie tylko pojechać na Litwę, wszędzie pełno spotyka
się pamiątek po wielkich ludziach Ojczyzny naszej.

Po miastach litewskich i po dworach dużo mieszka Polaków,
po cichych wioskach mieszkają Litwini. Ku Bałtykowi ciągnie
się Żmudź, pod Połagą staczająca się ku morzu. Na północ od
niej siedzą już Łotysze, także do litewskiego plemienia nale-
żący, a ku wschodowi łączą się ludy litewskie z ludami Biało-
rusi, co siedzą koło Mińska, Witebska, Smoleńska i na Polesiu.

Białorusini to już plemię słowiańskie, język ich jest po-
dobny i do polskiego i do rosyjskiego, chociaż stanowi odrę-
bny język wielkiego plemienia białoruskiego.

Oto poeta białoruski, Bohuszewicz, mówi do chmur:

Chmarki ciomnyja, maje bratanki!
Wieciar honie was biaz darożeńki,
I nihdzież dla was niama chatańki...
Adpaczynicia aż u Bożeńki.

Największem miastem Białorusi jest Mińsk nad Świsłoczą,
toczącą swe wody do Berezyny, a z tą do Dniepru.

Do Dniepru też płynie przez wielkie bagna i błota piń-
skie szeroka Prypeć. Kraj tu smutny, jak słusznie pisze Win-
centy Pol:

Ani ruchu, ani ducha,
Woda stoi, wiatr nie wieje,
Lud po puszczech mało sieje,
Jedno lasem się zabawia.

Z wodami Dniepru spływają ziemie tutejsze ku południo-
wi, gdzie ściele się już szlak ku morzu Czarnemu.

Wielki to był szmat jagiellońskiej dziedziny ta Litwa
i Białoruś.

Puszczy i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Giedymina.

A o ludzie litewskim pisał Pol:

Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity.

Kiedy szczery — jak воск topnie:
Ale gdy go kto zahaczy,
To i w grobie nie przebaczy
I na końcu swego dopnie!

P Y T A N I A.

W której stronie od nas leżą ziemie litewskie? Jakie rzeki tam przepływają? Pokaż Grodno, Wilno i Kowno. Kto z was był na Litwie? Czy umie kto parę wyrazów po litewsku? Czem się zajmuje lud litewski? Gdzie leżą ziemie Białorusi? Jakie jest największe miasto Białorusi? Kto z naszych wielkich ludzi urodził się na Litwie? Czy zna kto z was Polesie? Jak sobie wyobrażacie błota pińskie? Gdzie wychodzi dużo gaz t litewskich? Która z wielkich Polek mieszkała i umarła w Giełnie? Kto umie początek Pana Tadeusza? Gdzie mieści się obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej? Podkreślić braterstwo ludów w unji Korony, Litwy i Rusi.

29. R u ś.

Biały archanioł rozciągnął swe skrzydła nad błogosławionemi ziemiami Rusi.

Ciągną się one od Karpat ku wschodowi, od Polesia ku południowi „aż ku morzu, ku Czarnemu, ku limanu szerokiemu”.

Na wschodzie błękitną wstęgą obejmuje rusińskie ziemie Dniepr, a „nad Dnieprem, między jary, zasiadł dumnie Kijów stary”.

Lud tam mieszka rusiński, czyli małoruski, wysoki, zgrabny, śpiewny, czysty.

A u ludu wdzięczne lica,
Boć to czysto, biało odzian,
Jak dąb młody, rzeński młodzian,
A dziewczeczka — jak pszenica.

Bogactwo ziem ruskich jest niewypowiedziane, bo to ziemie nadzwyczaj urodzajne i żyzne. Kiedyś przez długie wieki szumiały tu stepy. Trawy stepowe rok rocznie wyrastały, kwitły, a potem ginęły, butwiały i gniły. Tworzyła się z tego próchnica, na której dziś doskonale rodzi się pszenica i buraki cukrowe.

Czasem widać też tam całe pola maku lub słoneczników, bo lud rusiński obchodzi długie posty, kiedy nawet nabiału nie używa, a tylko olej roślinny bierze do kraszenia potraw.

Więc wyrabiają tu oleje makowe i słonecznikowe dla ludności rusińskiej.

Trafiają się też ogromne sady owocowe, pełne gruszek i śliwek, a każdą chatę w siole otacza sad wiśniowy. Z tych owoców w Kijowie wyrabiają słynne kijowskie konfitury i nalewki.

Liczne cukrownie wyrabiają z buraków cukier, a ogromne młyny parowe miela pszenicę i wysyłają całemi pociągami mąkę do Odesy. Tam, w porcie odeskim, ładują ją na okręty i rusińską mąką żywią europejskie ludy.

Chowają też dużo bydła. Owe wielkie siwe woły ukraińskie, o wielkich, ciemnych oczach i rozłożystych rogach, są rozwożone po wszystkich większych miastach, a dwory na Rusi kochają się w pięknych koniach.

Dawnemi czasy, gdy jeszcze tu nie uprawiano pól, lecz dookoła szumiały stepy, dobry koń był skarbem nieocenionym.

I dziś, gdy po szerokiej drodze podolskiej zabrzęczy dzwonkami bałagulska czwórka i błysnie ozdobną uprzężą w złocistym tumanie pyłu, to aż coś porywa człowieka, by pędzić wraz z nią na kraj świata po rozległym obszarze.

A krajobraz tu dziwny bardzo: pierwotnie była tu płaszczyna, równa jak stół. W tej równinie jednak wody płynące żłobiły sobie wąwozy i głębokie jary. Jary rzeczne to najciekawsza część widoków na Rusi. W głębinie jaru płynie rzeka, rozlewając się czasami w srebrzyste stawy.

Z góry wygląda to jak sznur pereł, nanizanych na błękitną taśmę. Jeżeli zejdziemy w dół ku wodzie, otaczają nas, niby olbrzymie góry, gdy zaś wydostaniemy się na górę, to mamy zupełną płaszczyznę, jak stół lub podłoga.

Ślicznie to opisał Wincenty Pol w pieśni o ziemi naszej:

Kiedy spuścisz się ku wodzie,
Toś zajechał niby w góry:
Skała żebrem wzrok ubodzie,
Brzegowiska—istne mury.

Tak jest w głębi jaru, ale zupełnie inaczej jest na górze:

Lecz gdy wymkniesz się z parowu,
Skały znikną, szum ustanie.
Jakbyś był na stepie znowu,
Równno, cicho znów na łanie...

Na ziemiach Rusi klimat jest suchy, deszczów pada niewiele, więc też sioła budują się zawsze nad stawem lub nad rzeczułką. Sioła są wielkie: czasem po pięć, po osiem tysięcy mieszkańców liczą.

Chaty zwykle są rozrzucone po stokach jaru bardzo małowinnie, wśród zieleni drzew. Nad wieczorem błękitne dymy unoszą się nad sadami, kłębiąc się z równo poszytych dachów. Chaty są tu przeważnie kurne, bez kominów, a dym wychodzi sobie przez strzechę.

Drzewa do opalu mają tu bardzo skąpo, bo stepowy klimat nie sprzyja rozwojowi drzew i lasów, palą też bardzo często słomą, bo tej jest obfitość.

Gdy nad wieczorem schodzą się z pól mieszkańcy sioła, brzmi dookoła dźwięczna, ale smutna pieśń. Rusini są nadzwyczajnie muzykalni, głosy mają jak srebrne dzwonki, ale ich melodie, ich dumki są nadzwyczaj smutne i melancholijne.

Bo też te ziemie dużo przeszły klęsk i nieszczęść, i to może taki smutek zasiało w duszę Rusina.

Ziemie Rusi, składające się z Wołynia, Podola i Ukrainy, wysunięte są ku wschodowi i sąsiadowały z władaniami Turków i Tatarów. Ci ostatni zwłaszcza dali się okropnie ludności rusińskiej we znaki.

Co parę lat wybierała się orda tatarska w pochód na Polskę.

Najpierwszy atak bywał na Podole, bo tamtędy szedł szlak tatarski, zwany „Czarny szlak”.

Tuman kurzu zwiastował zbliżanie się Tatarów. Po nocy na niebie krwawiły się łuny palonych siół i miast. Słysząc było ryk zarzynanego bydła, a jęk i płacz pędzonych w jasyr mieszkańców.

Nie mieli oni nigdzie schronienia, lasów nie było, a na równym stepie świsnął tylko arkan dzikiego Tatara, i już szedł biedny człowiek w pęta jasyru.

Na pociętej jarami równinie jedyne wzniesienia, to mogiły i kurhany. Na jednych stoją krzyże, więc tam leżą kości poległych chrześcijan, inne są bez krzyżów, bo tam złożono zwłoki pogańskie.

Kończą się ziemie ruskie na południu nad brzegiem krętego Dniestru. Niema w całej Europie rzeki, któraby płynęła tak zawiłą linią, jak Dniestr.

A Dniestr stanowił granicę Polski od Turcji. Nie tylko więc lotne zagony tatarskie, ale i potężne armje sułtanów tureckich wyruszały na Polskę, a ta stawała murem przeciw tureckim najazdom.

Ale też boje straszliwe bywały pod murami Chocimia lub Kamieńca Podolskiego.

Ten dziwny gród, stojący na skalistej płaszczyźnie, otoczony głębokim jarem rzeki Smotrycza, to perła w koronie polskiej. Bogaty to, handlowy był gród, postój dla wszystkich kupców, z przedziwnymi towarami przybywających z nad morza Czarnego.

Była to twierdza chrześcijaństwa, zasłaniająca murami swemi cały świat cywilizowany. Padła i ona wprawdzie i w tureckie dostała się ręce, lecz nie na długo. Do dzisiaj jednak istnieje w Kamieńcu turecki most, a nad katedrą wznosi się wysoko minaret z czasów tureckich.

Stoją na Rusi wielkie miasta, jak: Kijów, Żytomierz, Beryczów, Mohylów nad Dniestrem, ale w stosunku do tego rozległego kraju miast jest niezbyt wiele, a lud przeważnie po siołach mieszka.

Miał ten lud rusiński wielkiego swego poetę, który nazywał się Taras Szewczenko. Kochał on lud swój i martwił się, że temu ludowi jest źle na świecie.

Z żalem pisze Szewczenko o swojej wiosce:

Czornijshi czornoji zemli
Błukojut' ljude, powsychały
Sady zeleni, pohnyły
Bileńki chaty, powaljałyś,
Stawy burjanom porosły...

Taki smutny obraz wsi ukraińskiej przedstawiał przed kilkudziesięciu laty Szewczenko.

Dzisiaj tak źle nie jest, lud jest zamożny, dobrze odżywiany, czysty i schludny, a nie dziw, boć tu

Ziemie czarne, niepohybne,
Pasze żyzne, wody rybne,
Mało wprawdzie trochę lasa,
Ale zato chleb do pasa!

Bogato zakwitła Ruś pod skrzydłami opieki swego Archanioła. W związku z naszym Białym Orłem i dzielną litewską Pogonią wspaniała ta trójca, wśród której:

Jak zaległy ziemie Boże,
Przebież kraje, przerzuć role,
Zejdź świat cały, przepłyni morze,
Niema kraju nad Podole!

P Y T A N I A.

Gdzie leżą ziemie Rusi? Czem pocięte są te kraje? Jaka siła wyłobiła jary? Czy ziemie Rusi są żyzne? Co na nich uprawiają? Jak powstał czarnoziem? Czy sioło podobne jest do naszej wsi? Jakie są większe miasta Rusi? Jaki charakter ma lud rusiński? Dlaczego jego pieśni są smutne? Kto najeżdżał często na ziemie Rusi? Jaki był sławny poeta Rusi? Czy dużo jest Polaków na Wołyniu, Podolu i Ukrainie? Podkreślić stałą łączność Rusi z Polską.

30. Zakończenie.

Przebiegliśmy myślą całe ziemie polskie. Rok cały trwała nasza podróż, nie to nie jest dziwnego, gdy zważymy, jak wielka jest nasza ziemia. Wsparł się, jak olbrzym, lud polski o potężny grzbiet karpacki, w którym:

Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale.

Nikt go, żadna siła ludzka nie oderwie go od tego olbrzymiego wału górskiego, nad którym ważą się w błękie nad zielenią hal potężne orły tatrzańskie.

I od tych gór lekko i falisto ściele się ziemia polska coraz bardziej ku północy, jak równia pochyła, po której toczą się wody nasze ku płowym falom Bałtyku, gdzie leży bezmierny obszar wód szaro-zielonawych, a nad niemi krążą srebrzyste mewy.

A wiatr morski niesie ku brzegowi hymn zachwycenia:

O morze! sine morze! Kto nad cię piękniejszy?
Z wszystkich Stwórcy objawień, kto większy od ciebie?
Nie twych wdzięków nie zgasi, wielkości nie zmniejszy;
Piękneś w obliczu ziemi i piękne przy niebie.

Po naszej pochyłości od Karpat do Bałtyku spłynęły wody nasze, jak srebrzysta sieć poplątana, pełna skrętów, zatok, stawów i jezior z Piastowem Gopłem, o którym pisał Wincenty Pol, piewca „Pieśni o ziemi naszej”.

Jak tło przeszłości, fale twoje ciemne,
Jak powieść ludu, głębie twe tajemne!

Splątana sieć naszych wód musi jednak posłusznie wypełniać, co jej królewską wolą nakaże płowa Wisła, pani i władczyni. Ona wezwie wszystkie wody ku sobie, i oto, posłusznie szemrzając, niosą swą dań ku wszechwładnej pani, a ona sama

Patrzaj, to Wisła!... Spokojna, marząca,
Między Mazowsza piaski się przewija,
Srebrzystą struną złote brzegi trąca
I kryształową pieśnią się rozbija.

Nasza, od Karpat do Bałtyku dążąca, pochyłość to nie gładka równina pochyła. Na tak olbrzymiej przestrzeni ziemia różnemi czasy różne przechodziła koleje: były takie okresy, że na dzisiejszej ziemi naszej huczało morze, potworne fale przewalały się z rykiem. Jakieś tytaniczne burze i orkany szalały po bezbrzeżnej toni, a na jej dnie układały się równo i gładko warstwy wapniaków i piaskowców w grube po paręset metrów pokłady.

I nadszedł czas, że górotwórcze siły ziemi wypiętrzyły ku górze owe tajniki dna oceanu. Powstały fałdy skalne i grzbiety górskie; spłynęły gdzie indziej morza, i to, co było dnem głębin wodnej, uniosło się wysoko w błękit nieba, uśmiechało się ku słońcu. A w zatokach niechętnie ustępującego morza słały się grube warstwy soli, zdumiewające swym ogromem.

A w innym znów czasie i w innym miejscu, w bagnistej, moczarowatej kotlinie, przy ciepłym klimacie, wznosiły się ku niebu potworne dziwaczne lasy jakichś niebywałych paproci i skrzypów. Walily je o ziemię szalejące huragany, rośliny znów wyrastały uparcie i znów ginęły, ścieląc grubą warstwę butwiejącego drzewa, co później zamieniło się w węgiel kamienny.

I znów inne nadeszły czasy: na ziemię naszą nasunął się z północy potwornej grubości całun lodowy, co pokrył mroźną skorupą cały nasz kraj. Przyniosły te lodowce aż ze Skandynawji owo mnóstwo kamieni, co po naszych polach leżą, jako „błędne głazy”, bo przybłąkały się tutaj aż z odległych gór Szwecji i Norwegji.

U nas jednak lodowcowi zbyt już było ciepło: gwałtownie zaczął topnieć, wylewać szalejące potoki wód, które wyrwały sobie głębokie brózdy do odpływu. Całą naszą ziemię przeorała wpoprzek brózda „Krainy Wielkich Dolin”, wspartej o dwa wyniosłe pasy „Wyżyn Południowych” i „Wyżyn Pojezierza”.

Stopniał bezsilnie lodowiec skandynawski, ciskał na naszą ziemię kamieniami. Nie to nie pomogło, zginał, a na wilgotne ziemie rzuciła się roślinność: zaszumiała od Karpat do Bałtyku nieprzebyta puszcza, o której „wieść tylko, albo bajka wie, co się w niej dzieje”. Ale na bajki wtedy jeszcze nie przyszedł czas: w samym środku, jak słychać, mają swoje dwory: dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszcza imperatory, ryś bystry i żarłoczny rosomak, dziki, wilki i łosie rogate, nad głowami sokoły i orłowie dzieci. Taki to był świat puszczy, gdy pokazał się twój praszczur nad Wisłą.

Sam był prawie tak dziki, jak ta otaczająca go puszcza, jak te dzikie zwierzęta, mieszkańcy gęstwiny. Osiadł w jaskiniach nad Prądnikiem, wygrzebał sobie jamy w twardej glinie sandomierskiej, uklecił szałas z gałęzi w Łysogórskiej puszczy. Z procą i łukiem polował na zwierzynę, z kawałka kości robił hak swej wędki. Waleczył z puszczą i zwierzętami, pokonywał je zwycięsko i potrochu stawał się panem kraju. Na wypalonych nowinach siał nędzne zboże.

Pobudował sobie osady, wsie i miasta. W miastach wznosił świątynie ku czci Pana Zastępów, pobudował szkoły dla swych dzieci, zaczął prowadzić rzemiosła, handel, a ziemię swoją tak pokochał, że życie swoje niósł w ofierze, aby jej bronić przed wrogiem.

Miljony, miliony żyło naszych przodków przed nami. Po pracowitem życiu składano ich do tej ziemi, na której całe życie pracowali, i w niej rozsypali się w proch, mieszczeni z tą szarą ziemią. Więc szanuj, dziecko, tę ziemię, bo w niej są prochy tych, co tu przed tobą żyli, pracowali, kochali i walczyli.

Niedość było człowiekowi myśliwstwa w puszczy i pracy na roli. Zstąpił on i pod powierzchnię ziemi za zdobyczą: kopał sól w Wieliczce i ropę w Borysławiu, kopał węgiel w Zagłębiu i wapniak na grzbiecie Krakowsko-Wieluńskim, z chęcińskich marmurów wykuwał swe ołtarze, z gipsu nad Nidą odlewał

ozdoby swych świątyń. Zahuczały rykiem i zapłonęły łuną hutry żelazne i cynkowe, a w blasku płomienia uwijały się, jak cienie podziemnych czarnych duchów, postacie robotników naszych, pracujących nad wzbogaceniem i potęgą kraju.

W pracowniach artystów powstawały arcydzieła sztuki, na katedrach wszechinnie wykładali naukę najmędrsi mężowie, na pola bitew ruszała najdzielniejsza młodź i wielcy znakomici wodzowie, a imię Polski rozsławiało się po wszystkie krańce świata.

I ty, moje dziecko, jesteś Polakiem; bądź dumnym z tego i śmiało patrz każdemu w oczy, bo pradziadowie twoi wieńcem nieśmiertelnej sławy otoczyli Polskę. A ojcowie twoi kładli dla tej ukochanej Matki Ziemi zdrowie i życie, majątek i wolność, aby tylko wywalczyć szczęście swej Ojczyzny.

Bądźcie więc pełni dumy, że do takiego narodu należycie, co nad wszystko kocha wolność i jej zawsze służy. Wolną była od tysiąca lat ta ziemia od Karpat do Bałtyku. Wolny żył na niej lud: czy to zwinny, wysmukły góral podhalański, czy wesóły, śpiewny krakowiak, czy napół radosny, a napół smętny, zapalczywy Mazur, czy ubogi Podlasiak, czy nadmorski rybak kaszubski, czy w cieniu puszczy wzrastający Kurp, wszystko to byli ludzie wolni, wolność kochający i za wolność życie niosący w ofierze.

A na sztandarach swoich pisał nasz naród hasło:

„Za naszą i waszą wolność”.

Bo Polak kochał wolność, ale kochał ją nie tylko dla siebie, nie był o nią zazdrozny. Przeciwnie: on pragnął, aby wszyscy ludzie byli wolni i niósł te słowa wolności między puszczy litewskich przepastne krainy i na dzikie pola ukraińskie, gdzie pierwsze skiby nietkniętej, dzikiej ziemi odwalał pług naszego oracza.

Myśmy nad Niemen i Dźwinę, nad Dniepr i Dniestr nieśli oświaty kaganiec i myśl wolną, z nad brzegów Śródziemnego morza do nas docierającą.

Myśmy z piersi swych utworzyli mur, broniący całej Europy przed zalewem dzikich hord tatarskich i tureckich, co chciały zdławić całą cywilizację Europy.

Bądź dumnym, bracie i siostró, bo to dzięki waszym działom mogła kwitnąć Europa zachodnia, ukryta za obronnym wałem piersi polskich.

A wszystkich tych pradziadów, dziadów i ojców, was samych i tych, co po was przyjdą, wykarmiła i wyhodowała Matka Ziemia nasza, więc cześć tej karmicielce łaskawej, cichej i usługującej. Tysiące lat na wiosnę rozwijają się pąki drzew, kwitnie jabłoni i brzęczą pszczelne roje. Tysiące lat falują pola, malowane zbożem rozmaitem, poślacane pszenicą, posrebrzane żytem. Tysiące lat żyje i pracuje lud polski: orły, kosy, szable, godła, pany, chłopcy, chłopcy, pany, cały świat zaczarowany.

Dziwne jest i święte to krążenie życia! ziemia rodzi plony, by wyżywić ludzi, a ludzie żyją, by pracować dla ziemi i walczyć o jej szczęście.

Święte braterstwo ludu i ziemi na każdym widzisz kroku. Dwie więc musisz mieć w sercu miłości wielkie i potężne: miłość ziemi i miłość ludu. Ziemia cię wydała i żywi, lud — to twój brat. Z twoich miłości zapłonie słońce lepszej doli.

„Wszak stoi w kolędzie:
Że Polska w światłach betleemskich stanie
Nad narodami. Że z niej to się wszędzie
Rozniesie owo wiosenne śpiewanie
Wolności świata”.

Bądźcie dumne, dzieci, że jesteście dziećmi Polski!

P Y T A N I A.

Czy zawsze ziemię naszą wyglądały tak, jak dziś? Kto powie, jakie tu były zmiany? Porównaj ziemię krakowską z podlaską. Porównaj górala z Kurpiem. Powiedz, jakie skarby kopią na Podkarpaciu? Gdzie zostały największe obszary lasów? Gdzie są najurodzajniejsze ziemie? Gdzie się rozwija przemysł fabryczny? Opowiedz o starych przodkach naszych. Opowiedz o Książkach. Co porabiają nasi w Ameryce? Co możesz powiedzieć o Litwie i Rusi? Czy ziemia polska jest wielka i bogata? Co nad wszystkimi kochał lud polski? Z czego najbardziej powinniśmy być dumni? Kochaj, kochaj swą ziemię rodzinną! Kochaj, kochaj swój lud!

Materiały do rozwinięcia pogadanek

A) OGÓLNE.

- Bukowiecka H. Opis ziem dawnej Polski. Warsz. 1912.
Bzowski K. Geografia Polski. Kalisz 1918.
Chmielewski K. Twoje ziemie, twoje wody. Warsz. 1907.
— O moim kraju. Warsz. 1911.
Dyakowski B. Od Beskidu do Mazowsza. Warsz. 1900.
Dybczyński. Nasze bogactwa kopalne.
Dzierżyński I. Geografia Polski. Warsz. 1918.
Gayówna D. Geografia I. Krajoznawstwo. Warsz. 1918.
Danysz-Fleszarowa R. dr. Geografia Polski. Warsz. 1918.
— Nasze góry.
Kulwieć K. Geografia Polski. Warsz. 1918.
Gloger Z. Geografia historyczna ziem dawnej Polski. Kraków 1910.
Janowski A. Poznaj swój kraj. Warsz. 1913. Polskie Tow. Krajozn.
— Nasza Ojczyzna.
Jezierski W. Zarys geografji ziem polskich. Warsz. 1915.
Konopnicka M. Ziemie polskie. Warsz. 1907.
Krynicky K. Rys geograficzny Królestwa Polskiego. Warsz. 1907.
Lorentowicz L. Ziemia polska w pieśni. Antologia. Warsz. 1914.
Majerski St. Geografia kraju ojczystego. Lwów 1912.
Nałkowska A. Geografia ziem dawnej Polski. Warsz. 1908.
Nałkowski W. Materiały do geografji ziem dawnej Polski. Warsz. 1913.
Pol W. Pieśń o ziemi naszej.
Pawłowski W. Geografia Polski. Lwów. 1917.
Radliński T. Geografia Polski. Warsz. 1918.
Romer E. Polska i Polacy. Kraków. 1916.
Smoleński J. Krajobraz polski. Warsz. 1912.
Sosnowski P. Opisanie Królestwa Polskiego. Warsz. 1907.
— Geografia Polski. Warsz. 1918.
Sujkowski A. Rys geograficzny ziem Europy środkowej. Warsz. 1906.
— Geografia Polski. Warsz. 1918.
Umiński W. Podróż malownicza od źródeł do ujścia Wisły. Cz. I. Od Beskidu do Warszawy. Cz. II. Od Warszawy do Gdańska. Warszawa. 1907, 1908.

B) DO POSZCZEGÓLNYCH POGADANEK.

- Bałtyk.** Str. 14. Rutkowski F. Historia Bałtyku. „Ziemia” 1912, str. 114 i 150 i 166.
Janowski A. Nad polskim morzem.
- Gopło.** Str. 23. Janowski A. Gopło. Odczyty krajoznawcze, wyd. Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Warszawa.
- Karpaty, Tatry i Górale.** Str. 5, 103. Kuźniar W. Z przyrody Tatr. Kraków 1910.
Sosnowski P. Karpaty. Wyd. P. T. Kr. 1918.
- Kaszubi.** Str. 117. Numer monograficzny Pomorsko-Kaszubski. „Ziemia” Nr. 22 z 1911 roku.
Harting Z. Przewodnik po Ziemi Kaszubskiej. Warsz. 1909.
Chrzanowski B. Na kaszubskim brzegu. Poznań 1910.
Mojkowski A. Źródła Raduni. Warsz. 1913, wyd. Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.
- Kraków.** Str. 94. Dynowska M. Kraków i jego okolice. Bibl. Uniw. Lud. Rydel L. Katedra na Wawelu. Kraków 1916.
- Książcy.** Str. 109. Zeszyt monograficzny Łowicki. „Ziemia” 1913, N-ry 15 i 16.
- Kurpie.** Str. 113. Chętnik A. Z Zielonej puszczy. „Ziemia” 1914, str. 119, 135, 151, 168, 186, 201 i 217.
Chętnik A. Puszcza Kurpiowska. Warsz. 1913.
— Chata kurpiowska. Warsz. 1915.
— Kurpie.
- Lasy.** Str. 62. Gloger Z. Białowieża. Warsz. 1907.
Sienkiewicz H. Z puszczy Białowieskiej. Bibl. Uniw. Ludow.
- Litwa.** Str. 126. Maliszewski E. Polacy i polskość na Litwie i Rusi. Warsz. 1916, wyd. Polsk. Tow. Krajoznawczego.
Wasilewski L. Litwa i Białoruś. Kraków „Książka”.
Życka L. Wilno. Bibl. Uniw. Ludow.
Römer M. Litwa. Lwów 1908.
- Lud Polski.** Str. 71. Talko-Hryniewicz. Człowiek na ziemiach naszych. Warsz. 1913.
Nitsch K. Mowa ludu polskiego. Kraków 1911.
Wakar Wł. Ludność Polski. Warsz. 1915.
Thugutt St. Polska i Polacy. Warsz. 1915, wyd. Polsk. Tow. Krajoznawczego.
- Łódź (Fartuszek).** Str. 85. L. J. de Verdmon. Łódź. Bibl. Krajoznawcza t. IV/V. Warsz. 1909.
- Nafta.** Str. 33. Dr. Biegańska L. Nafta i wosk ziemny w Galicji. „Ziemia” 1910, str. 506, 513, 627, 644, 666, 682, 698, 714, 730 i 746.
- Polacy w Ameryce.** Str. 122. A. Janowski. Listy z podróży naokoło świata. „Ziemia” 1913, str. 610, 745, 779, 793 i 816. „Ziemia” 1914 str. 5, 26, 42, 54, 171, 204, 243, 283, 299, 310, 331 i 363.
Kłobukowski St. Wycieczka do Parany. Lwów 1910.

- Włodek L. Polacy w Paranie. 1910.
 — Polskie kolonie rolnicze w Paranie. Warsz. 1911.
- Poznań i Lwów. Str. 99. Jaworski F. Lwów stary i wczorajszy. Lwów 1911.
 Nowicki E. dr. Lwów.
 Rzepecka H. Poznań. Bibl. Uniw. Ludow.
- Praojcowie. Str. 67. Wawrzeniecki M. Słowianie doby przed i wczesnohistorycznej. Warsz. 1910.
 Malinowski M. Nasi ojcowie gdzie mieszkali i co robili. Warsz. 1889.
- Ruś. Str. 130. Moszyński K. Z Ukrainy. Warsz. 1914.
 Pruszyński Hr. G. Szlakiem do Kamieńca. „Ziemia” 1912, str. 485, 505, 510 i 540.
 Janowski Al. Podole. Odczyt krajoznawczy. Warsz. 1908, wyd. Polsk. Tow. Krajoznawczego.
 Wasilewski L. Ukraina. Kraków „Książka”.
- Sól. Str. 38. Piestrak F. Sól. Tarnów 1913.
- Wapno. Str. 52. Przesmycki I. Przewodnik po Krakowsko-Wieluńskim pasmie. Kielce 1909.
 Przewodnik po Częstochowie i okolicy. Warsz. 1909, wyd. Polsk. Tow. Krajoznawczego.
 Wróblewski K. Nad Prądnikiem. Warsz. 1907.
- Warszawa. Str. 89. Dziewulski i Radziszewski H. Warszawa. Tom I. Warsz. 1913.
 Janowski Al. Warszawa.
 Odczyty Hist. Warszawy (Janowski Al., Jakimowicz R., Baruch M., Konarski K., Baranowski I., Trojanowski W.), wyd. Polsk. Tow. Krajozn.
- Wiśła. Str. 9. Chrząszczewska i Warnkówna. Z biegiem Wisły. Warsz. 1901.
 Krynicki K. O Wiśle. Warsz. 1906.

SPIS RZECZY.

Przedmowa.	I
1. Nasza ziemia	1
2. Czytanie mapy	5
3. Wisła.	10
4. Bałtyk	15
5. Karpaty i Tatry	19
6. Gopło	24
7. Węgiel	30
8. Nafta	35
9. Sól	41
10. Solanka	46
11. Żelazo	51
12. Wapno	57
13. Gips.	62
14. Lasy.	66
15. Praojcowie	72
16. Lud polski	76
17. Wieś.	80
18. Bułka i cukier.	86
19. Fartuszek.	91
20. Warszawa	95
21. Kraków	101
22. Poznań i Lwów	106
23. Górale	111
24. Księżacy	117
25. Kurpie	122
26. Kaszubi	127
27. Polacy w Ameryce	130
28. Litwa	135
29. Ruś	140
30. Zakończenie	144
Materiały do rozwinięcia pogadanek	149



NASZA ZIEMIA.

„a wszystko, jakoby wstęgą, przepasane miedzą
zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą”.



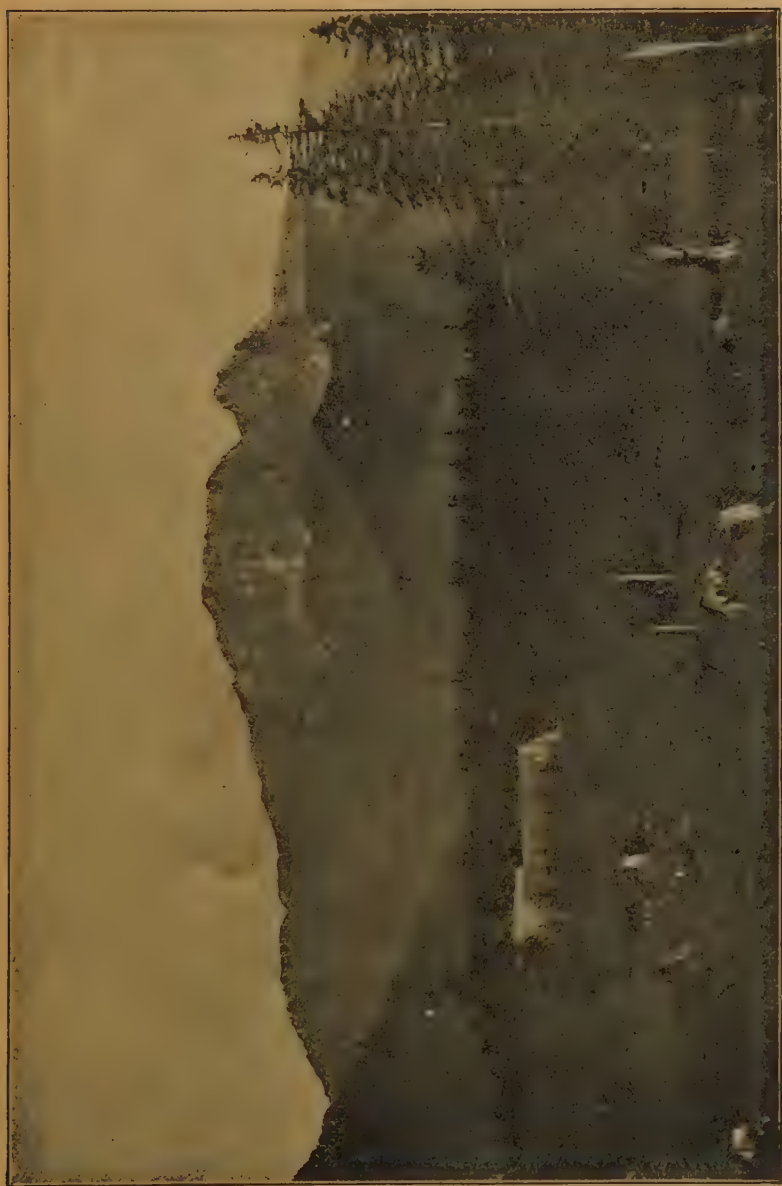
NASZA ZIEMIA. UŚCIE CZARNEJ HAŃCZY DO JEZ. WIGIERSKIEGO.



WODOSPADY BIAŁEJ WISIELKI.



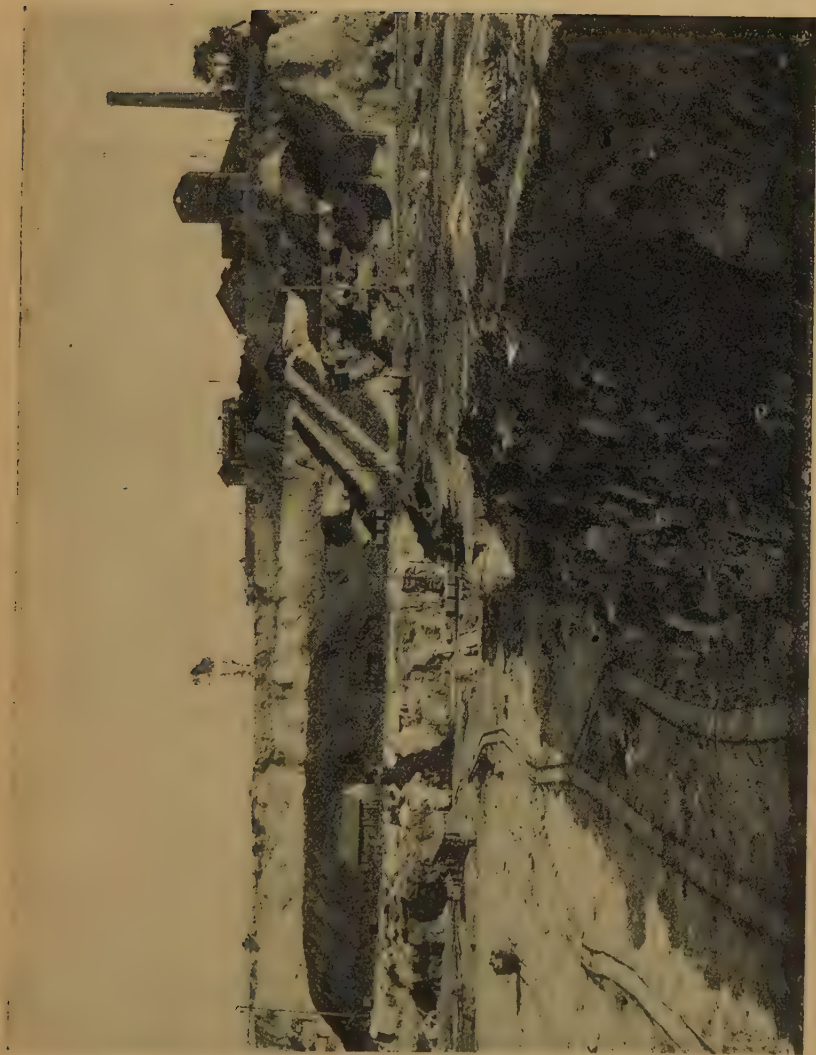
BALTYK POD GDAŃSKIEM.



GIEWONT, ŚPIACY RYCERZ.



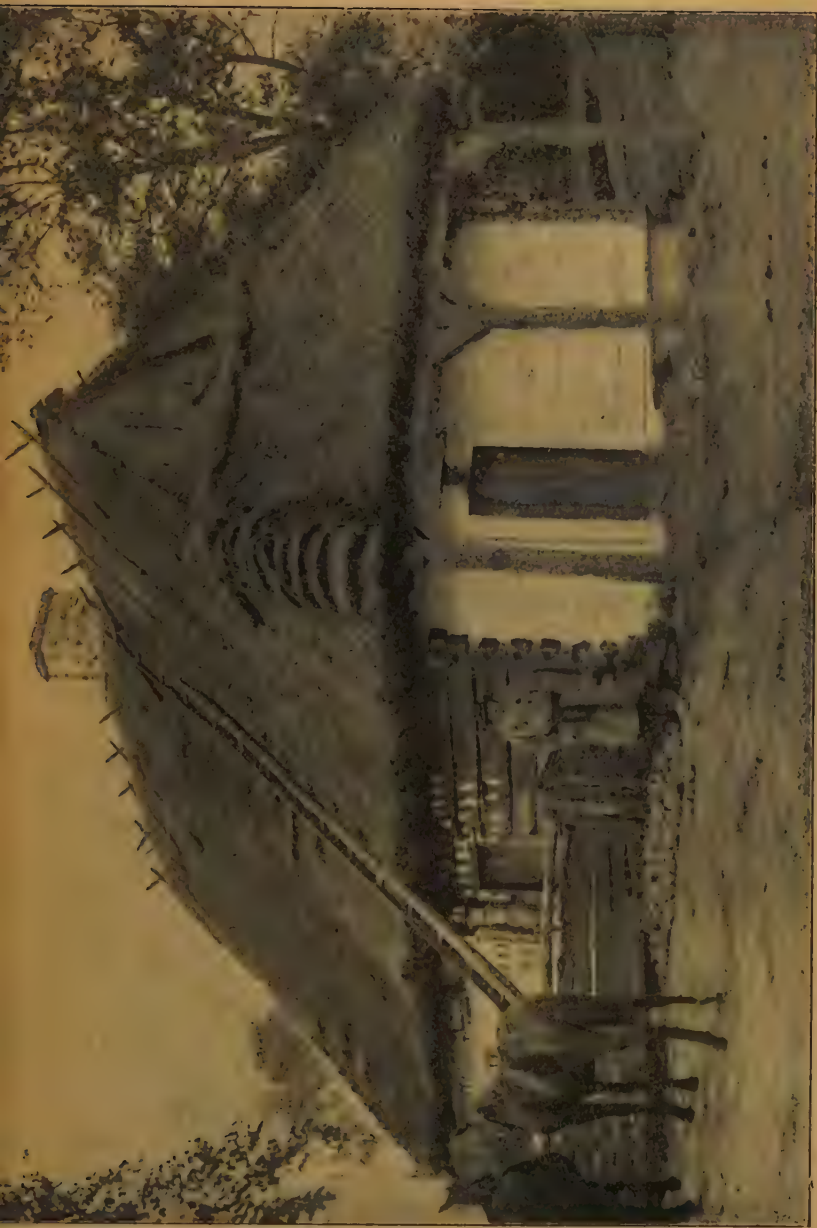
WSCHODNIE KARPATY.



KOPALNIA WĘGLA W DĄBROWIE.



KOMORA W KOPALNI SOLI W WIELICZCE.



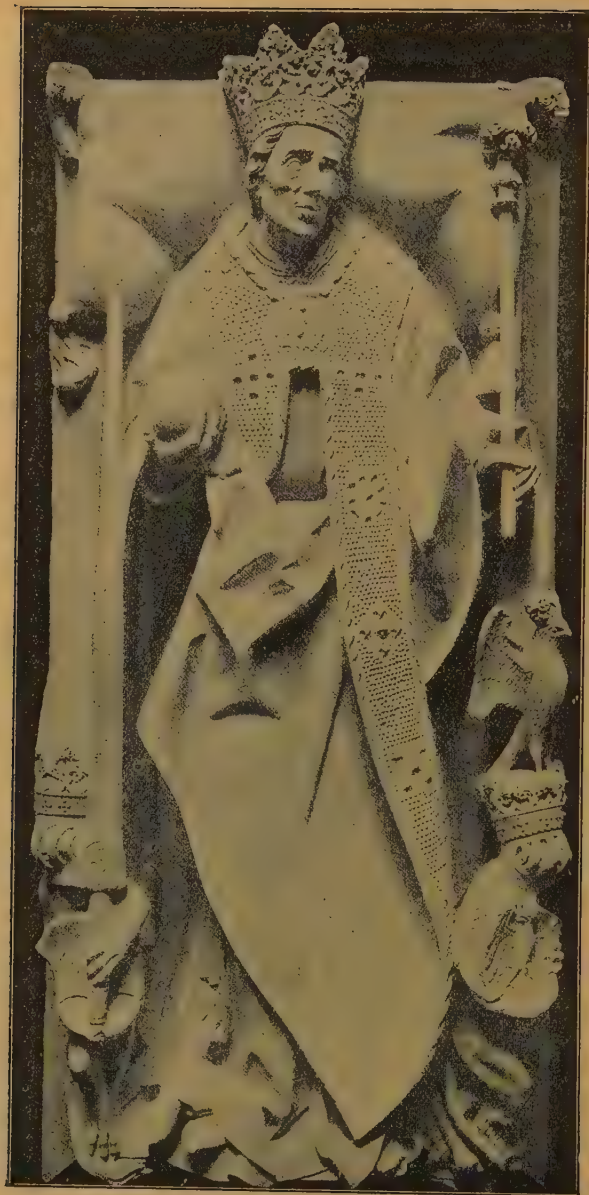
CHATA MAZURSKA.



KRZYŻ PRZY CHACIE ŁOWICKIEJ.



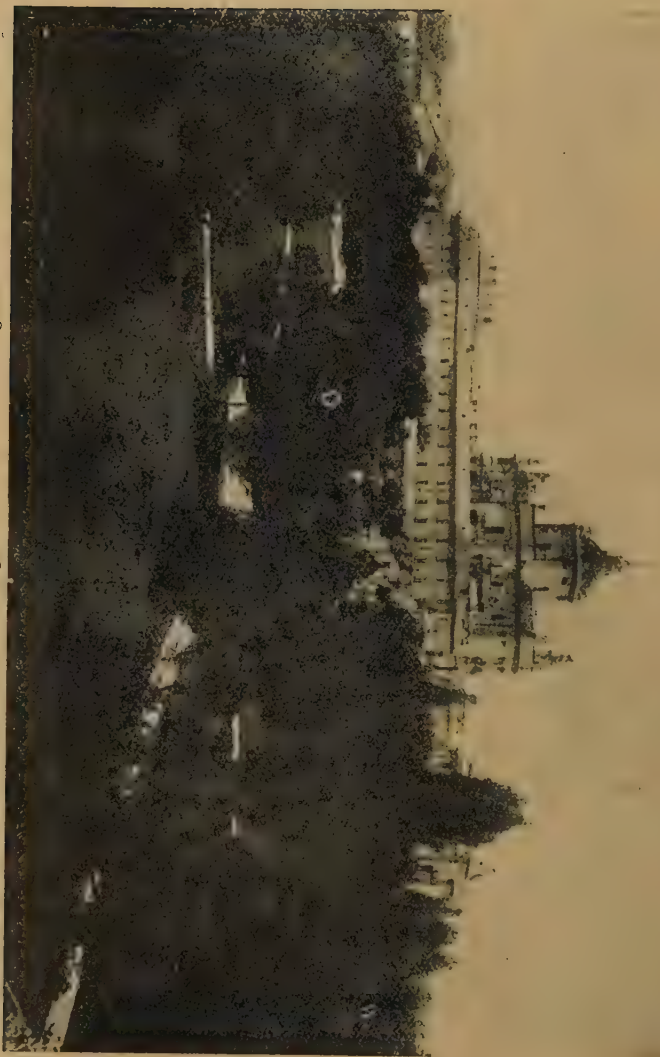
WARSZAWA. KOLUMNA ZYGMUNTA I ZAMEK KRÓLEWSKI.



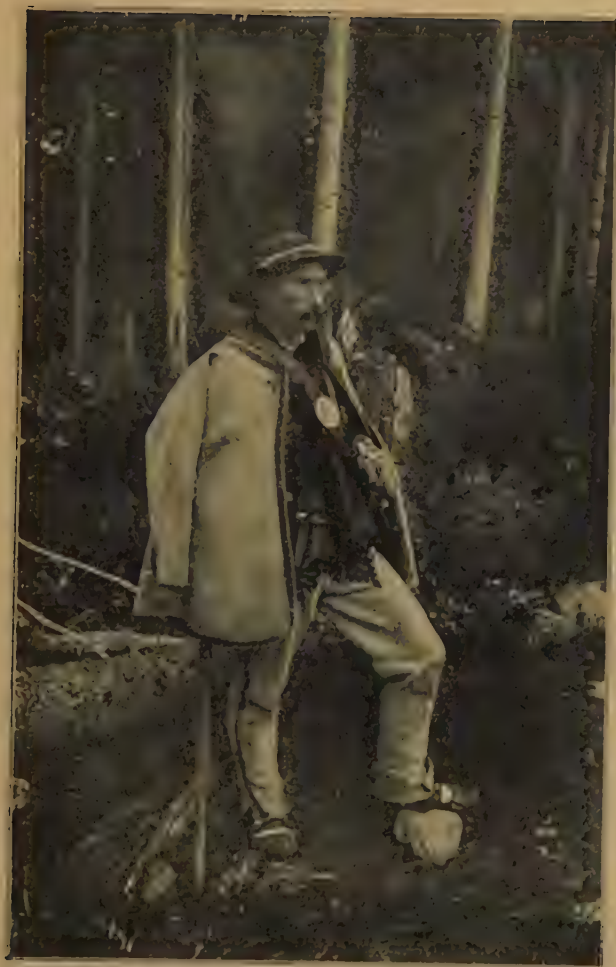
KRAKÓW. PŁYTA GROBOWCA KAZIMIERZA
JAGIELLOŃCZYKA.



POZNAŃ. RATUSZ.



LWÓW. KATEDRA ŚW. JURA.



GÓRAL Z ZAKOPANEGO.



RYBAK KASZUBSKI.



WILNO. WIDOK OGÓLNY.



KAMENIEC PODOLSKI. FORTECA.

